

# ZAGADNIENIA METODOLOGII I FILOZOFII JĘZYKOZNAWSTWA

**IRENEUSZ  
BOBROWSKI**



INSTYTUT  
JĘZYKA  
POLSKIEGO  
PAN

PRACE INSTYTUTU JĘZYKA POLSKIEGO PAN

159

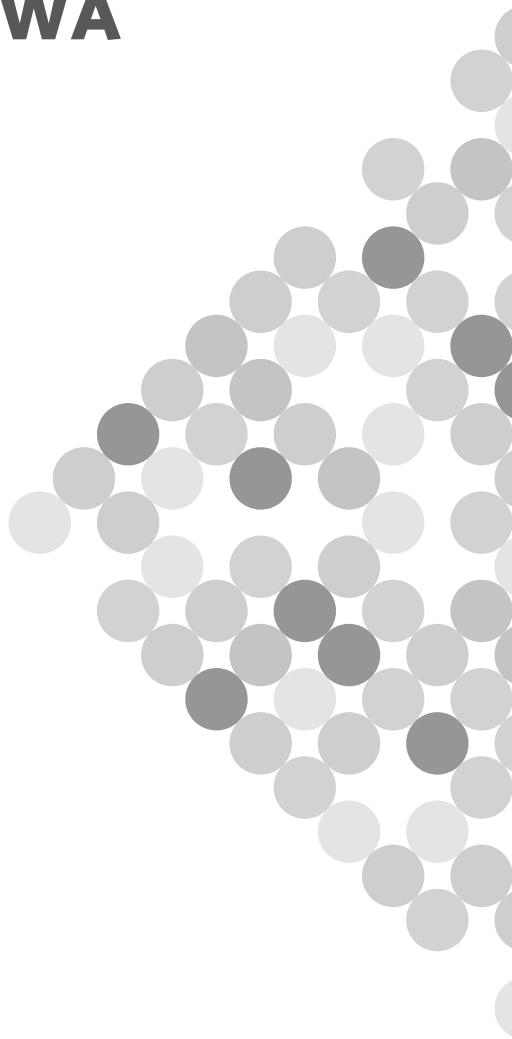
ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Urszula Bijak, Maciej Eder, Anna Tyrpa, Piotr Źmigrodzki

# ZAGADNIENIA METODOLOGII I FILOZOFII JĘZYKOZNAWSTWA

IRENEUSZ  
BOBROWSKI

INSTYTUT  
JĘZYKA  
POLSKIEGO  
PAN



Recenzja wydawnicza  
prof. dr hab. Maciej Grochowski

Opracowanie redakcyjne  
Ewa Bednarska-Gryniewicz / Wydawnictwo JAK

Łamanie  
Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK  
[www.wydawnictwojak.pl](http://www.wydawnictwojak.pl)

Okładka  
Studio Kozak

Copyright by Instytut Języka Polskiego PAN, Kraków 2020

ISBN 978-83-64007-68-2

Wydawca  
Instytut Języka Polskiego PAN  
al. Mickiewicza 31  
31-120 Kraków

# SPIS RZECZY

Przedmowa .....	9
Wstęp. Od metodologii do filozofii językoznawstwa .....	11
<b>Część pierwsza</b>	
<b>W tle, czyli filozoficzne i metodologiczne podstawy     moich wcześniejszych koncepcji językoznawczych</b>	
Umiarkowany racjonalizm (Izydora Dąmbska) .....	17
Redukcja teoriopoznawcza (Edmund Husserl) .....	23
Falsyfikacjonizm (Karl Popper) .....	36
Nieobecność wyjaśniania nomotetycznego przy wielości modeli (Andrzej Bogusławski) .....	40
Jeszcze o kryteriach wartościowania modeli języka .....	44
Paradygmaty językoznawstwa .....	50
Paradygmaty nauki .....	50
Indukcjonizm .....	52
Weryfikacjonizm .....	52
Falsyfikacjonizm .....	53
Postmodernizm .....	54
Współlistnienie i oddziaływanie na siebie paradygmatów .....	55
Koncepcja Kuhna a koncepcja Poppera .....	56
Językoznawstwo historyczno-porównawcze jako przejaw paradygmatu indukcjonistycznego .....	57
Zdania obserwacyjne .....	57
Uogólnienia .....	58

Strukturalizm jako przejaw paradygmatu weryfikacjonistycznego . . . . .	59
Ogólne zasady paradygmatu strukturalistycznego . . . . .	59
Szkoła praska . . . . .	62
Dystrybucjonizm amerykański . . . . .	64
Glossematyka . . . . .	67
Generatywizm jako przejaw falsyfikacjonizmu . . . . .	68
Ogólne zasady generatywnego podejścia do języka . . . . .	68
Gramatyka generatywno-transformacyjna . . . . .	69
Zasady budowania modelu generatywnego . . . . .	70
Z historii generatywizmu . . . . .	85
Kognitywizm jako przejaw postmodernizmu . . . . .	89
Ogólna charakterystyka kognitywizmu . . . . .	89
Metafory w języku . . . . .	91
Teoria prototypów i zbiorów rozmytych . . . . .	92
Językowy obraz świata . . . . .	93
Wzajemne oddziaływanie paradygmatów . . . . .	94
Zmiany w paradygmacie poprzednim pod wpływem następnego . . .	94
Odkrywanie poprzednich paradygmatów . . . . .	95

## **Część druga**

### **Przyczyny dezintegracji systemu lingwistycznego i próba nowej syntezy**

Odmienne o współistnieniu paradygmatów w dzisiejszym językoznawstwie . . . . .	99
O przedmiotach językoznawstwa . . . . .	116
Lingwistyczny obraz świata i stereotyp stereotypu językowego . . . . .	123
Obraz świata . . . . .	123
Stereotyp stereotypu językowego . . . . .	130
O przedmiocie językoznawstwa genderowego . . . . .	137
Nazwy zawodowe kobiet . . . . .	139
Rodzaj gramatyczny w języku polskim i jego genderowe implikacje . . .	144
Generatywizm: falsyfikacjonizm czy konstruktywizm? . . . . .	154

Dwa kognitywizmy .....	163
Prawdziwość zdań językoznawczych .....	170
Trzy ujęcia prawdziwości sądów .....	172
Współistnienie odmiennych sądów w językoznawstwie .....	175
Założenia analizy .....	175
Zdania z językoznawstwa, które mogą być uznane za prawdziwe przez zwolenników korespondencyjnego ujmowania prawdy	175
Zdania z językoznawstwa, które mogą być uznane za prawdziwe jedynie przez zwolenników koherencyjnego ujmowania prawdy .....	177
Składniki językoznawczej opowieści .....	179
Podsumowanie .....	185
Zakończenie .....	187
Literatura cytowana .....	193





# Przedmowa

Ponad dwadzieścia pięć lat temu opublikowałem książkę *Językoznawstwo racjonalne*. Była ona odpowiedzią na pytania, które w tamtym czasie sobie bardzo często zadawałem. Stawiali je sobie także inni językoznawcy, którzy, rozpoczynając badania, byli entuzjastami gramatyki transformacyjnej. Z jednej bowiem strony w ramach samego generatywizmu pojawiło się wiele grup badawczych, a każda z nich oferowała oryginalne modele formalne. Z drugiej strony coraz większy rozgłos zdobywała gramatyka kognitywna, która rezygnowała z formalizmu, obejmując te obszary, które do tej pory nie znajdowały się w centrum zainteresowań lingwistów. Stawiałem sobie zatem przede wszystkim pytanie, którą drogę wybrać.

Warto przy tym wspomnieć, że nie odpowiadała mi droga, którą wyznaczył na początku lat osiemdziesiątych poprzedniego stulecia Noam Chomsky. Ani teoria zasad i parametrów, ani program minimalistyczny nie przekonywały mnie, ponieważ szły w stronę poszukiwań bardzo nieokreślonych, tj. gramatyki uniwersalnej. Nie trzeba dodawać, że gramatykę kognitywną postrzegałem wtedy jako koncepcję jeszcze bardziej niekonkretną. Przez pewien czas byłem zafascynowany sprawnością aparatu uogólnionej gramatyki struktur frazowych. Wtedy właśnie zaczęły rodzić się pytania o filozoficzne założenia, na których bazuje redukcyjny model formalny języka naturalnego. Odpowiedzi, których sobie wtedy udzieliłem, zawarte są w książce *Językoznawstwo racjonalne*.

Od tamtej pory wielokrotnie powtarzałem sobie tamte pytania i udzielałem na nie kolejnych odpowiedzi. Jednym z etapów formułowania odpowiedzi była książka *Problems of Methodology and Philosophy in Linguistics* (Bobrowski, 2015). Przedstawiana praca bazuje na tamtej publikacji, ale też zawiera jeszcze nowsze przemyślenia. Zawsze w tle nowych ujęć były te ustalenia, które poczyniłem ponad dwadzieścia pięć lat temu. Naturalny zatem wydał mi się układ przedstawianej książki. W pierwszej części przybliżyłem te poglądy,

które wypracowałem, pisząc *Językoznawstwo racjonalne*. Są one tłem dla nowych odpowiedzi, których udzielałem sobie później. Przedstawiam je w drugiej części pracy.

Narracja jest w miarę prosta. Niektóre zagadnienia lingwistyczne staram się nawet naświetlać w sposób podręcznikowy, mam bowiem nadzieję, że czytelnikami tej książki będą nie tylko językoznawcy, ale też przedstawiciele innych dziedzin humanistycznych, filozoficznych i społecznych. Także dla młodego pokolenia lingwistów pewne kwestie z zakresu historii językoznawstwa są obce. Dlatego uznałem, że warto te zagadnienia lingwistyczne, które w innych partiach tekstu są przesłankami przemawiającymi za słusnością tez natury bardziej ogólnej, omówić w sposób rudymenatarny. Dane, które służą jako egzemplifikacja tez, pochodzą z języka polskiego, gdyż ten właśnie język jest przedmiotem moich badań. Staram się jednak w sposób bardzo przejrzysty objaśniać właściwości poszczególnych przykładów.

Niektóre argumenty i koncepty wcześniej zastosowane powtarzają się w następnych partiach książki. Początkowo zamierzałem kolejne ich wystąpienia wykreślić, stosując odpowiednie odsyłacze do tych rozdziałów, w których pojawiły się one po raz pierwszy. Wydało mi się jednak, że takie szyfrowanie nie służy jasności wyводу. Dlatego ostatecznie owe powtórzenia postanowiłem zostawić, tym bardziej że zazwyczaj książki naukowe nie są czytane od początku do końca – większość czytelników woli studiować poszczególne fragmenty rozprawy, by dopiero na końcu lektury wypracować sobie całościowy obraz.

\*\*\*

Wiele osób przyczyniło się do powstania tej książki. Nie sposób wymienić tych, z którymi dyskutowałem nad zawartymi w niej rozwiązaniami. Wszystkim im składam serdeczne podziękowania. Szczególnie wdzięczny jestem zmarłemu w 2014 roku Profesorowi Romanowi Laskowskiemu, z którym przez wiele lat dzieliłem się pomysłami i konkretnymi rozwiązaniami. Dzięki Jego krytycznemu spojrzeniu niektóre musiałem ponownie przemyśleć i znaleźć dla nich optymalny kształt. Kilka poprawek wprowadziłem też za sprawą sugestii Profesora Macieja Grochowskiego, zawartych w jego recenzji wydawniczej książki. Jednego wszak bardzo interesującego postulatu z recenzji nie udało mi się uwzględnić. Ponieważ myślenie nad poszczególnymi rozwiązaniami jest procesem ciągłym, jest niemal pewne, że wrócę do kwestii nowego odczytania przez Magdalenę Danielewiczową dzieła Ferdynanda de Saussure'a (por. Danielewiczowa, 2016), szczególnie w kontekście teorii analogii, która z pewnością wzmacnia moją argumentację w dyskusji ze zwolennikami kognitywistycznej koncepcji kategoryzacji (por. Grochowski, 2017). Nie trzeba dodawać, że za wszystkie błędy w książce odpowiedzialność ponosi wyłącznie jej autor.

# Wstęp

## Od metodologii do filozofii językoznawstwa

We współczesnej refleksji teoretycznej przyjęło się odróżniać metodologię nauk od filozofii nauki, choć granice pomiędzy tymi pojęciami z pewnością nie są ostre, a w dodatku sama filozofia nauki jest przez różnych autorów odmiennie postrzegana. Na początku tego rozdziału zajmiemy się krótkim zarysowaniem zakresów obu dziedzin, by następnie na tym tle ukazać różnice pomiędzy metodologią i filozofią językoznawstwa, a jednocześnie w sposób ogólny, ale w miarę precyzyjny, przedstawić własne pojmowanie filozofii językoznawstwa. Na końcu natomiast spróbujemy wyprofilować na użytek dalszych rozważań zakresy pięciu dziedzin, które są stosunkowo blisko spokrewnione. Mam tu na myśli: **metodologię językoznawstwa, metalingwistykę, filozofię języka, filozofię lingwistyczną i filozofię językoznawstwa**. W książce tej staramy się wszędzie tam, gdzie to możliwe, wyraźnie je od siebie oddzielić.

W ramach klasycznej koncepcji filozofii metodologię nauk można by zastąpić terminem *filozofia nauki*. W koncepcji tej bowiem wyróżniano trzy dziedziny, tj. metafizykę, teorię poznania i logikę, zajmujące się odpowiednio trzema domenami: bytu, myśli i języka. Wewnątrz logiki – jako jej dział – wyodrębniano właśnie metodologię. W dzisiejszej wszakże filozofii inny zakres dociekań powierza się metodologii, a inny filozofii nauki. Najogólniej rzecz ujmując, trzeba stwierdzić, że metodologia zajmuje się sposobami wyprowadzania sądów naukowych, filozofia nauki szuka natomiast umocowania filozoficznego założeń, które przyjmują badacze konstruujący pewną koncepcję naukową. Obrazowo więc można by powiedzieć, że metodologia przygląda się procedurom stosowanym w procesie budowania gmachu naukowego, a filozofia nauki zastanawia się nad sensem ulokowania tego gmachu w tym właśnie miejscu.

Świadom oczywiście jestem, że zaproponowane w poprzednim akapicie rozróżnienie wymaga uściśleń i dopowiedzeń. Przyjmijmy jednak na wstępie tych rozważań, że uściślenia i dopowiedzenia będą dokonywane nie na poziomie ogólnej metodologii nauk i filozofii nauki, ale na poziomie dla językoznawcy bardziej skonkretyzowanym, tj. w obszarze metodologii językoznawstwa i filozofii językoznawstwa. W wielu wypadkach rozgraniczenie tych dziedzin okaże się bardzo przydatne, o czym będziemy mogli się przekonać w dalszych partiach tej książki. Aczkolwiek – jak już powiedzieliśmy – granicą w tym wypadku jest nie linia, ale dość szeroki pas. Dlatego czasem będziemy mieli trudność w określeniu obszaru, na którym się znaleźliśmy. Ów kłopot ze zlokalizowaniem obszaru znalazł odbicie także w tytule tej książki, w którym metodologia i filozofia ustawione zostały w szeregu.

Po przyjęciu tych wstępnych rozróżnień możemy przedstawić równie robocze profile pięciu pojęć, od których zaczynaliśmy ten rozdział. Do metodologii językoznawstwa należą zatem te sądy, które dotyczą kwestii ujmowania przedmiotu badań lingwistycznych, a co za tym idzie – proponowania metod prowadzących do zbudowania modeli języka. Tak pojmowana metodologia lingwistyki formułowałaby też kryteria, na podstawie których można dokonać ewaluacji proponowanych modeli lingwistycznych. Metalingwistyka byłaby zaś refleksją bardziej intuicyjną, zawierałaby sądy i przemyślenia powstałe w czasie przeglądu prac należących do lingwistyki. Zgodnie z ujęciem Piotra Żmigrodzkiego (2006) miałyby się mniej więcej tak do lingwistyki, jak krytyka literacka do literatury. Filozofia językoznawstwa szukałaby z kolei umocowania rozwiązań lingwistycznych w obrębie filozofii, odnosząc je zarówno do konkretnego systemu filozoficznego, jak i śledząc ich zmiany w dziejach refleksji filozoficznej. Te trzy dziedziny, tj. metodologię językoznawstwa, metalingwistykę i filozofię językoznawstwa, włączyć trzeba do obszaru, który umownie opatrzyć można etykietą „językoznawstwo”. Dwie pozostałe wszakże, tj. filozofia języka i filozofia lingwistyczna, należą już do obszaru, do którego bardziej pasuje etykieta „filozofia”, przy czym filozofia języka jest obszarem większym – w jej obręb wchodzi wszystkie te rozważania filozoficzne, które dotyczą języka naturalnego, filozofia lingwistyczna jest natomiast współczesnym nurtem filozoficznym – wprawdzie dość zróżnicowanym, ale nieobejmującym wszystkich prac z zakresu filozofii języka. Zgodnie z tym rozróżnieniem znana książka neotomisty Mieczysława A. Krąpca *Język a świat realny* (1985) należy z pewnością do filozofii języka, nie należy zaś do filozofii lingwistycznej.

Zdarza się też często, że w jednej pracy zawarte są zarówno sądy mieszczące się w obrębie filozofii językoznawstwa (a także – co naturalne – w obrębie metodologii językoznawstwa i metalingwistyki), jak i sądy należące bez wątplenia do filozofii języka. Bardzo dobrym przykładem takiej pracy jest książka Andrzeja Bogusławskiego *A Study in the Linguistics-Philosophy Interface*

(2007). Podobną sytuację obserwujemy w książkach zredagowanych ostatnio przez Piotra Stalmaszczyka (2010, 2011a, b, 2014). Można przy tym zauważyć, że zazwyczaj zadawane są w nich pytania, w jaki sposób filozoficzne rozważania na temat języka wpływają na współczesne językoznawstwo. Rzadziej oczywiście rozważa się, jak rozwiązania dzisiejszych językoznawców oddziałują w obszarze filozofii. W przedstawianej książce tego rodzaju problemy również się pojawiają. Interesuje mnie wszakże przede wszystkim to, czy można za pomocą propozycji zawartych w różnych koncepcjach filozoficznych uzasadnić niektóre rozwiązania przyjmowane powszechnie w pracach językoznawców.



## Część pierwsza

# W tle, czyli filozoficzne i metodologiczne podstawy moich wcześniejszych koncepcji językoznawczych

Wydana w 1993 roku moja książka *Językoznawstwo racjonalne* nosi podtytuł *Z zagadnień teorii językoznawczej i metodologii opisów gramatycznych* (por. Bobrowski, 1993; odtąd – JR), aczkolwiek podstawowe filary całej konstrukcji teoretycznej pochodzą z obszaru filozofii. Również wydane w 1998 roku *Zaproszenie do językoznawstwa* (por. Bobrowski, 1998) zawiera liczne odniesienia do filozofii. W tej części niniejszej książki przedstawiam owe fundamenty natury filozoficznej, by w następnym etapie wskazać te, które nie wytrzymały próby czasu, a także te, które można w dalszym ciągu uważać za istotne, ale które wymagają wielu dopowiedzeń, a często również modyfikacji.





# Umiarkowany racjonalizm (Izydora Dąmbska)

Lata osiemdziesiąte i początek lat dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia to okres, w którym w środowisku naukowym narasta sprzeciw wobec uprawiania nauki według tradycyjnych, racjonalnych z założenia wzorców. Coraz większa grupa badaczy (szczególnie przedstawiciele nauk humanistycznych) opowiada się za słuszością tezy głoszącej, że nauka jest zbiorem opowieści, które uznaje się za prawdziwe tylko dlatego, że środowisko naukowe je akceptuje. Powstaje więc pytanie, czy warto trzymać się ściśle skomplikowanych procedur i tworzyć niezwykle rozbudowane modele (często formalne), skoro i tak nie mamy żadnych powodów, by twierdzić, że w ten sposób zbliżamy się do tzw. prawdy obiektywnej.

W obrębie językoznawstwa coraz większe uznanie zyskuje wtedy kognitywizm, który w pierwszych swoich manifestach zarzuca dotychczasowym kierunkom badawczym (głównie generatywizmowi) przede wszystkim nadmierne podążanie w stronę formalizacji opisów języka. Inny poważny zarzut dotyczy redukcjonistycznego postrzegania języka przez dotychczasowe językoznawstwo. Języka – głosi kognitywizm – nie można oddzielić od sfery poznawczej człowieka; należy więc go badać w sposób holistyczny. Najbardziej uderzającą zmianę można było wtedy obserwować w samym języku nauki. W latach siedemdziesiątych przymiotnik *eklektyczny* miał zdecydowanie pejoratywne nacechowanie. Użycie go w recenzji (np. pracy doktorskiej) powszechnie utożsamiano z poważnym zarzutem wobec recenzowanej pracy. W latach osiemdziesiątych podejście eklektyczne było jednak bardzo dobrze postrzegane przez spore już wtedy grono badaczy.

Książka JR pomyślana została jako próba poszukiwania sensu zarówno dotychczasowego ujmowania języka i językoznawstwa, jak i nauki, które

najogólniejsza definicja to poznanie racjonalne. Problemem wszakże podstawowym był podnoszony przez krytyków nauki fakt, że w każdej nauce, a w językoznawstwie w szczególności, z łatwością znaleźć można wiele sądów, których nie da się żadną miarą uznać za racjonalne.

Pomocna w rozwikłaniu tego dylematu okazała się filozofia Izydory Dąbmskiej, a przede wszystkim jej praca z 1937 roku, zatytułowana *Irracjonalizm a poznanie naukowe* (por. Dąbmska, 1937). Spośród bowiem znanych i opisanych przez historyków idei odmian racjonalizmu za najbliższy uznałem wtedy racjonalizm umiarkowany, wyznawany m.in. właśnie przez Izydorę Dąbmską. Jego charakterystyczną cechą jest przeświadczenie, że pewne założenia są wyrazem przyjętych z góry przekonań racjonalisty. Już zresztą samo założenie, iż w nauce należy kierować się racjonalizmem umiarkowanym, jest w pewnym stopniu pozaracjonalne, wynika bowiem z przekonań badacza, mimo że za przyjęciem tej zasady przemawiają także rozumowe względy metanaukowe, wynikające choćby z krytycznej analizy tzw. racjonalizmu scjentyistycznego.

Racjonalizm odwołuje się do rozumu jako źródła (racji) prawomocności formułowanych sądów o tym czy innym przedmiocie rozważań. Aby jakiś sąd mógł zostać zaakceptowany rozumowo, musi on powstać z udziałem ściśle określonej metody, musi też wynikać z innych sądów powstałych przy użyciu tej samej metodologii. Stąd racjonalizm, który wtedy przyjąłem, jest racjonalizmem analitycznym, sprawdzającym krok po kroku prawomocność formułowanych sądów. Jednocześnie skonstruowana w ten sposób teoria powinna tworzyć spójną całość, a o tym, czy taką całość tworzy, można orzec, patrząc na nią globalnie. Teoria naukowa jako całość powinna też zostać porównana z inną teorią (jeżeli taka oczywiście istnieje) dotyczącą tego samego przedmiotu. A zatem przyjęty racjonalizm jest jednocześnie racjonalizmem globalnym. Sam racjonalizm globalny może prowadzić do irracjonalizmu, wydaje się jednak, że powiązany z racjonalizmem analitycznym nie niesie takiego zagrożenia, ale okazuje się pomocny w rozstrzygnięciu kwestii ogólnych, które analiza prowadzona krok po kroku może pominąć. Teoria, którą tworzymy, musi zatem nie tylko stanowić zbiór wzajemnie warunkujących się sądów, ale też powinna tworzyć pewnego rodzaju system globalny, z którego można by wyciągnąć wnioski (lub choćby spekulować) co do słuszności przyjętych założeń. Wiąże się z tym postulat o potrzebie wypracowania przez metateorię metod globalnego i analitycznego porównania jednej teorii z innymi teoriami dotyczącymi tego samego zjawiska.

Jeśli posłużyć się tu analogią, pozwalającą na przybliżenie myśli zawartych w powyższym akapicie, badacza racjonalistę można by porównać do autora krzyżówki, który układa ją w taki sposób, by hasła się ze sobą krzyżowały. Musi on zarazem tak dobierać definicje wyrazów, aby niemożliwe było wpisanie przez rozwiązującegogo dwóch lub więcej wyrazów bez popełnienia błędu.

Można sobie bowiem wyobrazić, że mimo krzyżowania się i spełniania wymogów definicji rozwiązanie będzie poprawne, gdy wpisujący poda jeden z dwóch, trzech (lub nawet więcej) wyrazów. Jeżeli jest nam np. potrzebne trzyliterowe imię żeńskie zaczynające się na „i” i kończące na „a” ze środkową literą, która się nie krzyżuje, to bez groźby popełnienia błędu możemy wpisać zarówno *Iza*, jak i *Iga* czy *Ida*. W odniesieniu do wewnętrznych wymogów krzyżówki wszystkie trzy rozwiązania są prawidłowe. Podobnie zdarza się często w teorii naukowej, a tej jej słabości nie da się uniknąć na drodze sprawdzania, czy przestrzega ona wymogów racjonalizmu analitycznego. Autor krzyżówki musi przewidzieć takie pułapki, patrząc globalnie na potencjalne jej rozwiązania. Po zestawieniu ich ze sobą powinien sprecyzować znaczenie (np. zastępując podpowiedź imię żeńskie podpowiedzią „obchodzi imieniny 13 kwietnia”), by możliwe było tylko jedno rozwiązanie. Podobnie rzecz się ma z teoriami naukowymi, które należy ze sobą tak zestawiać, by wybrać najlepszą z możliwych. Zestawianie poszczególnych elementów dwóch czy trzech teorii bez uwzględnienia relacji wewnątrzsystemowych, w jakie te elementy wchodzi w obrębie poszczególnych teorii, może jednak prowadzić do opacznych uogólnień. Dlatego racjonalizm, który zakładamy, jest racjonalizmem analitycznym i globalnym jednocześnie.

Racjonalizm taki jest zatem krytyczny – nazwać go można racjonalizmem sceptyka. Główny nacisk kładzie na sformułowanie właściwej, logicznie spójnej metody. Nie można oczywiście stawiać tezy, że tylko racjonalista jest uprawniony do formułowania sądów o rzeczywistości. Należy wszakże założyć, że poznanie naukowe musi być poznaniem racjonalnym, a zatem wyłączyć poza obręb nauki zaplątane w niej zdania irracjonalne, np. zdania nierozstrzygalne czy zdania wewnętrznie sprzeczne. Tak zarysowany racjonalizm nie ma prawa odmawiać zasadności i trafności sądom, które nie mieszczą się w zbiorze sądów racjonalnych, ma jednak prawo i obowiązek uznać je za subiektywne wyznaczenie wiary, za opinię, dla której trudno byłoby domagać się powszechnego uznania.

Tak pojęty racjonalizm pozostawia pewien niedosyt, który wszakże nie powinien nieść za sobą przeświadczenia o klęsce racjonalisty. Przyczyną owego niedosytu jest – jak się wydaje – wspomniane wcześniej przekonanie, że u podstaw racjonalizmu tkwi coś irracjonalnego. Niektóre, czasem nawet podstawowe dla danej dyscypliny założenia trudno niekiedy bez wahania przyjąć i uznać za racjonalnie uzasadnione. Takim np. założeniem może się wydawać powszechnie przyjmowany przez lingwistów pogląd, że język jest abstrakcyjnym systemem znaków. Podobne zastrzeżenia może też budzić wybór jednej metody spośród kilku czy kilkunastu istniejących. Posługujemy się tu bowiem raczej intuicją i wewnętrznym przekonaniem niż argumentacją racjonalną. Wydaje się jednak, że obydwie przyczyny niedosytu można skutecznie zminimalizować, przyjmując właśnie założenie o globalnym charakterze naszego

racjonalizmu; zminimalizować na tyle, by można było dzięki tzw. zdrowemu rozsądkowi uniknąć zwątpienia w sens racjonalnych dociekań. Niedosyt jednak – tak czy inaczej – pozostaje.

Niedosyt racjonalisty przyjmującego postulat o umiarkowanym racjonalizmie nie powinien go sprowadzić z drogi poszukiwań naukowych (w przyjętym tu znaczeniu słowa *naukowy*), wręcz przeciwnie – powinien być twórczy, to znaczy powinien skłaniać go nieustannie do poszukiwania skuteczniejszych metod opisu przedmiotu i wartościowania teorii. Przyjęty system weryfikacji hipotez i akceptowania sądów, a także wartościowania pełnych teorii naukowych, minimalizuje ryzyko błędu, sprawia więc, że tak sformułowane zdania są bliskie wiedzy obiektywnej. Świadomość tego powinna rekompensować badaczowi fakt, iż sądy powstałe bez troski o czystość metodologiczną wydawać się mogą niekiedy bogatsze, bardziej wnikliwe i głębiej oddające intuicyjnie dostrzeganą złożoność obserwowanych zjawisk. Zawsze będą to jednak tylko sądy subiektywne.

Pojawia się nowe pytanie i rodzi się jednocześnie pokusa, której zresztą uległo wielu filozofów i metodologów scjentystycznych. Czy mianowicie nie jest w tej sytuacji wyjściem porzucenie postulatu o umiarkowanym racjonalizmie i znalezienie takiego racjonalizmu, który byłby pewny, w którym nie byłoby miejsca na „zdroworozsądkowe” spekulacje na temat przyjętych założeń i wyboru metody opisu, w którym chodziłoby nie tyle o zminimalizowanie ryzyka błędu, ile o wykluczenie jakiegokolwiek błędu?

Odpowiedź na to pytanie może być tylko negatywna. Przeświadczenie o niemożliwości zbudowania pewnej niepozostawiającej cienia wątpliwości metodologii racjonalistycznej jest po części wyznaniem wiary umiarkowanego racjonalisty, po części jednak wynika z wywodów metanaukowych. Metanaukowe umocowanie umiarkowanego racjonalizmu jest więc również umiarkowanie racjonalne. Teorii umiarkowanego racjonalizmu właściwy jest – jak już stwierdziliśmy – krytycyzm, można rzec – częściowy sceptycyzm. Bez niego bowiem racjonalizm stałby się bezzasadnym wyznaniem wiary w możliwość racjonalnego poznania, byłby więc w istocie irracjonalizmem. Sceptycyzm broni przed wiarą w absolutny charakter ludzkiej wiedzy, a tym samym stanowi obronę przed powszechnym irracjonalizmem. Sceptycyzm ów znacznie silniej oddziałuje na teorię racjonalizmu scjentystycznego – bronić ma bowiem nie tylko przed irracjonalizmem, ale również przed umiarkowanym racjonalizmem, którego scjentyista zaakceptować nie może, zarzucając mu właśnie tkwiący u jego podstaw irracjonalizm.

Godząc się jednak na całkowity sceptycyzm, musimy w konsekwencji uznać, że istnieje tylko jeden pewnik, a mianowicie ten, że żaden pewnik nie może być ostatecznie przyjęty. Akceptacja owej tezy oznacza z kolei przejście do agnostycyzmu, którego osnową jest niby-rozumowe przekonanie, że wszelkie

rozumowe poznanie jest niemożliwe. Stwierdzenie to jest w oczywisty, choć paradoksalny, sposób irracjonalne. Skoro bowiem poznanie rozumowe jest niemożliwe, to jak rozumem poznać, że jest ono niemożliwe. Scjentyistyczne racjonalizmy, które mają ambicję zastąpić umiarkowany racjonalizm, same w sobie są zatem irracjonalne. Co gorsza, dają pole irracjonalizmowi programowemu, takim jak mistycyzm, intuicjonizm czy gnostycyzm.

Scjentyistyczny sceptycyzm okazuje się groźnym przeciwnikiem umiarkowanego racjonalizmu, tym bardziej że bywa postrzegany jako racjonalizm czysty i jako taki dostarcza wielu badaczom argumentacji na niekorzyść perspektyw racjonalnego poznania. W konsekwencji, jeżeli nawet nie sprowadza wyznających go badaczy z drogi racjonalizmu, to wywołuje autodestrukcję i zwątpienie. Potęgują się one jeszcze bardziej, gdy badacz zastanawia się nad stanem uprawianej przez siebie nauki i dostrzega mnogość sądów nieracjonalnych w pracach i wypowiedziach, które powstały na gruncie bliskiej mu dyscypliny. Trzeba tu jednak podkreślić, że pojawianie się takich sądów w większości wypadków wcale nie wynika z programowego odejścia od racjonalizmu w nauce, ale bądź to z braku należytej skodyfikowanej metodologii, bądź to z braku dla niej szacunku w danym środowisku badawczym. Wydaje się zatem, iż istnieje potrzeba nie tylko konstruowania nowych teorii, ale też refleksji metateoretycznej, za sprawą której pokusić się można choćby o wskazanie, co konkretnie – mimo że pojawia się w pracach uznawanych za językoznawcze, a więc naukowe (= racjonalne) – jest rzeczywiście racjonalne, a co takiego charakteru nie ma.

Na zakończenie tych ogólnych uwag jeszcze kilka zdań poświęcić należy temu, co w ramach przyjętej tutaj koncepcji racjonalizmu zmieścić się nie może. Nazywamy to wymiennie irracjonalizmem, elementami irracjonalnymi, pozaracjonalnymi, przedracjonalnymi bądź nieracjonalnymi, aczkolwiek niektórzy badacze skłonni byłiby w owym zbiorze elementów, którym nie można przypisać miana racjonalnych, oddzielić elementy irracjonalne od pozaracjonalnych (czy przedracjonalnych), przypisując prawo bytu w koncepcjach nauki umiarkowanie racjonalnej tylko tym ostatnim. Wydaje się wszakże – rozumiejąc intuicyjnie sens tego rozróżnienia (w języku polskim określenia *pozaracjonalny* czy *przedracjonalny* są w większym stopniu neutralne niż *irracjonalny*) – że wyznaczenie granicy pomiędzy obydwoma podzbiórami jest zadaniem beznadziejnym właśnie z racjonalistycznego punktu widzenia. Sens tego zabiegu byłby zatem bardziej symboliczny (językowa nobilitacja umiarkowanego racjonalizmu przez stwierdzenie, że u jego podstaw leży nie coś, co jest irracjonalne (nieracjonalne), ale coś, co jest pozaracjonalne (przedracjonalne)) niż merytoryczny. Z rozróżnienia tego skłonni jesteśmy zatem zrezygnować, szczególnie że do celów tych rozważań nie jest ono potrzebne. Cel, który tu postawiliśmy, to bowiem rozgraniczenie racjonalnych sądów

językoznawczych od nieracjonalnych bez wgłębiania się w istotę i wewnętrzne zróżnicowanie tych drugich.

Tym, co wydaje się natomiast potrzebne, jest zwrócenie uwagi na fakt, że w argumentacji, którą z naszego punktu widzenia nazwalibyśmy irracjonalną, mogą wystąpić nawet w przewadze argumenty racjonalne. Aby jednak cała argumentacja znalazła uznanie w oczach racjonalisty, powinna zostać – w miarę możliwości metateorii – oczyszczona z elementów irracjonalnych. Jeżeli za naukę uznamy zbiór powiązanych wzajemnie zdań, to kryjące się w tym zbiorze zdanie irracjonalne może spowodować – o ile rzeczywiście wchodzi ono w relacje z pozostałymi zdaniami – że cały zbiór stanie się irracjonalny. Eliminacji takiego zdania powinniśmy dokonać na drodze analitycznej, z globalnego zaś punktu widzenia, tj. biorąc pod uwagę pełną teorię naukową (pełny model) i porównując ją z innymi, osłabiamy (lub pogłębiaamy) nasz niedosyt wynikający z przyjęcia „na wiarę” założeń, które leżą u podstaw naszego rozumowania i metody badawczej, za pomocą której konstruujemy naszą teorię.

Można przy tym postawić hipotezę, że sądy irracjonalne są w tym samym stopniu przydatne racjonalnej nauce, w jakim owa nauka służy osobom, które o rzeczywistości (np. o języku) formułują opinie nienaukowe (irracjonalne). Nauka o języku jest zazwyczaj (w mniejszym lub większym stopniu) podstawą do formułowania osobistych refleksji na temat języka, a te z kolei stanowią często podstawę do formułowania hipotez językoznawczych. Związki te wszakże nie są konieczne. Można bowiem nie rozróżniać przyimka od zaimka i ciekawie o języku opowiadać, można też przestudiować kilka modeli języka i znać przeróżne opinie na jego temat, i nie być przy tym zdolnym do sformułowania żadnej interesującej hipotezy badawczej.

# Redukcja teoriopoznawcza (Edmund Husserl)

Zarysowana przez Izydorę Dąbmską koncepcja umiarkowanego racjonalizmu pozwala na przyjęcie pewnych założeń wstępnych bez konieczności ich racjonalnego uzasadniania. Niemniej jednak nie zwalnia ona z obowiązku późniejszego poszukiwania argumentacji na rzecz tych przyjętych apriorycznie założeń. Z pewnością zbudowanie przekonującej i koherentnej teorii językoznawczej na ich podstawie jest bardzo ważnym argumentem w ich ocenie. Jeszcze ważniejsze byłoby – jak się wydaje – znalezienie ich filozoficznego umocowania. W tej części rozważań przedstawiamy zawartą w JR propozycję umocowania podstawowych założeń zaproponowanej tam teorii językoznawczej w ramach systemu filozoficznego Edmunda Husserla.

Zanim przejdziemy do zreferowania tych kwestii fenomenologii, które uznane zostały za kluczowe w argumentacji na rzecz podstaw teorii lingwistycznej, zastanówmy się nad samymi założeniami tej teorii. W większości sprawy te są bardzo dobrze znane, dlatego w tym omówieniu najwięcej miejsca poświęcimy pewnym z nimi związanym kontrowersjom.

Dwudziestowieczne językoznawstwo poza odróżnianiem synchronii od diachronii odróżnia też tekst od języka. Tekst jest bytem konkretnym (np. tekst tej książki), język zaś – rozumiany jako system znaków i reguł ich używania – jest pojęciem abstrakcyjnym, wymyślonym przez językoznawców w celach poznawczych. Pojęcie to – dodajmy – jest kluczowe dla dwudziestowiecznego językoznawstwa, powstało zaś dzięki pewnemu wnioskowaniu – temu mianowicie, że skoro po wypowiedzeniu przeze mnie tekstu istnieje taka osoba, która ten tekst jest w stanie zrozumieć i odpowiedzieć nań takim tekstem, który i ja rozumiem, to wolno mi pokusić się o konkluzję, że tekst powstaje dzięki istnieniu w naszych umysłach pewnego wspólnego systemu przepisów



budowania tekstu, które pozwalają go rozszyfrować. Przepisy te mają ponadto tę własność, że wcale nie musimy ich sobie uświadamiać; nie musimy umieć ich formułować, a jednak umiemy teksty tworzyć i – co więcej – nieustannie je tworzymy.

Powyższe stwierdzenia mogłyby dać nam podstawę do sformułowania tezy, iż zadaniem językoznawstwa jest zrekonstruowanie na podstawie tekstów tej naszej jasnej (implicitnej) wiedzy o systemie, która pozwala teksty tworzyć i je rozumieć. Dane są nam zatem empiryczne teksty, my zaś, jako językoznawcy, czyli odkrywcy niedanego nam bezpośrednio systemu, za pomocą wypracowanych przez siebie metod analizujemy je i na tej podstawie budujemy abstrakcyjny system językowy, tj. dochodzimy do wiedzy wyraźnej (eksplicytnej).

W tym miejscu można by zaryzykować stwierdzenie, iż wielu badaczy języka zdaje się wierzyć, że takie właśnie postępowanie jest nie tylko prawomocne i racjonalne, ale również najlepsze z możliwych. Badacze ci są zresztą przekonani zazwyczaj również o tym, że w swojej praktyce badawczej tak właśnie postępują. W istocie zaś – oprócz stwierdzeń niewątpliwych – odnaleźć można w tym rozumowaniu wiele daleko idących uproszczeń.

Na pierwsze niebezpieczeństwo, które może wypaczyć obraz badanego przedmiotu, zwrócił uwagę Mieczysław A. Krąpiec (1985). W jego systemie filozoficznym – nawiązującym do Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu – język jest nierozzerwalnym elementem triady byt–myślenie–język i jako taki powinien być badany w ścisłym związku z poznaniem i rozumem, który jest źródłem językowej (i nie tylko) kreatywności. Dochodząc zatem do budowy systemu językowego na drodze ukazania relacji jedynie pomiędzy jego hipotetycznymi elementami bez jednoznacznego odwołania się do rzeczywistości (dziedziny bytu) i poznania (dziedziny myśli), można łatwo zgubić to, co było pierwotnie dane do zbadania. Teza ta została najdobitniej sformułowana w następującym fragmencie cytowanej rozprawy:

Jesteśmy zatem świadkami naszej nieustannej twórczości w zakresie języka, który jako zjawisko ludzkie, integrujące momenty poznawczo-relacyjne i wolitywne świadczy o specyfice człowieka i jako taki wymyka się metodom badawczym scjentyzmu. Język ludzki ukazany w świetle scjentyzmu jest faktem o dwustronnej materialno-psychicznej budowie, związanym z signifikowaniem żywionych treści poznawczych, sprzężonych z całokształtem życia psychicznego i użytym wyłącznie jeden raz, mimo swej izomorfii do znaków ciągle używanych, w różnych wszakże kontekstach i na oznaczenie różnych odcieni poznawanych treści (Krąpiec, 1985, s. 46).

Nie brały tego pod uwagę nawet całe szkoły badawcze, jak choćby szkoła dystrybucjonistów, które w imię obiektywizmu zdecydowały się tropić tylko



formalne związki pomiędzy elementami tekstów. Negatywne doświadczenia tamtej szkoły przyczyniły się jednakże do tego, że dziś w powszechnej niemal opinii badaczy istnieje konieczność badania strony syntaktyczno-formalnej języka w połączeniu z komunikowaną w ten sposób treścią.

Z rozważań Krąpca językoznawca może jednak wyciągnąć wniosek destrukcyjny dla przyszłości swoich racjonalnych dociekań gramatycznych. Powstaje bowiem pytanie o wartość poznawczą sądów lingwisty. Jeżeli bowiem ktoś zajmujący się deszyfrowaniem reguł gramatycznych (nawet z uwzględnieniem wpływu tych reguł na znaczenie) i formułujący sądy na temat budowy wyrażen uzna za trafny następujący fragment pracy Krąpca:

[...] właściwie my w naszej mowie nieustannie – według naszej woli – tworzymy, kreujemy słowa. Każdy bowiem znak słowny użyty na oznaczenie zawartości poznawczych w określonym kontekście psychicznym (poznawczym i emocyjnym) jest właściwie znakiem użytym jedynie raz, albowiem w użyciu tego znaku wchodzi taki zespół elementów znaczących, że nie sposób tego znaku jako identycznego w identycznych kontekstach użyć po raz drugi (Krąpiec, 1985, s. 45–46).

to może zwątpić, iż jego ustalenia mają jakikolwiek związek z systemem językowym. Po przeczytaniu z kolei następującego fragmentu rozprawy Krąpca:

W społeczności język – sam będąc wyrazem twórczego ducha – jest przyporządkowany człowiekowi w tworzeniu jego osobowej, duchowej twarzy poprzez rozwój duchowych, poza-biologicznych wartości. Ujmowany jako znak, nie da się wyjaśnić w jednej płaszczyźnie języka (np. syntaktycznej), gdyż natura znaku jako zbitki relacji przedmiotowo-podmiotowych byłaby zatracona, a nadto sam przedmiot wyjaśniania – język – stałby się przedmiotem niepoznawalnym, bo nie odróżnionym jako język-znak od innych przedmiotów. Wielopłaszczyznowość znaku wiąże go z konieczności z filozoficznym typem poznania (Krąpiec, 1985, s. 51).

dojść może do przekonania nie tylko o niskiej wartości poznawczej swoich sądów, ale nawet o irracjonalnym charakterze swoich poczyniń badawczych jako niemających umocowania w spójnym systemie filozoficznym i metanaukowym.

Sam Krąpiec (np. 1990) daleki jest od poglądu, że językoznawstwo badające syntaktyczną stronę relacji pomiędzy znakami nie ma racji bytu, pisząc, iż „językoznawstwo jako nauka ścisła dobrze opracowuje syntaktyczną stronę języka” (1990, s. 27). Jego czytelnik-językoznawca, szczególnie po przeczytaniu dalszej części zacytowanego wyżej zdania i zdania następnego:

[...] a przy uwzględnieniu semantycznej i pragmatycznej jego strony nie tylko traci na ostrości analiz, ale wchodzi niebacznie na pole filozofii i wypowiedzi

normalne „głupstwa” (jak np. negacja podmiotowości bytowej jaźni na skutek „pustki treściowej” zaimka osobowego „ja”). Jeśli z kolei językoznawstwo nie uwzględni strony semantycznej, to przestaje być jakąkolwiek nauką o języku, który jest systemem znaków znaczących sensy i oznaczających rzeczy (tamże).

może dojść do destrukcyjnej konkluzji. Z tego powodu wydaje się celowe poszukanie umocowania językoznawstwa i przedmiotu jego badań w poznaniu filozoficznym.

Systemem filozoficznym, który może pomóc w zawieszeniu grożącego językoznawcy zwątpienia w możliwości jego racjonalnych dociekań, jest fenomenologia, a ściślej, głoszona przez Edmunda Husserla zasada redukcji teorio-poznawczej (fenomenologicznej). Zasada ta pozwala spreparować przedmiot dociekań językoznawcy. Ów preparat to byt, który nazwiemy tu „językiem językoznawczym”. Właśnie ów sprawiający wrażenie konstrukcji tautologicznej „język językoznawczy” jest przedmiotem językoznawstwa jako nauki umiarkowanie racjonalnej.

Należałoby tu wyjść od bezsprzecznego faktu: język istnieje. Poruszając się w kręgu filozofii tomistycznej, można powiedzieć, że człowiek w akcie poznawczym stwierdza, afirmuje istnienie języka, tak jak każdego bytu danego w empirii; co więcej – języka doświadcza człowiek we własnej jaźni, kiedy refleksyjnie rejestruje fakt „ja mówię”. To zupełnie tak samo, jak rejestruje fakty „ja oddycham”, „ja poznaję”, „ja czuję”. Na mocy tego doświadczenia stwierdzamy fakt istnienia języka jako elementu rzeczywistości, jako bytu.

Stwierdzenie tego faktu jest wystarczające, by przyjąć, że język istnieje, jest elementem rzeczywistości. Człowiek w akcie refleksji może sformułować wiele sądów na temat tego bytu, ponieważ w czasie jego poznawania sam już utworzył sobie sądy na jego temat, wybierając pewne cechy; zbudował sobie transparentne pojęcie języka będące jakby pośrednikiem pomiędzy językiem jako elementem rzeczywistości a sobą jako poznającym podmiotem. Owemu tworzeniu pojęcia towarzyszy refleksja, która jest poznaniem samego procesu poznania. Refleksja ta jest z kolei bazą specjalnego aktu poznawczego, w którym przedmiotem poznania stają się własne akty poznawcze poznającego podmiotu.

Ten punkt wyjścia wspólny jest dla różnych systemów filozoficznych, także dla tomizmu i fenomenologii. W drugim wykładzie idei fenomenologii Husserl zakłada, że:

Każde przeżycie intelektualne i każde przeżycie w ogóle, jeśli zostało spełnione, może zostać uczynione przedmiotem czystego oglądania i uchwycenia (Fassen), i w oglądaniu tym będzie ono stanowiło daną absolutną. Dane jest wówczas jako coś istniejącego, jako pewne to-oto, [jako coś,] w czego istnienie nie ma sensu wątpić. Mogę wprawdzie rozważać, co to jest za byt i w jakim stosunku pozostaje jego sposób istnienia do innych, mogę dalej rozważać, co tutaj oznacza

„bycie danym” (*Gegebenheit*), i mogę, kontynuując refleksję, doprowadzić do oglądania samego oglądania, w którym konstytuuje się to bycie danym, resp. ten sposób istnienia (Husserl, 1958, cytat za wyd. polskim, s. 41).

Dalej jednak poglądy zawarte w obu systemach się rozchodzą. O ile bowiem dla systemu głoszonego przez neotomistów ważne jest badanie języka w związku z dziedziną bytu i dziedziną myślenia, o tyle z założeń drugiego i następnych wykładów Husserla wynika, iż przy poznaniu przedmiotu

[...] należy dokonać redukcji teoriopoznawczej, tzn. należy opatrzeć wszelką wchodzącą tu w grę transcendencję wskaźnikiem wyłączenia albo obojętności, teoriopoznawczej zerowości, wskaźnikiem, który powiada: istnienie wszystkich tych transcendentów, niezależnie od tego, czy jestem o nich przeświadczony, czy nie, nic tu mnie nie obchodzi, nie tutaj miejsce, by o nim sądzić, to pozostaje całkiem wyłączone z gry (Husserl, 1958, cytat za wyd. polskim, s. 51).

W ten sposób dojść można od fenomenu psychicznego, jakim byłby dla nas transcendentny język jedynie zaafirmowany na mocy uznania za prawdziwe zdania „język istnieje”, do czystego, immanentnego fenomenu języka, języka fenomenologicznego, tj. zredukowanego do czystego fenomenu języka psychologicznego; ów język fenomenologiczny jest dla nas równocześnie językiem językoznawczym, czyli przedmiotem językoznawstwa.

Uznanie języka językoznawczego za przedmiot naszych badań pozwoli nam uniknąć innych kłopotów, które moglibyśmy napotkać pomiędzy tekstem a systemem. Przyjmijmy roboczą definicję języka, zgodnie z którą przez to pojęcie rozumiemy system przepisów (reguł) budowania tekstów. Nazwijmy jednocześnie ów system przepisów gramatyką języka, by zastanowić się nad tym, jakie dane uprawomocniają jej zaproponowanie przez badacza.

Wśród językoznawców znajdziemy dwa zasadniczo odmienne stanowiska w kwestii danych potrzebnych do zbudowania gramatyki. Wiążą się one z propagowanymi przez językoznawców sposobami powstawania gramatyk. Pierwszy sposób charakteryzuje się tym, że badacz bierze pod uwagę teksty i na ich podstawie, na podstawie ich rozbioru, buduje model systemu, który umożliwi powstawanie takichże tekstów. Drugi sposób cechuje zaś to, iż badacz apriorycznie zakłada pewien model systemu językowego, następnie hipotezę tę falsyfikuje, odnosząc do modelu dane językowe.

Można przy tym przyjąć, że istnieją dwa sposoby zdobywania danych językowych, dwa zasadnicze źródła, z których zwykło się czerpać dane językowe potrzebne nam przy budowaniu gramatyk. Pierwszym źródłem są zapisane bądź wypowiedziane teksty, drugim źródłem – to, co umownie określamy mianem kompetencji (czasem intuicji) językowej.

Zgodnie więc z tym, co powiedzieliśmy wyżej, przyjąć można, iż istnieją cztery podejścia do danych językowych przy budowaniu gramatyki:

1. Taksonomiczne budowanie gramatyki na podstawie rozbioru istniejących tekstów.
2. Taksonomiczne budowanie gramatyki na podstawie rozbioru danych pochodzących z własnej kompetencji językowej badacza.
3. Falsyfikowanie apriorycznie przyjętej gramatyki na podstawie danych pochodzących z istniejących tekstów.
4. Falsyfikowanie apriorycznie przyjętej gramatyki na podstawie kompetencji językowej badacza.

Przypuszczać też można, że najwięcej zwolenników ma sposób pierwszy, bo jest on w porównaniu z drugim i czwartym obiektywny, w porównaniu zaś z trzecim i czwartym – „niefałszogeny”. Obiektywny, bo oparty na tekstach obiektywnie istniejących; „niefałszogeny”, bo dzięki niemu można uniknąć sytuacji, w której mimo swej dobrej woli badacz jest narażony na branie pod uwagę tylko tych faktów, które potwierdzają jego hipotezy.

Idąc dalej w swych przypuszczeniach, powiedzielibyśmy też, że trzeci sposób jako bardziej obiektywny znalazłby pewnie więcej zwolenników niż sposób drugi, obiektywność uchodzi chyba za ważniejsze kryterium niż (nie) fałszogenność. Najmniej zwolenników miałby zapewne sposób czwarty. Jest on bowiem i nieobiektywny ze względu na źródło danych językowych, i fałszogeny ze względu na udział tych danych w procesie budowania gramatyki. Sprzyja nadto – ze względu właśnie na swą fałszogenność – szybkiemu, acz nieodpowiedzialnemu tworzeniu prac naukowych. Zdaniem starszych językoznawców jego popularność wśród młodszych badaczy wypływa przede wszystkim z tego, że za jego pomocą można przeskoczyć trudny i żmudny etap zbierania materiałów.

Można wszakże udowodnić, że hipotetycznie tu zrekonstruowany sposób rozumowania językoznawców ma wszelkie znamiona zabobonu. Trzeba by w tym celu dowieść słuszności następującej tezy:

***Tylko czwarty sposób podejścia do danych językowych jest możliwy w językoznawstwie.***

Wydaje się jednak, że słabsza wersja powyższej tezy:

***Czwartego podejścia do danych językowych nie może uniknąć żaden językoznawca.***

równie dobrze posłuży naszemu głównemu dowodowi.

Istnieją przynajmniej trzy argumenty za tym, że nie jest możliwe zbudowanie gramatyki, której wyłącznym źródłem są istniejące teksty. Pierwszy argument – najszerszej rozpowszechniony – odwołuje się do faktu, że człowiek na podstawie systemu językowego może zbudować i zrozumieć nieskończenie wiele tekstów, a wobec tego każdy skończony ich zbiór, nawet gdyby był szalenie rozbudowany, nie daje pewności, że model systemu, który powstaje na bazie skończonego zbioru, jest pełny. Argument ten świadczy w gruncie rzeczy raczej o tym, że modele lingwistyczne, jakkolwiek by były budowane, zawsze będą tylko modelami hipotetycznymi, które obowiązują dopóty, dopóki nie zostaną sfalsyfikowane. Pogląd ten zresztą Karl Popper (1934) odnosi do wszelkich nauk, bo – jak twierdzi – z logicznego punktu widzenia nie można budować zdań ogólnych ze zdań szczegółowych, gdyż ma to znamiona wnioskowania nieniezawodnego. Zawsze bowiem może się zdarzyć odstępstwo od typowych zjawisk obserwowanych w naturze. Dlatego też jego zdaniem wszelka nauka musi dojść do stadium dedukcyjnego – zaproponować hipotetyczny model dedukcyjny. Konsekwencją takiego punktu wyjścia jest dalsza teza Poppera, że wszelkie teorie naukowe nie mogą być zweryfikowane pozytywnie, lecz jedynie odrzucone, gdy się okaże, że istnieją dane, które nie mieszczą się w teorii i które powodują, że teoria po przeróbkach staje się wewnętrznie sprzeczna. Pogląd ten jest bardzo bliski autorowi tej książki.

Istnieje jednak drugi argument, bardziej dla naszego dowodu przydatny ze względów czysto pragmatycznych. Można go przedstawić następująco: badacz zwykle przeprowadza selekcję tekstów. Nie bierze pod uwagę tych, które apriorycznie i intuicyjnie uznaje za nienależące do danego języka. Gdyby dane do gramatyki czerpał on wyłącznie z budowy tekstów, to w zasadzie byłby bezradny nie tylko wobec ewidentnych ułomności tekstów polskich, ale też nie miałby wystarczających racjonalnych podstaw, by teksty polskie oddzielić od tekstów obcojęzycznych.

Trzecim i najważniejszym argumentem jest wszakże fakt, że badacz budujący gramatykę na podstawie tekstów zmuszony jest do ich interpretowania, a więc realnie istniejące empiryczne teksty traktuje tak, jakby sam był ich autorem. Zauważmy przy tym, że językoznawcy, którzy programowo głoszą, że źródłem ich uogólnień są realnie istniejące teksty, wyodrębniają takie byty, jak zdanie izolowane, zdanie minimalne, elementy konotowane, elementy obligatoryjne i fakultatywne. Są to kategorie, które tylko wtedy mają rację bytu, gdy istniejący tekst podda się interpretacji, a zatem potraktuje de facto tak, jakby był on własnym tekstem badacza. Jeżeli bowiem mamy w zbiorze tekstów następujące zdania:

*Jan wyciąga rękę.*

*Jan wyciąga.*

*Jan czyta książkę.*

*Jan czyta.*

to bez własnej ich interpretacji badacz nie mógłby powiedzieć, że przy czasowniku *czytać* w czasie teraźniejszym dopełnienie bliższe nie musi wystąpić, a przy czasowniku *wyciągać* – musi. Brak takiej reguły w gramatyce byłby dla nas bardzo nienaturalny, choć stanowiłby konsekwencję ścisłego trzymania się zasady, że źródłem gramatyki są realnie istniejące teksty, niepoddane interpretacji badacza. Wszystkie cztery wymienione zdania mogą wystąpić bowiem w tekstach.

Przykład ten świadczy też o tym, że badacz skazany jest na posługiwanie się własną kompetencją językową, a dane, które odnajduje w tekstach, mogą być dla niego jedynie pomocą w dopełnianiu i potwierdzaniu własnej kompetencji – są więc swego rodzaju indeksem. Ta pomoc jest i pożyteczna, i potrzebna, aczkolwiek nie da się obronić tezy, że budowanie gramatyki na podstawie tekstów jest metodą najważniejszą i jedynie uprawnioną. Można zatem krótko powiedzieć, że z metodologicznego punktu widzenia nie ma różnicy pomiędzy tym, czy badacz czerpie dane z własnej kompetencji językowej, czy też dane znalezione gdzieś poza nią na swój sposób interpretuje. Możemy tu mówić jedynie o różnicy technicznej. W potocznej świadomości językoznawców różnice techniczne urastają natomiast do istotnych różnic metodologicznych.

Drugi problem można sformułować następująco: czy na podstawie danych językowych badacz jest w stanie zbudować gramatykę w sposób – nazwijmy to – indukcyjny. Chodzi zatem o to, czy możliwe jest drugie z wymienionych tutaj podejść do danych językowych. Pierwsze i trzecie już poddaliśmy krytyce, uznając, że badacz musi posługiwać się własną kompetencją językową w czasie budowania gramatyki. Teraz należy się więc zastanowić, czy jest możliwe takie korzystanie z kompetencji językowej, w którym można było indukcyjnie dochodzić do reguł gramatycznych, tj. uogólniać zaobserwowane fakty językowe.

Można by na to pytanie odpowiedzieć dość demagogicznie, że kompetencji językowej nie da się przedstawić w formie tekstów czy zbioru zdań, bo jest ona jedynie zdolnością człowieka do tworzenia tekstów. Kompetencja może być przeto używana przez badacza przy falsyfikacji hipotetycznej, apriorycznie przyjętej gramatyki. Załóżmy wszakże, że mamy do dyspozycji pewien korpus tekstów przez siebie utworzonych bądź wybranych (tj. zaakceptowanych i zinterpretowanych) z tekstów obcych. Czy możemy na podstawie rozbioru tych tekstów zbudować gramatykę? Wydaje się, że byłoby to zadanie niemożliwe do wykonania. Możemy odpowiedzieć jedynie na pytanie, jakie reguły rządzą tymi tekstami. Utożsamienie rozszyfrowanego w ten sposób zbioru reguł z gramatyką języka byłoby jednak przesadą.

Pierwszy argument, który przytoczyliśmy, by wykazać niemożliwość podejścia bazującego wyłącznie na korpusie obcych tekstów, jest również argumentem w tym dowodzie, ma on jednak w tym miejscu o wiele większą moc. Jeżeli przyjmujemy, że tekstów jest nieskończenie wiele, to uznanie zbioru reguł rządzącego budową największego nawet korpusu tekstów za skończony



ma znamiona wnioskowania nieniezawodnego. Istnieje jednak i drugi, jeszcze mocniejszy argument. Opierając się wyłącznie na korpusie tekstów, nie możemy w żaden sposób postulować zbioru, który zawierałby reguły rekurencyjne (rekursywne, tj. pozwalające na nieskończone działanie reguł). Korpus tekstów zawiera zdania skończone i tylko takie. Wobec tego w sposób indukcyjny nie możemy zaproponować żadnej reguły stwarzającej możliwość rekurencji.

Żeby jednak przywołany w poprzednim akapicie argument miał rzeczywiście moc dowodową, musimy być przekonani, że rekurencja w gramatyce jest niezbędna. Dowód na to przedstawił Noam Chomsky, twórca gramatyki generatywno-transformacyjnej, już w *Syntactic Structures* (1957). Jest on bardzo prosty, a jednocześnie przekonujący. W żaden racjonalny sposób nie da się bowiem powiedzieć, że istnieje ściśle określona granica długości zdania. Nie można np. uznać, że ciąg liczący 120 elementów już zdaniem nie jest, choć zdaniem jest ciąg zawierający 119 elementów. Skoro zatem tej granicy nie ma, to do każdego zdania w korpusie danych zawsze można dodać jakiś element. W ten sposób powstają nowe zdania i – co za tym idzie – nowy korpus, który z kolei znów można w taki sam sposób powiększać. W związku z tym gramatyka musi zawierać reguły pozwalające na te zabiegi.

Muszą to być reguły rekurencyjne, bo skoro zbiór podstawowych elementów języka jest skończony (np. morfemów), to nie ulega wątpliwości, że wydłużanie zdania może polegać na dodawaniu elementów już użytych, nie zaś ciągle nowych. Gramatykę zawierającą reguły rekurencyjne można zaproponować tylko wtedy, gdy się przyjmie czwartą możliwość podejścia do danych językowych, tzn. hipotezę, zgodnie z którą do gramatyki włączy się pewien zestaw reguł (wśród nich także reguły stwarzające możliwość rekurencji) i słuszność bądź niesłuszność owego zbioru sprawdzi się na podstawie danych językowych pochodzących z własnej kompetencji badacza.

By nie powstały nieporozumienia, warto na koniec tej części rozważań odnieść się do gramatyki historycznej, która zdaje się przeczyć powyższemu dowodowi. Tu badacz nie ma bowiem możliwości bezpośredniego korzystania z własnej kompetencji językowej; jest – wydawałoby się – zmuszony do korzystania wyłącznie z tekstów cudzych. Badacz ten, czy to na podstawie tekstów, czy też na podstawie opisów, z którymi się zapoznał, wyrabia sobie jednak kompetencję językową danego okresu języka. Kompetencja ta jest wprawdzie ułomna, a przez to gramatyka historyczna jest o wiele bardziej spekulatywna niż gramatyka opisowa. A przecież tylko kompetencja umożliwi historykowi języka wartościowanie danych językowych. Wystarczy tu wspomnieć o tzw. kwalifikatorach cytatów, bez których trudno wyobrazić sobie gramatykę historyczną czy słownik historyczny (np. *tak*, *zamiast*, *błędnie*), by uzmysłowić sobie, że badacz wartościuje dane historyczne, a przy wartościowaniu zmuszony jest korzystać z własnej kompetencji językowej. Gdyby bowiem bazował wyłącznie na cytatach, owe wartościujące kwalifikatory nie miałyby racji bytu.

Z rozważań powyższych wynika, że gramatyka jest pewną hipotezą dotyczącą systemu przepisów budowania tekstów, którą badacz może poddawać falsyfikacji, ponieważ ma kompetencję umożliwiającą mu tworzenie owych tekstów. Inaczej: można powiedzieć, że ma on wiedzę jasną o języku, refleksja zaś – umocowana w fenomenologii – pozwala mu na zaproponowanie gramatyki, a więc wiedzy wyraźnej. Owa gramatyka jest jednocześnie jego hipotezą na temat języka zredukowanego – języka językoznawczego.

Można mieć oczywiście wątpliwości, czy takie podejście do gramatyki spełnia wymogi stawiane wiedzy obiektywnej. Świadom tego, że takie pytania mogą być stawiane, jak również tego, że trudno te wątpliwości uznać za nieuzasadnione, Noam Chomsky broni swojej teorii językoznawczej, posiłkując się jej skutecznością:

Można by postawić pytanie, czy konieczność preferowania przez językoznawstwo doby obecnej intuicji rodowitego użytkownika języka oraz świadectw pochodzących z introspekcji nie wyklucza go z obrębu nauki. Odpowiedź na tę zasadniczo terminologiczną kwestię nie ma na pozór żadnego związku z jakimkolwiek poważnym zagadnieniem. Co najwyżej określa, co powinno cechować badania, które można skutecznie prowadzić przy obecnym poziomie technik badawczych i rozumienia rzeczywistości. Jednakże w istocie rzeczy wiąże się ona ściśle z innym, bardzo interesującym zagadnieniem, a mianowicie, czy istotną cechą nauk, które odnotowały sukcesy badawcze, była dążność do głębokiej interpretacji zjawisk, czy też troska o obiektywizm. Nauki społeczne i nauki o zachowaniu dostarczają obfitego materiału dowodowego na to, że można dążyć do obiektywizmu, niewiele w konsekwencji zyskując na wiedzy naukowej. Z drugiej zaś strony można podać przekonujące argumenty na rzecz poglądu, że nauki przyrodnicze na ogół dążyły do obiektywizmu przede wszystkim dlatego, że jest on narzędziem służącym do osiągnięcia wiedzy naukowej (tj. jest środkiem służącym do poszukiwania zjawisk, które mogłyby zasugerować lub sprawdzić głębsze hipotezy wyjaśniające) (Chomsky, 1965, cytat za wyd. polskim, s. 39–40).

Wydaje się wszakże, że nie tylko skuteczność usprawiedliwia takie podejście do budowania wiedzy o języku. Przyjmując fenomenologiczny punkt wyjścia, można zawiesić niewiarę w obiektywny charakter językoznawstwa.

Warto się też odnieść do podnoszonego często przez językoznawców-empiryków zarzutu, że hipotezy przyjmowane przez bardziej teoretycznie nastawionych badaczy opierają się niekiedy na bardzo małej liczbie danych empirycznych, mają przeto małą moc uogólniającą i tym samym są wątpliwe. Zarzut ten jest jednak pozorny. Wyobrazić sobie bowiem można zarówno bardzo trudną do sfalsyfikowania hipotezę opartą na nielicznej grupie zaobserwowanych danych, jak i hipotezę bardzo łatwą do sfalsyfikowania, za którą stoi kilkanaście milionów kartek wyekscerpowanych przez badacza z różnych tekstów. Badania



empiryczne mają o tyle sens, o ile przyczyniają się do falsyfikacji hipotez przyjmowanych apriorycznie. Jeżeli więc badacz X zgłosi hipotezę bazującą na kilku faktach, a badacz Y zgłosi hipotezę bazującą na owych milionach kartek, to obie hipotezy, dopóki nie znajdzie się faktów je falsyfikujących, mają równe prawa. Można natomiast, ale jest to zupełnie inny problem, domniemywać, że prawdopodobieństwo szybszego sfalsyfikowania hipotezy badacza X jest dużo większe niż prawdopodobieństwo sfalsyfikowania hipotezy badacza Y. Równie dobrze (choć to jeszcze inny problem) można podejrzewać, że hipoteza iksa jest z poznawczego punktu widzenia ciekawsza, jeżeli oczywiście nie jest ona tzw. wyważaniem otwartych drzwi, tj. wypowiedaniem sądów już dawno sfalsyfikowanych, np. sądu typu: rzeczownik w mianowniku jest w polszczyźnie zawsze podmiotem. Jeżeli ktoś postawi jednak taką hipotezę, to jednocześnie da się poznać jako osoba, która nie zapoznała się w dostatecznym stopniu z dotychczasowymi hipotezami na temat języka polskiego. Podstawowym warunkiem stawiania dobrych hipotez jest więc nie tyle ogromna ekscerpca danych, ile raczej doskonała znajomość zastanych hipotez.

Jeżeli jednak się zgodzimy, że badacz języka na początku swej pracy konstruuje hipotezę na temat tego, jakie reguły rządzą abstrakcyjnym językiem, a następnie na podstawie kompetencji językowej falsyfikuje ową hipotezę, to musimy sobie odpowiedzieć na fundamentalne pytanie, mianowicie: za pomocą jakich konstruktów dostarczanych przez ową kompetencję jest on w stanie prowadzić ów proces falsyfikacji. I tu znów pomocna się okazuje fenomenologiczna zasada redukcji teoriopoznawczej. W tzw. gramatyce tradycyjnej zakłada się, że podstawową jednostką składniową jest wypowiedzenie. Z naszego jednak punktu widzenia wypowiedzenie będziemy traktować jako jednostkę tekstową, za podstawową jednostkę języka językoznawczego uznamy natomiast **zdanie językoznawcze**.

Przyjmujemy zatem, że język zawiera reguły, które generują nieskończony zbiór zdań językoznawczych, a idealny użytkownik języka na mocy swej kompetencji językowej jest w stanie uznać, czy wygenerowany produkt należy do zbioru zdań językoznawczych, czy do tego zbioru nie należy.

Możemy zatem powiedzieć, że zdanie językoznawcze (zwane niekiedy zdaniem izolowanym) to poddane redukcji teoriopoznawczej pojęcie wypowiedzenia. Wyjaśnijmy to na przykładzie. Ciąg brzmieniowy *Janek przysunął* może wystąpić w następującym dialogu:

A. – *Kto postawił tu krzesło?* B. – *Janek przysunął.*

Ciąg ten byłby w gramatyce tradycyjnej wypowiedzeniem zdaniowym, ponieważ zawiera orzeczenie *przysunął*. Zauważmy też, że cała sekwencja wypowiedziana przez B jest ściśle związana z sekwencją wypowiedzianą przez A.

Gdyby A nic nie mówił, a B rozpoczął rozmowę od wypowiedzenia *Janek przysunął*, nie wskazując przy tym na krzesło, to można by oczekiwać, że A zapyta: *Co Janek przysunął?*. Samo wypowiedzenie *Janek przysunął* jest bowiem urwane; intuicyjnie uznajemy je za niedokończone.

Nie chodzi przy tym o to, że zdanie nie zawiera pełnej informacji. Dwuelementowe zdanie *Janek pierze* również nie zawiera informacji o przedmiocie, którego czynność dotyczy, mimo to uznajemy je za całość, która nie wymaga uwikłania w kontekst czy sytuację. Zwróćmy też uwagę, że trudno jest przewidzieć, dlaczego pewne zdania intuicyjnie uważamy za skończone, mogące pojawić się w izolacji, podczas gdy inne, choć strukturalnie bardzo podobne, uznajemy za niedokończone. Na przykład zdanie *Janek idzie* możemy uznać za pełne zdanie izolowane, natomiast zdanie *Janek mieszka*, mimo że również zawiera czasownik nieprzechodni *mieszkać*, wymaga uzupełnienia (choćby: *w Krakowie*). Właśnie takie zdanie, które na podstawie naszej wiedzy jasnej jesteśmy skłonni uznać za pełne, jest podstawową kategorią języka językoznawczego. Możemy jednocześnie powiedzieć, że język językoznawczy generuje nieskończony zbiór zdań językoznawczych.

Ten ostatni sąd wymaga jednak dodatkowego komentarza. Chodzi bowiem o to, że wprawdzie wiele zdań językoznawczych może w niezmienionej formie zostać użytych w tekstach, ale też istnieje wiele takich zdań językoznawczych, których próżno w tekstach szukać.

Podstawową przyczyną tego stanu rzeczy jest rekurencyjny charakter języka. Jak już powiedzieliśmy, powinniśmy przyjąć, że skoro zawiera on skończoną liczbę elementów (np. morfemów), to wydłużanie zdania musi polegać na dodawaniu elementów już wcześniej użytych, nie zaś wciąż nowych. W generatywnych modelach języka rekurencyjny charakter jest osiągany w ten sposób, że abstrakcyjny element użyty po lewej stronie strzałki może się też pojawić po jej prawej stronie. Zilustrować to można za pomocą dwóch następujących reguł:

$$\begin{aligned} A &\rightarrow B C \\ C &\rightarrow D (A) \end{aligned}$$

Dzięki tym regułom możemy generować nieskończony zbiór drzewek, ponieważ pod symbolem C może wystąpić symbol A. Jeśli wystąpi, należy go znowu rozpisać. W ten sposób model się zapętla.

Za pomocą powyższych dwóch reguł jesteśmy w stanie generować zdanie *Jan czyta*, ale też zdanie *Jan czyta, że Zosia czyta*, a następnie zdanie *Jan czyta, że Zosia czyta, że Maria czyta* itd. Możemy zatem wytworzyć zdanie językoznawcze zawierające kilkaset tysięcy elementów. Łatwo przewidzieć, że takie zdanie nie może pojawić się w tekście z powodów pragmatycznych. Nikt nie byłby go w stanie ani wytworzyć, ani tym bardziej odebrać.

Nie tylko jednak z powodu rekurencyjnego charakteru reguł gramatycznych niektóre zdania językoznawcze generowane przez abstrakcyjny język nie są używane w komunikacji. Weźmy np. ciąg *Kiwi kiwi kiwi* czy ciąg *Dokąd wczoraj chodziło?*. Pierwszy z nich powinien być przez język produkowany, tak jak produkowany jest ciąg *Człowiek człowiekowi człowiekiem*, ciąg *Kot kotu kotem* i ciąg *Marchew marchwi marchwią*. Rzeczownik *kiwi* cechuje synkretyzm form, a więc nic nie stoi na przeszkodzie, by jedną z jego form użytych w powyższym ciągu uznać za mianownik, inną za celownik, a jeszcze inną za narzędnik. Podejrzewać jednak można, że ciąg taki nigdy nie zostanie użyty właśnie z powodów pragmatycznych – sytuacja opisywana przez niego nie należy do codziennych, nadawca miałby zatem bardzo uzasadnione podejrzenia, że nie zostanie on zrozumiany przez odbiorcę. Z nieco innych przyczyn nie jest używany w tekstach ciąg *Dokąd wczoraj chodziło?* Jeżeli bowiem zwracamy się do kogoś, to używamy albo formy rodzaju żeńskiego, albo formy rodzaju męskiego. Również zwracając się do zwierząt domowych, formułujemy tekst dostosowany do ich rodzaju naturalnego. Można sobie, oczywiście, wyobrazić sytuację, że tego typu ciąg zostanie użyty np. w bajce, wydaje się to jednak bardzo mało prawdopodobne.

Omawiany tu model języka przedstawiłem w jednej ze swoich prac za pomocą analogii do komunistycznej fabryki. Wytwórnia taka produkowała bardzo dużo różnych prefabrykatów, bo tak miała zaprojektowane linie produkcyjne i nie przejmowała się tym, czy jest na te produkty zbyt, czy nie. Produkowała więc prefabrykaty, które są często używane w czasie konstruowania tekstów, ale też produkowała takie prefabrykaty, które potem zalegały w magazynach (np. ciąg *kiwi kiwi kiwi*).

Dyrektor fabryki był jednak zupełnie nieczuły na potrzeby społeczne i nie chciał modyfikować linii produkcyjnych, żeby wytwarzać nowe warianty. Z pewnością wielokrotnie zdarzały się sytuacje, gdy jeden domownik słyszał dzwonek i otwierał drzwi, witał się z osobą płci żeńskiej, a drugi domownik, który akurat był chory i leżał w łóżku, słyszał kobiecy głos, ale nie mógł zapytać *kto przyszła?*, gdyż takiego prefabrykatu nie produkował język, musiał zatem zapytać *kto przyszedł?* W fabryce językowej zostało bowiem przewidziane, że można produkować tylko takie ciągi, w których zaimek *kto* narzuca sąsiadującemu czasownikowi tzw. rodzaj męski. O ile jednak takie niezważanie na potrzeby komunikacji nie wywołuje większych problemów metodologicznych, to, jak zobaczymy w następnym rozdziale, omówiona wyżej nadprodukcja bardzo komplikuje proces falsyfikacji modeli języka. Powstaje bowiem bardzo trudny do rozwiązania problem, jakie dane powinniśmy wziąć pod uwagę przy falsyfikowaniu.

# Falsyfikacjonizm (Karl Popper)

W wydanej jeszcze przed wojną książce *Logik der Forschung* Karl Popper (1934) formułuje pogląd na temat nauki, który uzyskał w drugiej połowie poprzedniego wieku duży rozgłos i przyczynił się do powstania falsyfikacjonizmu jako paradygmatu naukowego (szerzej o tym w następnych partiach książki). Rekonstruowany tu mój wcześniejszy system lingwistyczny bazował na koncepcji nauki jako zbioru przyjętych apriorycznie hipotez. Budując naukę zgodnie z założeniami filozofii nauki głoszonej przez Poppera, wychodzimy od hipotez w postaci zdań ogólnych, następnie po krótkiej ich weryfikacji pozytywnej szukamy zdań jednostkowych falsyfikujących naszą hipotezę wyjściową. Kiedy takie zdania znajdziemy, musimy naszą hipotezę wyjściową zastąpić nową, ale przy tym wolną od błędów poprzedniczki.

Praktycznie więc w nauce na podstawie pewnych intuicji wynikających z naszego oglądu rzeczywistości proponujemy hipotezę, a następnie formułujemy szereg prawdziwych zdań jednostkowych, też wynikających z naszego oglądu rzeczywistości, które zgodnie z naszą intuicją mogłyby podważyć naszą hipotezę. Kiedy znajdziemy zdanie jednostkowe sprzeczne z hipotetycznym zdaniem ogólnym, wówczas mówimy, że hipoteza została sfalsyfikowana. Należy zastąpić ją hipotezą nową, która nie będzie zawierała błędów poprzedniczki.

W językoznawstwie można przyjąć, że na początku proponujemy pewną regułę gramatyczną, a następnie szukamy ciągów empirycznych, które w ewidentny sposób naruszają tę regułę. W poprzedniej partii książki powiedzieliśmy jednak, że empiryczne teksty nie są satysfakcjonującą podstawą procesu falsyfikacji hipotez językoznawczych, gdyż mogą zawierać wiele ciągów powstałych niezgodnie z kompetencją językową użytkownika.

Powstaje jednak pytanie, czy w procesie falsyfikacji możemy bazować na zaproponowanym wcześniej pojęciu zdania językoznawczego. Wydaje się, że można twierdząco odpowiedzieć na to pytanie, jednocześnie należy jednak założyć, że zadaniem językoznawcy jest zaproponowanie zbioru reguł, który powinien wyznaczać (generować) nieskończony zbiór zdań językoznawczych. Taki zbiór reguł byłby więc modelem języka, który władający językiem posiada w swoim umyśle w postaci wiedzy implicytnej.

Popper w swojej koncepcji przyjmuje, że nauka falsyfikująca jest zawsze tylko zbiorem hipotez – nigdy nie jest wiedzą pewną. Hipotezy te „obowiązują” w nauce dopóty, dopóki nie znajdziemy faktów, które by je sfalsyfikowały. W referowanej tutaj teorii językoznawczej również powinniśmy przyjąć takie założenie. Na podstawie zastanej wiedzy i też intuicji proponujemy na początku naszych dociekań pewien system aksjomatyczny, który w dobrej wierze uznajemy za optymalny model języka. W czasie jego falsyfikacji przyglądamy się jego produkcjom. Przede wszystkim szukamy w swoim umyśle takich zdań, których model ten nie jest w stanie na obecnym swoim etapie utworzyć, a które uznajemy za akceptowalne zdania językoznawcze. Po znalezieniu takich zdań dotychczasowy model powinniśmy zastąpić takim modelem, który jest w stanie je generować. Nie trzeba dodawać, że czynności te językoznawca musi nieustannie powtarzać. Model możemy uznać za zupełny, jeżeli nie znajdujemy zdań, które go falsyfikują.

W procesie falsyfikacji nie tylko interesuje nas jednak moc generatywna modelu. Powinniśmy w czasie przyglądania się produkcjom modelu szukać takich ciągów, których na mocy swej intuicji językowej nie możemy uznać za zdania językoznawcze. Po znalezieniu ciągów tego typu (tj. ponadgeneracji) należy zaproponować taki model, który nie zawiera reguł odpowiedzialnych za ich generowanie. Oczywiście rola ciągów dewiacyjnych w procesie budowania hipotez językoznawczych jest znacznie większa – pisze o tym szerzej Maciej Grochowski (2008).

Można zatem powiedzieć, że proces falsyfikacji w językoznawstwie polega na nieustannym szukaniu słabych punktów w przyjętym systemie aksjomatycznym i w następnym etapie proponowaniu nowego systemu aksjomatycznego wolnego od tych odkrytych słabych stron. Jest to jednak tylko pierwszy etap poszukiwań językoznawczych. Okazuje się bowiem, że w czasie prowadzenia badań lingwistycznych jesteśmy w stanie zaproponować mniej lub bardziej różniące się od siebie systemy aksjomatyczne, przy czym niektóre z nich charakteryzuje identyczna moc generatywna. Teoretycznie modeli generujących jest nieskończenie wiele, w praktyce jest ich – oczywiście – skończona liczba. Należy zatem zastanowić się nad kryteriami wartościowania tych modeli. Po zastosowaniu tych kryteriów modele, które uzyskały niskie oceny, powinny zostać odrzucone. Wartościowanie modeli jest zatem swoistą formą ich falsyfikacji.

Potrzebne do tego celu narzędzia możemy, jak sądzę, uzyskać po rozważeniu hierarchii trzech kryteriów omówionych przez Luisa Hjelmsleva (1953) w związku z jego postulatem zbudowania dedukcyjnej teorii lingwistycznej. Hjelmslev proponuje, by teoria lingwistyczna oceniana była z punktu widzenia (1) niesprzeczności wewnętrznej, (2) zupełności, (3) prostoty. Podstawowym kryterium jest niesprzeczność wewnętrzna; tylko niesprzeczne wewnętrznie modele mogą być oceniane z punktu widzenia zupełności; a tylko niesprzeczne i zupełne modele mogą z kolei być oceniane z punktu widzenia prostoty. Teoria lingwistyczna stworzona przez Hjelmsleva nie była wszak podstawą modelu generatywnego, w związku z czym nie przewidywał on takich niebezpieczeństw, jak „ponadgeneracja”, prostota zaś nie wydaje się kryterium wystarczająco jasnym.

Zastanówmy się zatem nad propozycją twórcy generatywizmu Noama Chomsky’ego (1965, s. 37 i nast.), by metateoria skonstruowała dwa poziomy uzasadniania gramatyk, tj. modeli języka. Na pierwszym poziomie gramatyki otrzymywałyby status adekwatnych opisowo, czyli adekwatnych z opisowego punktu widzenia, na drugim poziomie – adekwatnych wyjaśniająco, czyli adekwatnych z wyjaśniającego punktu widzenia. Również adekwatność opisowa jest w pewnym sensie dwustopniowa, choć to rozbieżność jest zawarte w tekście Chomsky’ego jedynie implicite. Przez adekwatność opisową rozumie on zdolność gramatyki do poprawnego opisu kompetencji (intuicji) językowej rodowitego użytkownika języka, a więc de facto: (1) zdolność do generowania zbioru zdań, które ów rodowity użytkownik języka może utworzyć (czasem nazywa się to adekwatnością obserwacyjną, przeciwstawiając ją właściwej adekwatności opisowej) oraz (2) zdolność do przypisania każdemu zdaniu poprawnej strukturalizacji (lub kilku strukturalizacji zdaniom wieloznacznym). Określenie „poprawny” w rozumieniu Chomsky’ego oznacza tu ni mniej, ni więcej jak właśnie zgodność z jasną wiedzą o języku, którą ma ów rodowity jego użytkownik.

Owe dwa szczeble adekwatności opisowej zostały explicite zdefiniowane przez Johna Lyonsa (1968). Pierwszy stopień nazywa on adekwatnością słabą. Dwie gramatyki są adekwatne w stopniu słabym, jeżeli generują ten sam zbiór zdań. Tu wartościowanie gramatyk jest bardzo ściśle i obiektywnie sprawdzalne. Spośród „kandydatek” na dobre gramatyki na tym poziomie akceptujemy tylko te, które rzeczywiście generują pełny zbiór zdań danego języka. W taki sposób zaaprobowane gramatyki trafiają na drugi stopień egzaminu i są tam przez badacza kontrolowane z punktu widzenia mocnej adekwatności. Gramatyka jest adekwatna w stopniu mocnym, jeżeli przypisuje każdemu generowanemu przez siebie zdaniu poprawny opis strukturalny.

Przydawkę *poprawny* powinniśmy rozumieć jako ‘generujący’ poprawne struktury, nie rozważając przy tym ich poprawności z punktu widzenia zgodności

z wiedzą jasną, bo o tej zgodności nie możemy się wypowiadać, ale z punktu widzenia możliwości przypisania tym strukturom interpretacji semantycznej niesprzecznej z tym, jakie znaczenie (znaczenia) widzi w reprezentowanych przez nie wyrażeniach użytkownik danego języka. Jeżeli zatem użytkownik skłonny jest orzec, że dane zdanie jest dwuznaczne, gramatyka nie jest natomiast w stanie podać dwóch różnych sposobów jego opisu, to gramatyka ta nie spełnia wymogu adekwatności. Nie wdając się w zasadnicze rozważanie problemu, który się tu pojawia, a mianowicie – co to znaczy, że użytkownik języka uznaje zdanie za dwuznaczne i jak informację o takiej dwuznaczności od niego uzyskać – można w tym miejscu skonstatować, że jest to jednak nadal problem nadmiernej słabości gramatyki, a więc de facto kwestia niegenerowania przez gramatykę danego wyrażenia mimo generowania przez nią wyrażenia synonimicznego. Wyróżnienie zatem drugiego poziomu adekwatności opisowej jest zbędne. O tej gramatyce mówimy po prostu, że jest niezupełna; tak samo niezupełna jak gramatyka, która nie generuje pewnych ciągów fonicznych, które użytkownik danego języka jest skłonny uznać za zdania.

W następnym etapie modele języka są oceniane z punktu widzenia adekwatności wyjaśniającej. W dużym uproszczeniu możemy powiedzieć, że z wyjaśniającego punktu widzenia wyżej należy ocenić ten model języka, który jest bliższy implicytnej wiedzy językowej użytkownika języka. Powstaje zatem kolejny problem: czy jesteśmy w stanie znaleźć zadowalające przesłanki, na podstawie których możemy wypowiadać się na temat relacji pomiędzy systemem aksjomatycznym a abstrakcyjnym zbiorem przepisów budowania zdań zawartym w umyśle użytkownika języka. Zagadnienie to powinniśmy naświetlić nieco szerzej. Łączy się ono przy tym z innym zagadnieniem natury metodologiczno-filozoficznej. Zastanowić się bowiem trzeba, jaki rodzaj wyjaśniania jest możliwy w językoznawstwie. Osiągnięcie adekwatności wyjaśniającej można uznać za końcowe kryterium wartościowania modeli języka jedynie wtedy, gdy się założy, że w językoznawstwie możemy mówić o wyjaśnianiu nomotetycznym. W *Językoznawstwie racjonalnym* opowiedziałem się bardzo wyraźnie za tezą Andrzeja Bogusławskiego (1986), która głosi, iż w językoznawstwie nie ma wyjaśniania nomotetycznego. W kolejnych partiach tej książki przyjrzymy się także argumentacji na rzecz tej tezy i konsekwencji dla przyjęcia optymalnych kryteriów wartościowania modeli języka.



# Nieobecność wyjaśniania nomotetycznego przy wielości modeli (Andrzej Bogusławski)

Zanim zastanowimy się jednak nad samą kwestią wyjaśniania, spróbujmy raz jeszcze przyjrzeć się temu konstruktowi, który buduje językoznawca. Możemy oczywiście nazywać go różnie. Konstrukt taki można równie dobrze określić mianem gramatyki, jak i abstrakcyjnego systemu językowego. Jeżeli jednak będziemy używali tego drugiego określenia, to cały czas musimy mieć na uwadze, że czym innym jest system językowy, którym dysponuje użytkownik języka, czym innym zaś system językowy, który został skonstruowany przez językoznawcę na podstawie jego intuicji o produktach systemu.

Innymi słowy, nie da się postawić znaku równości pomiędzy tymi pojęciami, mimo że zwykło się je określać tą samą nazwą. Niestety, wielu językoznawców zastrzeżenia tego nie przyjmuje i ów znak równości stawia. Z tego też względu lepiej jest stosować do obu bytów różne nazwy; jeśli pierwszy byt określimy mianem systemu językowego, to drugi byt powinniśmy określić mianem modelu systemu językowego. Jest to oczywiście tylko zabieg nazwotwórczy, pozwala on wszakże uchronić badaczy przed pewnymi uproszczeniami, które prowadzą do powstawania sądów nieprawdziwych lub nierozstrzygalnych na gruncie racjonalnego językoznawstwa.

Świadomość potrzeby tego rozgraniczenia nie jest niestety – jak już powiedzieliśmy – powszechna wśród językoznawców. Przeciwnie – skłonni są oni uważać, że konstrukt, który przyjmują, jest właśnie systemem językowym w pierwszym rozumieniu tego pojęcia. Stanowisko takie jest nieuprawnione, co więcej – jego konsekwencją jest bardzo ortodoksyjne przekonanie, że istnieje jeden jedyny system językowy jako konstrukt językoznawczy lub – w wersji



mniej ortodoksyjnej – że da się znaleźć sposób, by spośród proponowanych systemów wybrać taki, który rzeczywiście pokrywa się z systemem używanym przez człowieka do tworzenia tekstów, odrzucając jednocześnie pozostałe jako odbiegające pod tym czy innym względem od oryginału. Pogląd w wersji ortodoksyjnej można odnaleźć w wielu pracach strukturalistycznych, pogląd w wersji mniej ortodoksyjnej zdają się natomiast przyjmować niemal wszyscy zwolennicy gramatyki generatywnej.

Przekładając to przekonanie na język metodologii, można powiedzieć, że językoznawcy, którzy uznają je za prawdziwe, głoszą jednocześnie tezę, że w językoznawstwie istnieje wyjaśnianie, które zwykło się określać mianem nomotetycznego. Argumenty ułatwiające polemikę z tym rozpowszechnionym przekonaniem przynosi opublikowany przez Andrzeja Bogusławskiego artykuł *O pojęciu wyjaśniania i wyjaśnianiu w lingwistyce* (1986), którego myślą przewodnią jest stawiana przez autora teza przeciwna – że w językoznawstwie nie ma wyjaśniania nomotetycznego.

Wyjaśnianie rozumie Bogusławski:

[...] jako dobranie do pewnego zdania (tekstu) jego racji logicznej, a więc jako wskazanie relacji wynikania logicznego (rozumianego w zwykły sposób) między tą racją a owym zdaniem – następstwem, przy czym: (1) następstwo jest co najmniej rzeczywistą hipotezą (a może też być konstatacją), (2) racja (a) ma większą niż następstwo zawartość informacyjną, (b) jest taka, że w przypadku jej prawdziwości zawartość informacyjna następstwa jest równa lub mniejsza, niż mogłaby być w przypadku jej fałszywości, (c) nie jest sfalsyfikowana, (d) jest potwierdzona, (e) jest „niedowolna” (Bogusławski, 1986, s. 45).

Jeżeli wyjaśniane są zdania szczegółowe zdaniami negatywno-egzystencjalnymi lub zdania negatywno-egzystencjalne zdaniami negatywno-egzystencjalnymi, to takie wyjaśnienie ma charakter nomotetyczny. Jeżeli natomiast wyjaśniane są zdania szczegółowe lub zdania pozytywno-egzystencjalne zdaniami szczegółowymi, to takie wyjaśnienie nie ma charakteru nomotetycznego. Wśród wyjaśnień nienomotetycznych można wyodrębnić wyjaśnianie idiograficzne, rozwijające, inkorporujące, specyfikujące i analogizujące. W lingwistyce nie ma tylko jednego typu – właśnie wyjaśniania nomotetycznego.

Konsekwencją tego stanu rzeczy jest to, iż lingwistyka jako nauka różni się zasadniczo od tych nauk, w których istnieje wyjaśnianie nomotetyczne. W taki oto sposób pokazuje Bogusławski różnicę pomiędzy fizyką a językoznawstwem:

Kiedy fizyk wprowadza pewien teoretyczny układ relacji z symbolami w rodzaju pozytronu czy neutronu i twierdzi, że pewien istniejący efekt nie istnieje inaczej niż w związku z takim układem, to na serio i z dobrą motywacją odrzuca on możliwość innych układów, w których wystąpiłby ten efekt (nawet

jeżeli odrzuca ją niejako „na próbę”). Lingwista natomiast nie ma najmniejszego powodu, widząc serię grup pokrewnych funkcjonalnie, lecz różnych materialnie, przypisywać im wszystkim odpowiednio jeden element formy (element „abstrakcyjny”), obecny jakoby w niedostępnych, ani obserwacji zewnętrznej, ani introspekcji, odmętach jestestwa ludzkiego i przekształcający się w różne rzeczy obserwowalne. Jeżeli głosi on taką tezę, to głosi tezę niepotwierdzoną (Bogusławski, 1986, s. 50).

Uznając słuszność tezy Bogusławskiego, musimy w konsekwencji pogodzić się z myślą, iż lingwista nie tylko nie buduje takiego abstrakcyjnego systemu językowego, który jest zgodny z oryginałem, ale nawet nie może zbudować takiego systemu, który mógłby zostać za pomocą pewnych metod wybrany spośród innych jako właśnie ten, który jest z oryginałem zgodny. Teoretycznie jest wprawdzie możliwe, że na pewnym etapie badań wśród językoznawców powstanie konsensus w sprawie przyjęcia przez wszystkich jednego systemu aksjomatycznego jako modelu języka i prowadzenia badań w jego ramach. Wtedy też można by w zasadzie przyjąć, że w takim nowym językoznawstwie mamy do czynienia z wyjaśnianiem nomotetycznym. Taka jednak sytuacja wydaje się nieprawdopodobna. Obserwacja owoców dociekań lingwistycznych prowadzi bowiem do wniosku, że niezależnie mogą istnieć obok siebie różnorakie modele systemu językowego. Lingwista nie ma wystarczających narzędzi, by spośród nich wybrać ten model, który najbardziej się do oryginału zbliża. Przekracza to bowiem możliwości metalingwistyki jako nauki. Nie oznacza to jednak wcale, by było zupełnie niemożliwe przeprowadzenie jakiegokolwiek wartościowania modeli systemu językowego.

Innymi słowy, o żadnym modelu nie można racjonalnie się wypowiadać, że jest on bardziej naturalny i bliższy oryginału niż model preferowany przez innego badacza. Jeżeli ktoś mówi, że jego model jest z tego względu lepszy, to wypowiada zdanie zasadniczo nierozstrzygalne. Modele można wszakże wartościować za pomocą zupełnie innych kryteriów. Następny rozdział poświęcamy właśnie wartościowaniu modeli.

Dodajmy przy tym, że przyjęcie przez nas tezy Bogusławskiego nie oznacza, że w przedstawianym tu sposobie rozumowania pojawiła się jakaś sprzeczność wynikająca z uprzedniego zaakceptowania tezy Poppera o dedukcyjnej drodze budowania modelu języka i możliwej tylko jego negatywnej weryfikacji. Przeciwnie, tezy te ze sobą harmonizują. Nadal można utrzymywać, że językoznawca buduje hipotetyczny model języka, by go falsyfikować na podstawie obserwacji empirii i z punktu widzenia pewnych ustaleń metateoretycznych co do samego kształtu modelu, teza Bogusławskiego uprawomocnia zaś takie podejście – głównie przez to, że odrzuca jakiegokolwiek ewentualne twierdzenia o istnieniu innych jeszcze racjonalnych przesłanek do jego oceny

(np. naturalność czy uniwersalność wynikająca z wysokiego stopnia adekwatności wyjaśniającej). Kryteria oceny modeli, które omawiam w następnym paragrafie tej książki, są kryteriami wartościowania negatywnego, tzn. szukania tych miejsc, które model falsyfikują, ale też wskazują, gdzie należy go ewentualnie poprawić. Cały więc czas pamiętamy o tym, że nie ma takiego modelu, któremu nie dałoby się przeciwstawić modelu lepszego. W tym ostatnim zdaniu tkwi właśnie sens nieustannych poszukiwań nie tylko językoznawczych, ale i naukowych w ogóle.

# Jeszcze o kryteriach wartościowania modeli języka

Powiedzieliśmy wyżej, że w procesie falsyfikacji modeli języka nie możemy posługiwać się jedynie intuicją, jest ona bowiem zawodna. Intuicje jednego badacza mogą być zupełnie odmienne od intuicji innego badacza. W tym więc podrozdziale dyskutujemy o formie racjonalnych kryteriów oceny modeli gramatycznych. Wyjdziemy przy tym od wspomnianej poprzednio hierarchii trzech kryteriów zaproponowanych przez Hjelmsleva, tj. **niesprzeczności wewnętrznej, zupełności i prostoty**.

Pierwsze kryterium, tj. wymóg niesprzeczności wewnętrznej, w stosunku do modeli aksjomatycznych jest bez wątpienia podstawowe. Należy go zatem utrzymać. Wewnętrznie sprzeczny system po prostu nie może działać. System dedukcyjny odpowiedzialny za generowanie zdań języka naturalnego powinien generować pełny zbiór zdań tego języka. Powinniśmy zatem uznać, że zupełność jest też istotnym kryterium oceny modeli języka. Zawodne jest wszakże kryterium prostoty, gdyż termin *prostota* nie jest jednoznaczny.

Prostotę możemy bowiem rozumieć zarówno jako cechę zbioru reguł należących do systemu dedukcyjnego, jak i cechę charakteryzującą sprawność działania tych reguł. Wyobraźmy sobie, że mamy ocenić dwie ekspedientki pracujące w jednym sklepie. Pierwsza z nich umie tylko dodawać i odejmować, druga zaś umie dodawać, odejmować, ale też mnożyć i dzielić. Gdybyśmy oceniali je z punktu widzenia prostoty systemu operacji, którym dysponują, bez wątpienia wyższą notę wystawilibyśmy pierwszej ekspedientce, gdybyśmy jednak oceniali, która z nich prościej oblicza należność, z pewnością wyższą notę wystawilibyśmy tej drugiej. Ze względu więc na tę nieostrość prostota nie może być wystarczającym kryterium przy ocenie niesprzecznych i zupełnych modeli generatywnych.

Jak już powiedzieliśmy, inną hierarchię kryteriów oceny zaproponował Chomsky – twórca generatywnego paradygmatu w językoznawstwie. Proponuje on mianowicie, by najpierw modele języka oceniać z punktu widzenia ich **adekwatności opisowej**. Część modeli osiągnie jednak tylko pierwszy stopień tej adekwatności, tj. **słabą adekwatność opisową**. Na drugim stopniu adekwatności opisowej, tj. **mocnej adekwatności opisowej**, zatrzymują się te modele, które są wprawdzie w stanie opisywać pełny zbiór zdań językoznawczych danego języka, ale nie są w stanie przypisać tym zdaniom struktur zgodnych z intuicjami użytkownika języka. Te zaś modele, które osiągają mocną adekwatność opisową, oceniane są na trzecim poziomie, który nazywa się **adekwatnością wyjaśniającą**. Mówiąc w pewnym uproszczeniu, twierdzimy, że adekwatność wyjaśniająca to naturalność modelu. O modelu gramatycznym, który osiągnął adekwatność wyjaśniającą, można powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem, iż ma on formę zbliżoną do formy kompetencji językowej użytkownika języka, czyli formę zbliżoną do wiedzy jasnej. Jeszcze inaczej mówiąc, model adekwatny w stopniu wyjaśniającym charakteryzuje się formą zbliżoną do gramatyki naturalnej, którą każdy użytkownik języka ma „w głowie”, a która pozwala mu tworzyć nieskończony zbiór zdań tego języka.

Nie ma wśród kryteriów Chomsky’ego niesprzeczności wewnętrznej. Przyjąć jednak trzeba, że kryterium to jako ogólny warunek wszystkich systemów dedukcyjnych musiało być przez niego brane pod uwagę. Drugie kryterium Hjelmsleva, tj. zupełność, jest podobne do kryterium nazwanego przez Chomsky’ego słabą adekwatnością opisową, z dość istotną jednak różnicą. Modele osiągają ten stopień adekwatności, jeżeli możemy o nich powiedzieć, że opisują pełny zbiór zdań danego języka i tylko ten zbiór. Orzekamy zaś o modelach, że opisują pełny zbiór, gdy po uruchomieniu procedur falsyfikacyjnych ani nie znaleźliśmy takich zdań językoznawczych, które by nie były opisywane przez nasze modele, ani wśród produkcji modelu (tj. wśród zdań gramatycznych) – takich ciągów, które by były ciągami nieakceptowalnymi. Modele, żeby mogły zostać uznane za słabo adekwatne opisowo, muszą być więc nie tylko zupełne (tak jak u Hjelmsleva), ale też nie mogą opisywać ciągów nieakceptowalnych, czyli nie mogą prowadzić do ponadgeneracji.

Zamiast prostoty Chomsky proponuje dwa kryteria: mocnej adekwatności opisowej i adekwatności wyjaśniającej. Te modele, które osiągnęły słabą adekwatność opisową i które pozwalają na przypisanie zdaniom struktur zgodnych z intuicją użytkownika, zyskują – jak powiedzieliśmy wyżej – mocną adekwatność opisową. Gramatyka, która opisuje zdanie:

*Obserwacja chłopca nie jest brana pod uwagę.*

przypisując mu tylko jedną strukturę, nie może zostać uznana za gramatykę adekwatną opisowo w stopniu mocnym, ponieważ grupa *obserwacja chłopca* ma dwa znaczenia ('ktoś obserwuje chłopca' i 'chłopiec obserwuje kogoś'). Ta zaś gramatyka, która jest w stanie przypisać temu zdaniu (i innym zdaniom tego typu) dwie struktury (czyli opisywać je na dwa sposoby), może być uznana za gramatykę adekwatną opisowo w stopniu mocnym.

Trzeba powiedzieć, że zarówno niedopuszczanie ponadgeneracji, jak i wyróżnienie mocnej adekwatności opisowej istotnie rozbudowują kryteria Hjelmsleva. Nie możemy jednak zgodzić się na to, by oceniać gramatyki z punktu widzenia ich adekwatności wyjaśniającej, czyli zgodności z oryginałem, jakim jest ludzka kompetencja językowa. Jak bowiem powiedzieliśmy wcześniej, kompetencja językowa jest bytem abstrakcyjnym, a więc nie jest dostępna obserwacji. Nie można więc porównywać modelu języka z czymś, czego nie obserwujemy bezpośrednio. Niebezpośrednia obserwacja dokonuje się natomiast przez pryzmat modelu. Kryterium adekwatności wyjaśniającej jest więc jeszcze bardziej niejednoznaczne niż kryterium prostoty zaproponowane przez Hjelmsleva.

Jeżeli jednak zrezygnujemy z tych dwóch kryteriów, tj. z adekwatności wyjaśniającej i prostoty, to mamy do dyspozycji tylko trójstopniową hierarchię kryteriów:

- 1) niesprzeczność wewnętrzna;
- 2) adekwatność opisowa:
  - a) słaba,
  - b) mocna.

Hierarchia ta – naszym zdaniem – nie jest wystarczająca w procesie oceny gramatyk, gdyż nie nakazuje sprawdzać m.in. tego, które gramatyki są sprawniejsze w działaniu.

Trójstopniową hierarchię oceny uzupełnimy w tym miejscu o dalsze dwa szczeble. Pierwszy szczebel nazwiemy eksplicytnością modeli, drugi zaś ich sprawnością formalną. Trzeba od razu powiedzieć, że każda gramatyka jest ze swej natury eksplicytna, gdyż jest zbiorem reguł konstruowania zdań językoznawczych. Gramatyka implicytna (czyli niejawna) byłaby po prostu wyliczeniem zdań. Po takim wyliczeniu badacz skonstruować może gramatykę eksplicytną, czyli „wyczytać” z wyliczonych zdań reguły nimi rządzące. Ponieważ – jak pamiętamy – zbiór zdań języka naturalnego jest nieskończony, nie można więc zdań tych wymienić, nie można tym samym mówić o istnieniu gramatyki implicytnej języka naturalnego.

Skoro zatem wszystkie gramatyki są eksplicytne, to kryterium eksplicytności mogłoby się wydać pozbawione sensu. Trzeba więc od razu dodać, że

wśród gramatyk są bardziej i mniej eksplicytne. Wyróżnić przy tym możemy dwa stopnie eksplicytności gramatyk: 1) eksplicytność pregeneratywna, 2) eksplicytność generatywna.

Gramatyka eksplicytne pregeneratywnie nie musi być zapisana w postaci systemu formalnego. Każda więc gramatyka adekwatna opisowo w stopniu mocnym jest automatycznie gramatyką eksplicytne pregeneratywnie. Pierwszy stopień adekwatności eksplicytności osiągają zatem zarówno nieformalne gramatyki strukturalistyczne, jak i formalne gramatyki generatywne.

Nieformalne gramatyki strukturalistyczne nie przedostają się wszakże na drugi stopień, tj. nie osiągają eksplicytności generatywnej. Eksplicytność generatywna przysługuje jedynie modelom formalnym. Są one bowiem bardziej falsyfikowalne niż modele nieformalne. Model formalny łatwiej się falsyfikuje, bo sam przez się wyznacza w sposób ostry granice swoich produkcji, czyli zdań językoznawczych. O gramatyce nieformalnej z dużo większym ryzykiem błędu orzekamy, że opisuje ona zbiór zdań języka naturalnego i tylko ten zbiór, ponieważ reguły w niej zawarte są sformułowane ekstensywnie, a więc do reguł odpowiedzialnych za powstanie jakiegoś zdania trudno jest niekiedy dotrzeć.

Eksplicytność generatywna jest jednak również stopniowalna. Żeby gramatykę uznać za eksplicytne generatywne, wystarczy, by była ona adekwatna opisowo w stopniu mocnym i miała postać formalnego systemu dedukcyjnego. W zbiorze takich gramatyk będą jednak zarówno takie, które są zbiorem reguł dochodzenia od aksjomatu do zdań, jak i takie, które będą się składały z dwóch wyraźnie odróżniających się zbiorów reguł. Jeden zbiór reguł będzie przy tym generował reguły drugiego zbioru, a dopiero ten drugi zbiór będzie bezpośrednio generował zdania języka. O tej klasie gramatyk powiemy, że składają się one z zasadniczej gramatyki (tj. zbioru reguł generujących zdania języka) i metagramatyki (tj. zbioru reguł generujących reguły gramatyki).

Gramatyki zbudowane z gramatyki zasadniczej i z metagramatyki są z pewnością bardziej eksplicytne niż gramatyki zawierające jeden tylko zbiór reguł gramatyki zasadniczej. Żeby to udowodnić, przyjrzyjmy się gramatykom generującym następujący zbiór zdań symbolicznych:

ABC  
ACB  
BCA  
BAC  
CBA  
CAB

Załóżmy, że pierwsza gramatyka generująca ten zbiór zdań jest zbiorem następujących reguł przepiszywania:

$S \rightarrow ABC$   
 $S \rightarrow ACB$   
 $S \rightarrow BCA$   
 $S \rightarrow BAC$   
 $S \rightarrow CBA$   
 $S \rightarrow CAB$

Druga gramatyka w zbiorze reguł zasadniczych zawiera natomiast tylko jedną regułę:

$S \rightarrow ABC$

Zawiera jednak metagramatykę, w której też jest tylko jedna metaregula:

$S \rightarrow A, B, C$

Przecinki w tej metaregule oznaczają, że kolejność symboli na prawo od strzałki jest dowolna. Dzięki tej metaregule reguła  $S \rightarrow ABC$  otrzymuje zatem jeszcze pięć wersji o zmienionym porządku składników, więc pełny zbiór reguł gramatyki generowany jest przez regułę należącą do metagramatyki. Druga gramatyka jest bardziej eksplicytna, gdyż w sposób jawny informuje nas o naturze reguł gramatyki.

Metagramatykę można dodatkowo wyposażać w te informacje o naturze reguł gramatycznych, które wyczytać można z prac kognitywistów. Gramatyka, która by się składała ze zbioru reguł gramatyki, ze zbioru reguł metagramatyki i z komentarza dotyczącego reguł gramatyki oraz poszczególnych kategorii gramatycznych, znajdowałaby się na jeszcze wyższym stopniu eksplicytności. W komentarzu mogłaby znaleźć się przykładowo informacja o tym, iż wprawdzie spójnikowe leksemy I, A i ALE reprezentują tę samą kategorię, to jednak występują pomiędzy nimi istotne różnice subkategoryzacyjne. Powodują one, iż spójnik I jest prototypem kategorii: spójnik współrzędny, natomiast zarówno A, jak i ALE oddalone są od tego prototypu.

Ostatnim kryterium proponowanej tu hierarchii oceny modeli gramatycznych jest sprawność formalna systemu generującego. Ekspertem w tej kwestii powinien być dla językoznawcy przedstawiciel nauk matematycznych. Zresztą pewne opinie na temat ekwiwalentów matematycznych generatywnych gramatyk języka naturalnego matematycy niejednokrotnie już formułowali. Wynika z nich przykładowo, że gramatyka generatywno-transformacyjna jest z tego punktu widzenia gorszym mechanizmem niż uogólniona gramatyka struktur frazowych.



Biorąc pod uwagę wszystko to, co powiedzieliśmy do tej pory, zaproponować można następującą hierarchię kryteriów oceny modeli gramatycznych:

- 1) niesprzeczność wewnętrzna;
- 2) adekwatność opisowa:
  - a) słaba,
  - b) mocna;
- 3) eksplicytność:
  - a) pregeneratywna,
  - b) generatywna:
    - $\alpha$ ) modeli bez metagramatyki,
    - $\beta$ ) modeli zawierających metagramatykę,
    - $\gamma$ ) modeli zawierających metagramatykę i komentarz;
- 4) sprawność formalna.

Jeżeli więc na podstawie powyższego zbioru kryteriów chcielibyśmy ocenić piętnaście gramatyk jakiegoś języka, to najpierw sprawdzalibyśmy, czy są one niesprzeczne wewnętrznie. Załóżmy, że dwie miałyby tę wadę. Zostałoby nam więc trzynaście gramatyk. Sprawdzalibyśmy więc, czy są one adekwatne opisowo w stopniu słabym. Załóżmy, że znów jedna nie generowałaby pewnych zdań, a druga generowałaby wprawdzie pełny zbiór zdań, ale też ciągi nieakceptowalne. Te dwie gramatyki musielibyśmy więc odrzucić. Jedenaście gramatyk trafiłoby do następnego etapu oceny, na którym sprawdzalibyśmy ich mocną adekwatność opisową. Spośród nich dwie kolejne sfalsyfikowalibyśmy jako takie, które nie opisują na dwa sposoby zdań dwuznacznych. Musielibyśmy zatem je odrzucić. Dziewięć gramatyk, które nam zostały, uznalibyśmy jednocześnie za eksplicytne pregeneratywnie. Sprawdzalibyśmy więc, czy przypadkiem nie są również eksplicytne generatywnie. W czasie sprawdzania okazałoby się, że siedem gramatyk ma kształt zbioru formuł symbolicznych. Na tym etapie odrzucilibyśmy zatem kolejne dwa modele. Siedem modeli, które nam zostały, uznalibyśmy za eksplicytne generatywnie bez metagramatyki, po czym rozpoczęlibyśmy sprawdzanie, czy rzeczywiście nie zawierają reguł generujących reguły. Załóżmy przy tym, że w wyniku tego sprawdzenia tylko dwie gramatyki uznać by można za niewyposażone w metagramatykę. Zostałoby nam zatem pięć modeli, które należałoby zbadać pod tym kątem, czy zawierają dodatkowy komentarz. Na tym etapie wyeliminowalibyśmy kolejne dwie gramatyki. Trzy zatem modele gramatyczne ocenialibyśmy z punktu widzenia ich sprawności formalnej. Z punktu widzenia jednak samego językoznawstwa wszystkie trzy modele, które doszły do ostatniego szczebla hierarchii kryteriów, mają tę samą wartość.

# Paradygmaty językoznawstwa

## Paradygmaty nauki

W poprzednich rozdziałach rozważaliśmy te założenia filozoficzne, które stanowiły podstawę przyjętej w JR konkretnej teorii językoznawczej. Dzięki odniesieniu do filozofii, w szczególności do filozofii nauki, w *Zaproszeniu do językoznawstwa* z 1998 roku zaproponowałem natomiast pewien ogólniejszy klucz, który pozwalał lepiej – w moim mniemaniu – zrozumieć najnowsze kierunki językoznawcze. Ten klucz to pojęcie **paradygmatu** nauki.

Wprawdzie samo pojęcie należy bardziej do socjologii wiedzy niż do filozofii nauki, ale charakterystyka poszczególnych paradygmatów musi bazować na koncepcjach filozoficznych. W różnych odłamach filozofii powstają specyficzne filozoficzne koncepcje nauki. Koncepcje te stają się dla przedstawicieli nauk szczegółowych swoistym zbiorem postulatów. Po pewnym czasie postulaty te są realizowane w praktyce badawczej, przy czym wielu naukowców, którzy postępują zgodnie z nimi, może zupełnie nie mieć świadomości, że sposób prowadzenia przez nich badań naukowych został ukształtowany dzięki takiej, a nie innej koncepcji filozoficznej. Znaczy to, że w zbiorowej świadomości tych badaczy funkcjonuje zbiór zasad prowadzenia pracy naukowej, który określa się niekiedy mianem paradygmatu.

Paradygmat nauki jest właśnie kluczowym pojęciem socjologicznej koncepcji nauki, którą w latach siedemdziesiątych poprzedniego wieku przedstawił fizyk Thomas Kuhn (1962). Przez paradygmat należy rozumieć zespół norm, wzorców, reguł postępowania, które zna każdy naukowiec zajmujący się daną nauką. Naukowiec nie zawsze ma świadomość metodologiczną, niekoniecznie musi umieć odpowiadać na fundamentalne pytania typu „Co to jest nauka?“, „Jakie są warunki naukowego poznania rzeczywistości?“, lecz mimo

tej – zdawałoby się – ignorancji jest w stanie tworzyć prace naukowe. Podobnie zresztą zachowują się jego koledzy. Wszyscy naukowcy potrafią jednak zadać istotne dla swojej nauki pytania i udzielić przy tym na nie w miarę satysfakcjonujących odpowiedzi. Mówimy więc, że naukowcy ci tworzą naukę w ramach dość spójnego, ale jednak pozostawiającego wiele swobody paradygmatu.

Zanim ten paradygmat powstanie, mamy okres, który można określić mianem prenauki. W okresie tym pojawiają się rozmaite sądy na temat interesującego naukę przedmiotu. Nie są to jednak jeszcze sądy uporządkowane. Powstają one zazwyczaj przy okazji uprawiania jakiejś innej nauki. Nie ma zatem jeszcze norm i wzorców postępowania, którymi powinni kierować się naukowcy. Z czasem jednak sądów wypowiedzianych na temat przedmiotu jest już tak dużo i są one tak różnorodne, iż środowisku naukowemu zależy na ich uporządkowaniu. Pojawia się zatem uczone, który wyznacza kontury paradygmatu nowej nauki. Następnie kontury te wypełniają się coraz bardziej konkretnymi i szczegółowymi treściami.

W pewnym jednak momencie rozwoju nauki w ramach jakiegoś paradygmatu następuje kryzys. Poprzedza on rewolucję, w wyniku której powstaje nowy paradygmat nauki. Przyczyn kryzysu upatruje Kuhn w tym, że dotychczasowy paradygmat, pojmowany jako zbiór ogólnych założeń i recept tworzenia prac naukowych, czyli przepisów rozwiązywania łamigłówek, się wyczerpuje. Znaczący to tyle, że albo same łamigłówki przestają być zajmujące, albo ich rozwiązania przez społeczność naukową postrzegane są jako niesatysfakcjonujące. Normalność nauki zaczynają więc zakłócać anomalie. Pojawić się musi wtedy nowy paradygmat, który powinien wyznaczyć obszar nowych łamigłówek i sugerować nowe rozwiązania.

Nowy paradygmat, który powstaje po rewolucji, bardzo się różni od dotychczasowego. Wynika to przede wszystkim stąd, iż dla wielu naukowców tradycyjne łamigłówki nie są interesujące. Należy więc szukać nowych, diametralnie odmiennych, a więc trzeba stawiać pytania bardzo różne od dotychczasowych.

Pojawienie się nowego paradygmatu wcale nie musi oznaczać, że wszyscy naukowcy porzucą dotychczasowy. Część z nich na pewno w nim pozostanie; możliwe jest też, że z czasem do nich będą dołączać nowi naukowcy. Nie jest przy tym wykluczone, iż paradygmat ten pod wpływem nowego paradygmatu zmieni nieco swe oblicze, formułując nowe pytania i wyznaczając zakres nowych, niebranych dotąd pod uwagę łamigłówek. Możliwe jest nawet to, iż z czasem takich alternatywnych paradygmatów w ramach jednej nauki powstanie kilka i będą one próbowały wypracować sposób koegzystencji. Jest to bardziej prawdopodobne w dzisiejszych czasach, kiedy komunikacja pomiędzy uczonymi nie jest wielkim problemem i kiedy naukowcy stanowią dużo większy odsetek społeczeństw, niż było to w poprzednich stuleciach.

Tę socjologiczną koncepcję rozwoju wiedzy naukowej trzeba uzupełnić o bardzo ważny czynnik, który często wywołuje rewolucję naukową. Czynnikiem tym są idee powstałe w obszarze filozofii nauki. Być może idee te rodzą się dlatego, że filozofia nauki otrzymuje impuls z nauk szczegółowych. Założenia nowego paradygmatu bezpośrednio wynikają jednak z propozycji powstałych w ramach filozofii. Tak się przynajmniej dzieje w wypadku czterech wielkich paradygmatów nauki: indukcjonizmu, weryfikacjonizmu, falsyfikacjonizmu i postmodernizmu, które kolejno omówimy w następnych partiach tego rozdziału.

### **Indukcjonizm**

Paradygmat indukcyjny, czyli indukcjonizm, dominował w nauce drugiej połowy XIX wieku i pierwszej połowy wieku XX. Źródła jego należy szukać w filozofii pozytywistycznej, która miała być uogólnieniem nauk szczegółowych. Nauki szczegółowe powinny zaś zawierać uogólnienia powstałe na bazie zdań jednostkowych, te zaś mogły być formułowane dzięki wnikliwej obserwacji badanych przedmiotów. W ten sposób z filozofii można było – zdaniem pozytywistów – wyeliminować metafizykę.

Głównym zadaniem nauki w ramach paradygmatu ukształtowanego pod wpływem takich założeń metanaukowych było nieustanne dochodzenie od faktów i zdań bardziej szczegółowych do uogólnień. Podstawą tak pojmowanej nauki musiały być oczywiście zdania obserwacyjne. Żeby sformułować zdanie ogólne, należy – zdaniem indukcyjistów – przeprowadzić wiele obserwacji i eksperymentów. Jeżeli w czasie tych obserwacji wszystkie zdania obserwacyjne będą zawierać tę samą treść zasadniczą, a różnić się będą tylko okolicznikami miejsca i czasu, to ta zasadnicza treść może zostać uznana ogólnym zdaniem potwierdzonym, zbiór ogólnych zdań potwierdzonych określić zaś można terminem *nauka*.

W następnych partiach tego rozdziału wykażemy, że takie podejście do nauki nie tylko nie pozwala uznać jej za wiedzę potwierdzoną, ale nawet podejście takie uznać trzeba za nierealne. Nie zmienia to jednak faktu, że wielu naukowców do dzisiaj wierzy, że nie tylko da się budować naukę na zasadzie indukcji, ale też jest to najlepszy sposób – szczególnie w naukach humanistycznych. Powiemy zatem o nich, iż są wyznawcami paradygmatu indukcyjnego. Określa się ich też mianem indukcyjistów naiwnych.

### **Weryfikacjonizm**

Drugi z wymienionych to paradygmat, który nazwiemy weryfikacjonizmem. Jest on z pozoru odwrotnością indukcjonizmu. W indukcjonizmie chodzi o dojście od zdań szczegółowych do zdań ogólnych. Filozofowie skupieni w Kole Wiedeńskim, których określa się też mianem neopozytywistów,

zakwestionowali samą możliwość takiego budowania nauki; uznali, iż takie jej konstruowanie jest nawet teoretycznie niemożliwe. Nie można bowiem do obserwacji przedmiotu podchodzić bez założeń wstępnych, jak chcieli tego pozytywiści, a za nimi zwolennicy paradygmatu indukcyjnego. Zaproponowali więc procedurę polegającą na weryfikowaniu, tj. potwierdzaniu zdań ogólnych zdaniami szczegółowymi.

Ogólnie zdaniem filozofów wiedeńskich jednostkowe zdania obserwacyjne mogą powstać tylko w ramach pewnego systemu zdań ogólnych (teorii zbudowanej ze zdań ogólnych). Przykładowo: jeżeli wypowiadamy zdanie *Ten stół jest prostokątny*, to by stwierdzić, że jest to zdanie prawdziwe, musimy dysponować teorią „stołowatości” i teorią „prostokątności”.

Po ugruntowaniu się takiej argumentacji dowodu w nauce pojawił się po pewnym czasie paradygmat weryfikacyjny. Budując naukę, wychodzimy od hipotetycznego zdania ogólnego. Następnie zdanie to potwierdzamy empirycznie. Jeżeli przeprowadzimy wiele prób sprawdzających dane zdanie ogólne i nie natrafimy na żadne zdanie szczegółowe, które byłoby sprzeczne ze zdaniem ogólnym, to zdanie ogólne staje się zdaniem ogólnym potwierdzonym. Można zatem powiedzieć, że etykietą „weryfikacjonizm” opatrzyłem taki paradygmat, w którym stawia się hipotezę ogólną, a następnie poddaje się ją pozytywnej weryfikacji empirycznej. Paradygmat weryfikacyjny upowszechnił się w nauce w okresie międzywojennym; był wtedy paradygmatem dominującym, choć nie wyeliminował z nauki paradygmatu indukcyjnego.

### Falsyfikacjonizm

Trzeci paradygmat nazwać możemy falsyfikacjonizmem. Źródłem tego paradygmatu należy szukać w teorii nauki Karla Poppera (1934), który – akceptując krytykę wczesnego pozytywizmu – sprzeciwia się jednak twierdzeniom głoszonym przez neopozytywistów. Argumentuje, że hipotezy ogólnej nie można potwierdzić zdaniami szczegółowymi, zawsze bowiem może znaleźć się fakt, który przeczy tej hipotezie ogólnej, ale który akurat nie został wzięty przez badacza pod uwagę. Nauka więc zawsze będzie tylko prawdopodobna, nigdy nie pewna. Dużo bardziej owocne przy tym dla nauki jest szukanie faktów falsyfikujących hipotezę niż faktów ją potwierdzających. Budując naukę zgodnie z założeniami filozofii nauki głoszonej przez Poppera, wychodzimy od hipotez w postaci zdań ogólnych, następnie po krótkiej ich weryfikacji pozytywnej szukamy zdań jednostkowych falsyfikujących naszą hipotezę wyjściową. Kiedy takie zdania znajdziemy, musimy ową hipotezę zastąpić nową, ale wolną od błędów poprzedniczki.

Te założenia Poppera ukształtowały nowy falsyfikacyjny paradygmat nauki, czyli falsyfikacjonizm. W falsyfikacjonizmie naukę uznaje się za zbiór hipotez obowiązujących dopóty, dopóki nie znajdzie się faktów sprzecznych

z tymi hipotezami. Jeżeli takie fakty się znajdzie, należy hipotezę dotychczasową zastąpić nową lub ją definitywnie odrzucić.

Warto dodać, że nowa hipoteza powinna być od poprzedniczki bardziej ogólna, a przez to bardziej podatna na falsyfikowanie (falsyfikowalna). Unikać więc należy tzw. hipotez ad hoc. Jeżeli przykładowo w naszej teorii znajduje się zdanie *Każdy pies ma cztery łapy*, to po zaobserwowaniu psa, który ma trzy łapy, nie powinniśmy proponować nowego zdania ogólnego *Każdy pies ma cztery łapy z wyjątkiem psa x*. To nowe zdanie ogólne jest bowiem zdaniem bardziej szczegółowym od zdania poprzedniego, wobec tego ma dla nas niewielką wartość poznawczą.

Paradygmat falsyfikacjonistyczny ukształtował się w nauce po drugiej wojnie światowej. Nie wyparł on jednak ani paradygmatu indukcyjnego, ani paradygmatu weryfikacjonistycznego, choć do lat siedemdziesiątych był paradygmatem dominującym.

## Postmodernizm

Czwarty paradygmat określamy mianem postmodernizmu. Trzeba od razu powiedzieć, że jego cechą podstawową jest niejednorodność. Bazuje on zapewne na przeprowadzonej przez Poppera krytyce nauki jako wiedzy potwierdzonej, ale odrzuca jednocześnie pozytywne jego rozwiązanie. Początków tego paradygmatu upatrywać trzeba w tzw. **anarchistycznej koncepcji wiedzy**. Skoro nauka nie jest wiedzą pewną, lecz tylko zbiorem hipotez, to czy nie lepiej dla dobra jednostki wyjść poza pewne dogmaty racjonalizmu i starać się zrozumieć rzeczywistość, stosując także niekonwencjonalne środki? Twórcą i propagatorem tej koncepcji był Paul Feyerabend, znany jako twórca maksymy *Anything goes* 'wszystko wolno'.

Istnieją pewne granice wiedzy naukowej. Granic tych nie wyznacza jednak metodologia, ale konsensus ogółu naukowców. Granice wiedzy naukowej wyznaczane są więc przez szeroko pojmowaną kulturę. Jeśli kultura dopuszcza taki, a nie inny sposób dochodzenia do wiedzy naukowej, to żadne metodologie nie mogą takiemu sposobowi się przeciwstawić – nawet nie dlatego, że nie będą w stanie sformułować zakazów, ale dlatego, iż nie mają moralnego prawa czemuś się przeciwstawiać. Na ich bazie nie otrzymujemy przecież wiedzy pewnej, lecz tylko prawdopodobną.

Zwolennicy anarchistycznej koncepcji wiedzy bardzo chętnie podpierają się w swojej argumentacji przedstawionymi na początku tego rozdziału poglądami Kuhna. W jego poglądach trudno jednak szukać zaleceń, jak należy uprawiać naukę. Odpowiada on przede wszystkim na pytanie, w jaki sposób uprawiano naukę dawniej. Kuhnowi bliżej zresztą do Poppera niż do Feyerabenda (por. ostatni podrozdział tego rozdziału).

Oprócz anarchistycznej koncepcji wiedzy naukowej paradygmat postmodernistyczny bazuje na tzw. koncepcji **dekonstrukcji** autorstwa Jacques'a Derridy. Idąc w swym opisie procesów naukowych dalej niż Kuhn, Derrida (a wcześniej Jean François Lyotard) pojmuje historię nauki jako zbiór tekstów (opowieści, narracji), w których wbudowane są inne teksty.

Nie chodzi więc zapewne w nauce dotychczasowej o zbliżanie się do prawdy obiektywnej, ale o nieustanne produkowanie nowych tekstów, które można by uznać za teksty naukowe. Zadaniem dekonstrukcji jest tę z pozoru jednolitą masę tekstową rozłożyć na poszczególne sensory, a następnie budować łagodne przejścia od sensu A do zupełnie odmiennego sensu B.

Można powiedzieć, że takiej dekonstrukcji dokonuje każdy, kto podejmuje działalność w jakimś obszarze nauki. Na podstawie przeczytanych i przemyślanych tekstów buduje swój własny warsztat mentalny i nadaje tekstom swe własne sensory, które z pewnością są podobne do sensory jego kolegów. Każdy jednak z badaczy nadaje swoim sensory indywidualne piętno.

Z punktu widzenia nauki postmodernistycznej istotnym pojęciem jest intertekstualność, którą można rozumieć jako nieustanne oddziaływanie nowych tekstów na teksty inne – na te, które dopiero powstaną, ale też na te, które powstały wcześniej i dobrze zadomowiły się w danej nauce. Nowe teksty mogą nadać tekstom istniejącym inne, dotychczas nieznanne odczytanie.

Paradygmat postmodernistyczny jest zróżnicowany, gdyż nie może podawać jednej prostej recepty na tworzenie prac naukowych. Ogólnie jednak można powiedzieć, że w nauce uprawianej w paradygmacie postmodernistycznym miejsce wyjaśniania ma zastąpić rozumienie.

Ten czwarty paradygmat, który odgrywa dziś dość istotną rolę w życiu naukowym, cele ma bardzo szlachetne. Chce uwolnić uczonego od pęt. Nauka ma być dla niego, a nie on dla nauki. Cel ten jednak nie może zostać osiągnięty z jednego prostego powodu – zaniechanie staranności metodologicznej w wyjaśnianiu rzeczywistości prowadzi nieuchronnie do zaniku komunikacji między uczonymi i tym samym powoduje, że każdy naukowiec jest osamotniony i sam boryka się z własnymi problemami. Można się więc obawiać, że nie tylko niczego nie wyjaśni, ale też niewiele będzie w stanie zrozumieć z prac swoich kolegów.

### **Współistnienie i oddziaływanie na siebie paradygmatów**

W dzisiejszej nauce współistnieją cztery omówione paradygmaty nauki, aczkolwiek ich zwolennicy nie tworzą równych liczebnie grup. Najmniej liczną grupą są dziś indukcyjniści – nie popełni się wielkiego błędu, przyjmując, że stanowią oni około 10% ogółu badaczy. Dwukrotnie więcej doliczyć się można zwolenników weryfikacjonizmu – wielkość rzędu 20% dobrze – jak sądzę – oddaje stan liczebny tej grupy. Wielkość grupy falsyfikacjonistów szacować trzeba



na jakieś 30%, a najliczniejsza (a zarazem charakteryzująca się najniższą średnią wieku badaczy) grupa opowiada się za postmodernistyczną wizją nauki. Dane te trzeba traktować szacunkowo, jako oparte całkowicie na intuicji. Dla porządku trzeba dodać, że stan liczebny wszystkich grup ulega nieustannym zmianom.

Na każdym uniwersytecie spotykają się zatem na co dzień naukowcy, którzy są zwolennikami odmiennych paradygmatów. Nie może więc dziwić, że recepty tworzenia prac naukowych, a więc rozwiązywania łamigłówek, przenikają się wzajemnie. Te wzajemne interakcje powodują, że paradygmaty, które powstały wcześniej, upodobniają się pod pewnymi względami do paradygmatów późniejszych. I tak dzisiejszy indukcjonizm nie jest już naiwnym indukcjonizmem dziewiętnastowiecznym, gdyż dominuje w nim przekonanie, iż na początku budowania pewnej nauki potrzebne są jakieś założenia teoretyczne. Na drodze indukcji ten wstępny zbiór zdań ogólnych jest wzbogacany. Dzisiejszy indukcjonizm to więc postawa badawcza, zgodnie z którą naukę buduje się głównie dzięki indukcji. Współcześni zwolennicy weryfikacjonizmu skłonni są zakładać, że w nauce powinny być też stosowane pewne procedury falsyfikacyjne, nie tylko potwierdzające. Możemy więc przyjąć, że dzisiejszy weryfikacjonizm czerpie pomysły z teorii falsyfikacyjnej Poppera. Zapewne najmniej zmienia się paradygmat falsyfikacjonistyczny pod wpływem paradygmatu postmodernistycznego, gdyż oba są całkowicie niewspółmierne. Jeśli więc ktoś chciałby doszukiwać się wpływu postmodernizmu na falsyfikacjonizm, to raczej nie powinien śledzić metod badawczych, ale zwrócić uwagę na nowe problemy badawcze, które ostatnio pojawiły się w paradygmacie falsyfikacjonistycznym. Do problemu tego wrócimy jeszcze w następnych partiach tej książki, współistnienie paradygmatów jest bowiem jednym z najtrudniejszych zagadnień we współczesnym językoznawstwie.

Na początku tego rozdziału powiedzieliśmy, że w nowym paradygmacie podejmuje się problemy badawcze zasadniczo odmienne od tych, którym zajmował się paradygmat poprzedni. Zwrócić jednak warto uwagę, że niektóre problemy rozwiązywane w starym paradygmacie zyskują aktualność w paradygmacie najnowszych. Słuszność tej konstatacji wykażemy również na przykładzie językoznawstwa. W tym miejscu zapowiemy jedynie, iż chodzić nam będzie o powrót w ramach paradygmatu postmodernistycznego do badań nad ewolucją i genezą języka. Badania takie znajdowały się w centrum paradygmatu indukcjonistycznego, natomiast w ramach paradygmatu weryfikacjonistycznego i falsyfikacjonistycznego prowadzono je na marginesie tzw. językoznawstwa opisowego.

### **Koncepcja Kuhna a koncepcja Poppera**

W podrozdziale o postmodernizmie zawarto myśl, iż za twórcę tego paradygmatu jego niektórzy zwolennicy skłonni są uznać Thomasa Kuhna.



Powiedzieliśmy tam też, iż jest to pogląd trudny do zaakceptowania. Z poprzednich partii tej książki wynika niedwuznacznie, iż jej autor jest zwolennikiem falsyfikacjonistycznej koncepcji nauki. Skoro jednak podstawą tego rozdziału jest koncepcja paradygmatów, należy się czytelnikowi wyjaśnienie, jak jest to możliwe – być jednocześnie zwolennikiem Poppera i Kuhna.

Najogólniej mówiąc, koncepcja Kuhna nie jest sprzeczna z koncepcją Poppera. Falsyfikacjonizm Poppera (nie paradygmat falsyfikacjonistyczny, ale teorię nauki zwaną falsyfikacjonizmem) uznaję bowiem za ogólny drogowskaz, którym powinien się kierować naukowiec, koncepcja Kuhna pokazuje natomiast, w jaki sposób empirycznie dokonuje się w społeczności naukowej przejście od jednego paradygmatu do innego (por. Kuhn, 1977). Można zatem być jednocześnie zwolennikiem koncepcji Kuhna i zarazem zwolennikiem koncepcji Poppera. Sam zresztą Kuhn przyznaje, że pomiędzy jego koncepcją a koncepcją Poppera nie zachodzi sprzeczność, gdyż Kuhn opisuje stan realny, a Popper stan idealny, tj. stan, który by go satysfakcjonował. W idealnej nauce Poppera teoria powinna być falsyfikowana i zastępowana nową teorią, Kuhn zaś pokazuje, że w historii nauki naukowcy nie kierowali się zasadą Poppera, uprawiali natomiast naukę w ramach paradygmatu, który obowiązywał dopóty, dopóki się nie wyczerpał.

W następnych partiach tej książki przedstawimy zawartą w *Zaproszeniu do językoznawstwa* interpretację najnowszych dziejów lingwistyki w ujęciu poszczególnych paradygmatów nauki. Wiele informacji tam zawartych ma charakter dość ogólny – celem bowiem nie jest zwarte przedstawienie dziejów językoznawstwa, te przecież były wielokrotnie omawiane w bardzo szczegółowy sposób, ale wskazanie na te kwestie, które pozwalają wiązać dany kierunek językoznawczy z ogólniejszym paradygmatem nauki. W następnym wszakże etapie wskażemy te miejsca argumentacji, które z dzisiejszego punktu widzenia wymagają dodatkowego naświetlenia.

## Językoznawstwo historyczno-porównawcze jako przejaw paradygmatu indukcyjnego

### Zdania obserwacyjne

Językoznawstwo jako nauka powstawało w XIX wieku. Paradygmatem, jaki panował wtedy w nauce, był indukcyjnizm. Nic więc dziwnego, że dziewiętnastowieczne językoznawstwo mieściło się w tym paradygmacie. Musiało wychodzić od zdań obserwacyjnych, przekształcać je na zdania szczegółowe, a te uogólniać.

Nie były to jednak dowolne zdania obserwacyjne o zachowaniach językowych, ale zdania dotyczące różnych stadiów języka. Nauka dziewiętnastowieczna

to nie tylko indukcjonizm, ale też historycyzm, genetyzm i ewolucjonizm. Wtedy przecież Darwin sformułował swą słynną teorię ewolucji. Językoznawstwo obserwowało więc języki w różnych fazach ich rozwoju, a w zasadzie obserwowano zabytki (czyli dawne teksty drukowane i rękopiśmienne) powstałe w różnych językach.

Obserwacje dotyczące historii jednego języka porównywano z obserwacjami dotyczącymi historii innych języków. Językoznawstwo było więc jednocześnie historyczne i porównawcze, a więc historyczno-porównawcze. Największe sukcesy na tym polu osiągnęli tzw. młodogramatycy. Sformułowali oni też szereg zasad rozwoju języków, które nazwali prawami językowymi, a które są – oczywiście – już sędami ogólnymi.

Zanim jednak przejdziemy do tych zdań ogólnych, zwróćmy uwagę na kilka faktów, które z pewnością zaobserwowali językoznawcy porównujący języki słowiańskie. Odpowiednikiem polskiego wyrazu *sen* jest czeski wyraz *sen*, rosyjski wyraz *son*, serbski i chorwacki wyraz *san*. Natomiast w tekstach najstarszego języka słowiańskiego (tj. staro-cerkiewno-słowiańskiego) odpowiednikiem tych wyrazów był wyraz *сѣнь*, w którym były dwie tylne półsamogłoski zwane jerami. Ostatni jer we wszystkich innych zapisanych językach słowiańskich nigdy nie wystąpił (ani nie występuje), drugi od końca przekształcił się albo w *e*, albo w *o*, albo w *a*. Ta obserwacja potwierdzona została w wielu innych wyrazach.

Na podstawie powyższych informacji przyjęto, że dawniej wszyscy Słowianie posługiwali się jerami, które następnie albo (w tzw. pozycji słabej, np. na końcu formy wyrazowej) zaginęły, albo (w pozycji mocnej, tj. przed jerami w pozycji słabej) przekształciły się w pełne samogłoski – różne w poszczególnych grupach języków słowiańskich.

## Uogólnienia

Jak powiedzieliśmy w poprzednim rozdziale, niemożliwe jest podchodzenie do obserwacji bez żadnych założeń teoretycznych. Niemniej językoznawcy historyczno-porównawczy wierzyli, że wyłącznie na podstawie powyższych zdań obserwacyjnych (i im podobnych) dochodzi się do wniosku, iż podobne dzisiaj języki musiały pochodzić od wspólnego języka – języka przodka. Język ten ulegał przemianom zgodnym z prawami językowymi i w ten sposób powstawały nowe języki należące do wspólnej rodziny.

Wspólną rodziną języków jest np. rodzina języków indoeuropejskich. Pochodzą one, zgodnie z wnioskiem ogólnym językoznawstwa historyczno-porównawczego, od wspólnego języka przodka, tj. od języka praindoeuropejskiego. Różne spokrewnione językowo narody żyją bowiem dzisiaj na terytorium rozciągającym się od Indii aż do zachodnich krańców Europy.

Wspólnota indoeuropejska przestała istnieć na przełomie trzeciego i drugiego tysiąclecia przed Chrystusem. Rozpadła się przy tym na wiele mniejszych wspólnot, m.in. na wspólnotę bałtosłowiańską, a ta z kolei rozdzieliła się na dwa zespoły: prabałtycki i prasłowiański. Zespół prasłowiański pomiędzy III a VI w. po Chrystusie podzielił się na trzy zespoły językowe: zachodniosłowiański, wschodniosłowiański i południowosłowiański. W zespole zachodniosłowiańskim rozwinęły się z czasem języki: czeski, słowacki, górnołużycki, dolnołużycki, polski i połabski.

Podział na poszczególne grupy sprzężony był zawsze z tzw. prawami językowymi (głównie fonetycznymi). Według młodogramatyków poszczególne głoski prajęzyka rozwijają się w następnych językach we wszystkich wyrazach tak samo, jeżeli w wyrazach tych zachodzą identyczne warunki fonetyczne. Na przykład wspomniane półsamogłoski prasłowiańskie zwane jerami rozwijają się we wszystkich wyrazach polskich albo w *e* (w pozycji mocnej), albo zanikają (w pozycji słabej). Otrzymujemy więc na gruncie polskim formy *pies* i *psa*. Pewne nieregularności (np. formę *piesek* zamiast zgodnej z prawem rozwoju jerów formy *psek*) tłumaczy się wyrównaniem formy mianownika do regularnych form innych przypadków (*pieska, pieskiem, piesków* itd.), czyli analogią do innych form.

Młodogramatykom przedstawiciele paradygmatu strukturalistycznego stawiali zarzut niesystemowego patrzenia na język, a więc rozpatrywania elementów języka w izolacji od innych elementów. Zarzut ten spowodował u kontynuatorów opisywanego paradygmatu zmianę w podejściu do opisu rozwoju języka. Do kwestii tej wrócimy jeszcze pod koniec tego rozdziału.

## Strukturalizm jako przejaw paradygmatu weryfikacjonistycznego

### Ogólne zasady paradygmatu strukturalistycznego

Powiedzieliśmy, iż po paradygmacie indukcyjnym pojawił się w nauce pod wpływem koncepcji filozofii nauki powstałej w Kole Wiedeńskim paradygmat weryfikacjonistyczny, w którym tworzenie nauki powinno się zaczynać od postawienia hipotez w postaci zdań ogólnych, a te następnie należy potwierdzić za pomocą zdań jednostkowych. Przejawem tego paradygmatu w językoznawstwie jest strukturalizm, który potwierdzał przede wszystkim podstawową swoją hipotezę – tę mianowicie, iż **język jest systemem** (strukturą) znaków. W każdej ze szkół strukturalnych owo potwierdzanie przyjmowało jednak nieco odmienną postać.

Zauważmy, że to podstawowe dla językoznawstwa strukturalnego zdanie ogólne nie mogło powstać w ramach poprzedniego paradygmatu. Wynikało to zapewne stąd, iż według filozofii pozytywistycznej Auguste’a Comte’a nauka powinna się zajmować tylko przedmiotami realnie istniejącymi, o których można uzyskać wiedzę pewną. Abstrakcyjny system językowy do grupy takich przedmiotów zapewne w tamtym czasie nie mógł należeć.

W naszym omówieniu paradygmatu strukturalnego skupimy się na powszechnie znanych kwestiach. Bez ich omówienia główna teza, tj. pogląd, że strukturalizm jest przejawem paradygmatu weryfikacjonistycznego, nie została odpowiednio uzasadniona. W dodatku do tych podstawowych założeń strukturalizmu często odwoływać się będziemy w następnych partiach książki.

Prekursorami strukturalizmu byli – jak wiadomo – polscy uczeni Jan Baudouin de Courtenay i Mikołaj Kruszewski. Postulowali oni przede wszystkim rozgraniczenie pomiędzy statycznym i dynamicznym sposobem patrzenia na zjawiska językowe. W patrzeniu statycznym należało ich zdaniem oddzielić język (jako abstrakcyjny zestaw elementów) od konkretnego mówienia. Próbowali więc zerwać z obowiązującym paradygmatem. Ponieważ jednak tworzyli swe idee w dalekim Kazaniu, w dodatku było to w XIX wieku, a więc w czasie, gdy paradygmat indukcyjny jeszcze się rozwijał, nie mogli wywrzeć wpływu na innych uczonych.

Za twórcę paradygmatu strukturalistycznego, a więc za uczonego, którego idee zostały dostrzeżone przez innych badaczy i wywarły na nich wpływ, uważa się szwajcarskiego językoznawcę Ferdinanda de Saussure’a, którego uczniowie opublikowali w 1916 roku swoje notatki z jego wykładów pt. *Kurs językoznawstwa ogólnego*. Zresztą idee de Saussure’a były bardzo podobne do poglądów Baudouina de Courtenay i Kruszewskiego.

Język – według de Saussure’a – jest bytem abstrakcyjnym i społecznym. Istnieje w świadomości zbiorowej jako suma języków istniejących w umyśle każdego członka danego społeczeństwa. Jest też język bytem w miarę trwałym – zmiany zachodzą w nim wolno, ewolucyjnie. Ten abstrakcyjny, społeczny i trwały język jest systemem znaków. De Saussure nazwał go *la langue*.

Realizacją *la langue* jest mówienie (nazwane przez de Saussure’a *la parole*). Mówienie jest konkretne (w przeciwieństwie do abstrakcyjnego systemu), jednostkowe (w przeciwieństwie do społecznego systemu) i momentalne (w przeciwieństwie do trwałego systemu).

Oprócz oddzielenia języka (systemu) od mówienia (tekstu) de Saussure różnił w języku synchronię od diachronii. Odwołuje się przy tym do metafory szachów. W szachach można śledzić historię gry, a więc przechodzenie od jednego stanu do drugiego, ale też można opisywać aktualną sytuację na szachownicy. Do tego, by opisać aktualny stan na szachownicy, niepotrzebna jest

wiedza o poprzednich ruchach. Język można obserwować tak, jak obserwuje się szachy. Można opisywać jego aktualną sytuację (np. sytuację dzisiejszą, czy sytuację w XV wieku). Tym powinno się zajmować językoznawstwo synchroniczne (statyczne). Można też opisywać rozwój sytuacji w danym języku w ciągu lat (np. od XV wieku do dziś). Tym powinno zajmować się językoznawstwo diachroniczne.

Badając język jako system znaków, należy odpowiedzieć sobie na pytanie, czym jest znak językowy. De Saussure odpowiada, że znakami językowymi są elementy formalne mające znaczenie. Znak składa się zatem z dwóch warstw: warstwy znaczącej (tj. formy) i warstwy znaczonej (tj. treści).

Wartość danego znaku w systemie można określić, odnosząc go do innych znaków tego systemu. Pomiedzy znakami w systemie zachodzą dwa rodzaje związków (relacji): związki syntagmatyczne i związki asocjacyjne (dziś nazywane paradygmatycznymi). Związki syntagmatyczne wychwycić można na podstawie obserwacji wypowiedzi. Wyrazy, grupy, zdania są syntagmami, a więc realizują jakiś systemowy związek syntagmatyczny. Ze związków syntagmatycznych da się wyczytać związki paradygmatyczne, a więc np. utworzyć relacje formalne pomiędzy elementami mogącymi realizować określoną pozycję w związku syntagmatycznym. Ustala się w ten sposób paradygmaty w systemie językowym.

Na podstawie obserwacji wypowiedzi da się ustalić podstawowy schemat związków syntagmatycznych, np. schemat:

*rzeczownik w mianowniku + czasownik w trzeciej osobie*

który realizowany jest zarówno przez zdanie *Chłopiec idzie*, przez zdanie *Dziewczyna idzie*, jak i przez zdanie *Dziecko idzie*. Pomiedzy elementami *chłopiec*, *dziewczyna*, *dziecko* zachodzą więc związki paradygmatyczne – w paradygmacie rzeczownika pojawiają się one jako okazy pierwszego przypadku, tj. mianownika.

Można powiedzieć, że de Saussure wyznaczył tylko kontury strukturalizmu jako paradygmatu weryfikacjonistycznego w językoznawstwie. Paradygmat ten rozwijany był następnie w różnych szkołach strukturalnych. W książce tej omówimy trzy takie szkoły, które – naszym zdaniem – najbardziej przyczyniły się do rozwoju strukturalizmu. W pierwszej zatem kolejności omówimy funkcjonalne podejście do strukturalizmu rozwijane w szkole praskiej, a następnie podejście dystrybucjonistyczne, propagowane przez językoznawstwo amerykańskie. Na zakończenie przypomnimy w najogólniejszym zarysie glossematykę, która wprawdzie jest bardzo bliska de Saussure'owi, ale propaguje też poglądy bardzo bliskie paradygmatowi falsyfikacjonistycznemu.

## Szkoła praska

W drugiej połowie lat dwudziestych naszego wieku językoznawcy czescy: Vilém Mathesius, Bohuslav Havránek, Jan Mukařovský i mieszkający w Pradze emigranci rosyjscy: Roman Jakobson, Nikołał S. Trubieckoj utworzyli Praskie Koło Lingwistyczne. Wywarło ono ogromny wpływ na ugruntowanie się w językoznawstwie paradygmatu strukturalistycznego. Językoznawcy skupieni w Kole Praskim zaakceptowali bowiem wszystkie poglądy F. de Saussure'a, szczególnie zaś tezę o systemowości języka.

Uznali oni, iż system językowy składa się z elementów, z których każdy spełnia określoną funkcję. Stąd strukturalizm praski określa się też mianem funkcjonalizmu. Każdy zatem element systemu pozostaje w opozycji do innych elementów. Funkcję danego elementu możemy opisać, wskazując opozycję pomiędzy nim a innymi elementami. Pewne opozycje są przy tym bardziej uchwytnie od innych. Bardziej uchwytnie (łatwiejsze do określenia) są np. opozycje pomiędzy dwoma morfemami danego języka niż opozycje pomiędzy morfemem a grupą składniową (syntagmą).

Jednostki, pomiędzy którymi opozycje są bardziej uchwytnie, należą do tego samego podsystemu języka. Takie podsystemy prażanie wydzielają cztery: podsystem fonologiczny, podsystem morfonologiczny, podsystem morfologiczny (który dzieli się dalej na podsystem fleksyjny i słowotwórczy) i podsystem składniowy. Ustalając opozycje pomiędzy elementami systemu, prażanie ustalali tym samym relacje paradygmatyczne pomiędzy nimi. Można też powiedzieć, że w szkole praskiej szczególną wagę przywiązywano do badania relacji paradygmatycznych. Nawet w podsystemie składniowym przyglądano się tym relacjom bardziej niż relacjom syntagmatycznym. Badania składniowe prowadzono bowiem głównie z punktu widzenia funkcjonalnej perspektywy zdania, a więc określano, które elementy systemu mogą pełnić funkcję tematu (datum), a które funkcję rematu (novum).

Szczególnie dokładnie opisany został przez N. Trubieckiego podsystem fonologiczny języka. Dzięki teoretycznemu opisowi Trubieckiego powstały liczne opisy szczegółowe, m.in. opis podsystemu fonologicznego języka polskiego. Dlatego w tym miejscu poświęcimy nieco uwagi teorii Trubieckiego.

Punktem wyjścia do badań opozycji, które zachodzą pomiędzy jednostkami systemu fonologicznego, jest znaczenie. Jeżeli przyjrzymy się następującym parom wyrazów występujących w tekstach: *prała* : *brała*, *toga* : *doga*, *ział* (ogniem) : *siał*, to możemy stwierdzić, że mają one różne znaczenie. Zauważmy przy tym, że wyraz *prać* w opozycji do *brać* (a także wyraz *toga* w opozycji do *doga* i wyraz *siał* w opozycji do *ział*) różni się jedną tylko cechą fonetyczną, mianowicie cechą dźwięczności. Cecha ta właśnie pełni funkcję różnicującą znaczenie w tych parach wyrazów. Dla jednostek podsystemu fonologicznego



(tj. fonemów) /p/, /t/ i /s/ istotny (relewantny, dystynktywny) jest brak cechy dźwięczności, tj. cecha [–dźwięczność], a dla jednostek podsystemu fonologicznego /b/, /d/ i /z/ istotne jest wystąpienie dźwięczności, tj. cecha [+dźwięczność]. W dalszym ciągu opisywania podsystemu fonologicznego powinno się poszukiwać cech odróżniających /p/ od /t/ i /s/. Będą to zresztą także cechy odróżniające /b/ od /d/ i /z/. W ten sposób każda jednostka podsystemu fonologicznego otrzyma różny zestaw cech odróżniających.

Fonem w szkole praskiej jest więc jednostką podsystemu fonologicznego języka, która składa się z cech dystynktywnych, tj. takich cech dźwiękowych, które używane są w danym języku dla odróżnienia wyrazów o różnym znaczeniu.

W tekstach jednak mogą wystąpić takie różnice fonetyczne pomiędzy głoskami, które nie są dystynktywne. Na przykład nie jest cechą dystynktywną różnica pomiędzy głoską *h* (krtaniową) a głoską *ɣ* (tylnojęzykową). Jedni Polacy stale wymawiają *h*, podczas gdy inni wymawiają *ɣ*. Powiemy więc – zgodnie z koncepcją fonologii Trubieckiego – że mamy tu do czynienia z dwoma fakultatywnymi wariantami tego samego fonemu. Zdarza się też, iż w pewnym otoczeniu pojawia się w tekstach tego samego Polaka głoska *r*, a w innych głoska *ř* (np. *rwę* : *rwiesz*). Powiemy wtedy, że mamy tu do czynienia z dwoma wariantami pozycyjnymi tego samego fonemu. By ustalić, czy w tekście dwie głoski reprezentują jeden fonem, czy dwa odrębne fonemy, możemy posłużyć się dystrybucją. Jeżeli zbiór kontekstów, w których występuje jedna głoska, jest zupełnie odmienny od zbioru kontekstów, w których występuje w tekstach druga głoska, powiemy, że obie głoski są w stosunku do siebie w dystrybucji komplementarnej (uzupełniającej) i dlatego są wariantami pozycyjnymi tego samego fonemu (do dystrybucji i jej rodzajów wrócimy w następnym podrozdziale).

Oprócz zagadnień dotyczących wewnątrzsystemowych funkcji elementów systemu języka szkole praskiej zawdzięcza bardzo wiele stylistyka, a więc dziedzina należąca do szeroko rozumianej pragmatyki językoznawczej. W przeciwieństwie do syntaktyki językoznawczej, która – zdaniem prażan – bada funkcje znaków językowych w abstrakcyjnym systemie, stylistyka stara się uchwycić system zasad, którymi się kieruje nadawca w czasie tworzenia tekstu. Sam tekst też jest strukturą. Ta sama treść może jednak otrzymać różną strukturę tekstową. Styl według szkoły praskiej to jakość strukturalna tekstu wynikająca z celowego doboru przez nadawcę jednostek języka.

W ramach tak pojmowanej stylistyki wiele miejsca zajmowały rozważania badaczy ze szkoły praskiej na temat stylu literackiego, a więc tych tekstów, w których na plan pierwszy wysuwa się funkcja poetycka. Tekst literacki koncentruje się nie na tym, co informuje, ale na tym, w jaki sposób to czyni. Głównymi przedstawicielami tego nurtu byli Mukařowski i Jakobson, który później – po wyjeździe do Ameryki – zasadniczo wpłynął na zmianę podejścia językoznawców amerykańskich do badań nad językiem. W Ameryce rozwijał

on też fonologiczną teorię Trubieckiego. Powstała w ten sposób nowa jego teoria fonologiczna, która zmieściła się już w generatywnym paradygmacie lingwistycznym.

### **Dystrybucjonizm amerykański**

W tym samym czasie, kiedy w Europie powstawały teorie wyznaczające strukturalistyczny paradygmat językoznawczy, w Ameryce językoznawcy podejmowali bardziej praktyczne wyzwanie. Postawili oni sobie za cel opis wielu bardzo różniących się od siebie języków indiańskich. Ot, choćby nawet po to, by można było przetłumaczyć Biblię na te języki. Niezbyt ważne było więc dla amerykańskich językoznawców językoznawstwo teoretyczne – ważniejsze natomiast językoznawstwo opisowe (deskryptywne). Z tego powodu strukturalizm amerykański określa się czasem mianem deskryptywizmu.

Jak już wielokrotnie sygnalizowałem, w książce tej jestem zwolennikiem akceptowanej w Kole Wiedeńskim tezy, iż nie da się jednak opisywać czegoś bez założonej z góry teorii. Leonard Bloomfield wszakże starał się wypracować taką koncepcję lingwistyki, której założenia początkowe byłyby bardzo ograniczone. Jego koncepcja zdeterminowana została jednym istotnym faktem praktycznym. Zazwyczaj językoznawcy, którzy chcieli opisywać języki indiańskie, nie używali czynnie tych języków. Nie znali też znaczenia wyrażen w tych językach. Spróbowano więc stworzyć teorię językoznawczą, która pozwalałaby na opis języka na podstawie samej formy tekstów powstających w tym języku. W czasie budowania tej teorii lingwistycznej wykorzystano pojęcie dystrybucji, stąd szkołę amerykańską określa się też mianem dystrybucjonizmu albo językoznawstwa taksonomicznego.

Jest to postępowanie ze wszech miar uzasadnione praktycznie. Wyobraźmy sobie bowiem, że odnaleźliśmy olbrzymią księgę w nieznanym nam języku. Wiemy jednak z przekazów, że w księdze tej zawarte są bardzo istotne dla nas informacje. Gdybyśmy więc chcieli spróbować dotrzeć do tych informacji, musielibyśmy wprawdzie określić najmniejsze jednostki tekstu, którymi operował autor książki, a później te jednostki poklasyfikować. Też z pewnością posłużylibyśmy się dystrybucją i taksonomią (czyli odmianą klasyfikacji). W czasie zatem dochodzenia do zasad rządzących tekstem nie posługujemy się znaczeniem. Dla Bloomfielda był to poważny argument na korzyść jego koncepcji opisu języka, znaczenie jest bowiem bardzo intuicyjne, a więc subiektywne, nauka zaś ma być obiektywna. W związku z tym ważne jest konstruowanie takich metod badawczych, za pomocą których można zminimalizować subiektywność.

Przez dystrybucję należy rozumieć zbiór otoczeń (kontekstów), w jakich dany element tekstowy występuje w tekstach. Można przy tym zauważyć, że czasem dwa elementy tekstowe występują dokładnie w tych samych kontekstach. Mamy wtedy do czynienia z dystrybucją identyczną. Czasem zbiór



kontekstów jednostki A mieści się w zbiorze kontekstów jednostki B. Mamy wtedy do czynienia z dystrybucją inkluzywną (inaczej: inkluzją dystrybucyjną). Zdarza się też, że zbiór kontekstów jednostki A i zbiór kontekstów jednostki B obejmują podzbiór kontekstów, który jest wspólny dla obu jednostek. Mamy wtedy do czynienia z dystrybucją krzyżującą się. Wreszcie w czasie obserwacji tekstów zauważa się, że zbiór kontekstów jednostki A jest całkowicie odmienny od zbioru kontekstów jednostki B, tzn. nie ma takiego kontekstu jednostki A, który byłby jednocześnie kontekstem jednostki B. Mówimy wtedy, że A i B są w dystrybucji komplementarnej (uzupełniającej). Żeby zbadać dystrybucję danej jednostki tekstu, trzeba wcześniej przeprowadzić jego segmentację, czyli po prostu wydobyć z tekstów segmenty (odcinki), które można podejrzewać o to, iż są jednostkami tekstowymi.

Na podstawie dystrybucji można pewne dwie jednostki tekstowe (segmenty tekstu) uznać za reprezentantki tej samej jednostki języka, można też przyjąć, że reprezentują one dwie różne jednostki języka. Jeżeli dwie jednostki są w dystrybucji komplementarnej, uznajemy je za tekstowe warianty kombinatoryczne (pozycyjne) tej samej jednostki języka (systemu), jeżeli natomiast dwie formalnie różne jednostki tekstu są w dystrybucji albo identycznej, albo inkluzywnej, albo krzyżującej się, uznajemy je za realizacje tekstowe dwóch osobnych jednostek języka.

Przedstawiony sposób podchodzenia do opisu języka był przez strukturalistów amerykańskich utożsamiany z teorią języka. Teoria języka jest więc dla nich zbiorem zasad, którymi powinien posługiwać się językoznawca, opisując jakiś język, a więc zbiorem procedur odkrywania języka na podstawie zbioru tekstów, czyli tzw. korpusu tekstowego.

Próby jednak takiego dystrybucyjnego (niebrania pod uwagę znaczenia wyrażen językowych i intuicji użytkownika języka) dochodzenia do struktury języka nie mogły przynieść zadowalających efektów. Sama taksonomia nie jest bowiem wystarczającym narzędziem językoznawcy. Gdybyśmy np. napotkali w korpusie tekstów polskich następujące cztery zdania:

*Chłopiec myje dziewczynę.*

*Chłopiec myje się.*

*Chłopiec przejechał dziewczynę.*

*Chłopiec przejechał się.*

to bez znajomości znaczenia uznalibyśmy *się* występujące w czwartym zdaniu za reprezentujące tę samą jednostkę języka, którą reprezentuje *się* w zdaniu drugim. Takie rozumowanie sprzeczne jest jednak z zasadami zdrowego rozsądku, który nakazuje, by *się* z czwartego zdania połączyć z *przejechać*. Żeby zatem przeprowadzić segmentację tekstu, trzeba brać pod uwagę jego znaczenie i intuicje użytkownika języka. Zdali sobie zresztą sprawę z tego amerykańscy

językoznawcy, którzy po pewnym czasie nie formułowali już tak skrajnych tez o braku roli znaczenia w odkrywaniu struktury języka. Korzystali więc z doświadczeń szkoły praskiej.

Zresztą w tradycji amerykańskiej znaczenie było przedmiotem rozważań językoznawczych. Zrezygnowano z jego uwzględniania w czasie badania języka z wspomnianych wyżej powodów praktycznych (chęć opisu dużej grupy języków Indian). Do tego doszedł postulat zobiektywizowania badań językoznawczych. Badanie znaczenia w amerykańskiej tradycji lingwistycznej wiązało się bowiem z tzw. hipotezą Sapira–Whorfa, sformułowaną przez Edwarda Sapira i jego ucznia Benjamina Lee Whorfa. Hipoteza ta głosi, że człowiek postrzega świat przez język, a przy tym struktura języka narzuca użytkownikowi sposób widzenia świata. Języki mają różną strukturę syntaktyczną i semantyczną, co powoduje, iż ludzie mówiący różnymi językami inaczej postrzegają świat. W związku z tym wprowadzenie jednolitego języka semantycznego do opisu znaczenia języka naturalnego jest zadaniem niewyobrażalnym. Jak już zatem powiedzieliśmy, zdaniem twórcy dystrybucjonizmu Bloomfielda, z semantyki można zrezygnować, badając czysto syntaktyczną stronę języka, gdyż językoznawstwo powinno być nauką obiektywną, znaczenie zaś wprowadzałoby do lingwistyki piętno subiektywizmu.

Bloomfield przeniósł jednak na grunt językoznawstwa koncepcję psychologiczną zwaną behawioryzmem i w kategoriach behawioryzmu próbował wyjaśniać funkcjonowanie języka w procesie komunikacji. Zdaniem behawiorystów zachowania ludzkie można opisywać za pomocą bodźców i reakcji na te bodźce, rezygnując jednocześnie z tłumaczenia tych zachowań nieobserwowalnymi procesami psychicznymi człowieka. Tekst językowy jest więc dla Bloomfielda albo bodźcem dla pewnej reakcji, albo reakcją na ten bodziec. Z tym jednak, że tekst jest albo bodźcem zastępczym, albo reakcją zastępczą. Nie trzeba dodawać, że behawioryzm został przez nowoczesną psychologię odrzucony, gdyż tak naprawdę nie opisuje on procesów zachodzących w psychice człowieka.

Jeśli zatem porównamy nasz opis strukturalnej szkoły praskiej z opisem strukturalizmu amerykańskiego, to zauważymy od razu, iż różnicuje obie odmiany strukturalizmu podejście do znaczenia wyrażeń językowych. W szkole praskiej funkcje elementów systemu językowego określało się na podstawie znaczenia lub jego stosunku do znaczenia wyrażeń. W szkole amerykańskiej opozycje pomiędzy jednostkami języka wynikały z dystrybucji tych jednostek w tekstach. Stąd wynika druga podstawowa różnica: szkoła praska zwraca szczególną uwagę na związki paradygmatyczne w systemie językowym, szkoła amerykańska natomiast kładzie natomiast nacisk na związki syntagma-tyczne. Obie szkoły akceptują jednak ogólną hipotezę, iż język jest systemem (strukturą) znaków i obie starają się podać jak najwięcej argumentów przemawiających za tą hipotezą.

## Glossematyka

Poglądy lingwistyczne najbliższe koncepcji de Saussure'a głosili przedstawiciele Kopenhaskiego Koła Lingwistycznego, które zawiązało się tuż przed drugą wojną światową. Dlatego szkołę kopenhaską określa się niekiedy terminem *neosaussuryzm*. Oni sami jednak określali siebie mianem glossematyków, a teorię, którą sformułowali, nazwali glossematyką. Najbardziej znanym przedstawicielem glossematyki był niewątpliwie Louis Hjelmslev.

Część typowo lingwistycznych poglądów Hjelmsleva mieści się w paradygmacie strukturalistycznym, lecz jego poglądy metalingwistyczne są bardzo bliskie falsyfikacjonistycznemu paradygmatowi nauki, którego przejawem jest w językoznawstwie generatywizm.

Zadaniem językoznawstwa jest dla Hjelmsleva badanie struktury języka, językoznawstwo więc to przede wszystkim nauka synchroniczna. Dopiero po zbudowaniu teorii języka jako systemu znaków można patrzeć na język z perspektywy innych nauk, a więc także historii. Jednocześnie Hjelmslev rozbudował dwudzielną teorię znaku językowego de Saussure'a. Zdaniem Hjelmsleva znak i jego znaczenie trzeba rozpatrywać nie na dwóch, ale na czterech płaszczyznach.

Przede wszystkim należy w złożonym zjawisku, jakim jest język, odróżnić płaszczyznę (plan) treści od płaszczyzny (planu) wyrażania. Treść języka to rzeczywistość, o której język może komunikować, wyrażenie języka natomiast to wszystkie środki, za pomocą których komunikuje się o treści. Jednocześnie zarówno na płaszczyźnie treści, jak i wyrażania trzeba odróżnić dwa zjawiska: substancję i formę. Substancją na płaszczyźnie wyrażania są ruchy narządów mownych powodujące powstawanie fal dźwiękowych, a więc konkretnych dźwięków, substancją zaś na płaszczyźnie treści jest tzw. obiektywna rzeczywistość. Formą na płaszczyźnie wyrażania jest z kolei psychiczny obraz substancji wyrażania, a więc psychiczny obraz dźwięków języka, a formą na płaszczyźnie treści jest psychiczny obraz substancji treści, czyli psychiczny obraz otaczającej człowieka rzeczywistości. Zadaniem językoznawstwa jest badanie formy wyrażania w relacji do formy treści. Mówiąc nieco inaczej: językoznawstwo powinno badać psychiczny obraz znaku językowego w jego relacji do psychicznego obrazu rzeczywistości.

Koncepcja znaku zaproponowana przez Hjelmsleva jest więc bliska o wiele bardziej rozpowszechnionej w dzisiejszej humanistyce koncepcji tzw. trójkąta semantycznego autorstwa Charlesa K. Odgena i Ivo A. Richardsa, z którego wynika, że pomiędzy brzmieniem symbolu a elementem rzeczywistości nie ma bezpośredniego związku, a pośrednikiem w tej relacji jest myśl.

O ile pomiędzy koncepcjami języka Hjelmsleva i de Saussure'a istnieją wyraźne podobieństwa, o tyle w koncepcji budowania nauki o języku, a więc w sferze poglądów metalingwistycznych, Hjelmslev odchodzi od strukturalizmu.

Teorię językoznawczą należy – zdaniem Hjelmsleva – budować na wzór systemów dedukcyjnych, wychodząc od aksjomatów i dochodząc do rozbudowanego zbioru teorematów. Można przy tym skonstruować wiele takich teorii. Dlatego Hjelmslev proponuje trzy kryteria oceny teorii. Przede wszystkim teoria powinna być niesprzeczna wewnętrznie. Spośród teorii spełniających warunek niesprzeczności wewnętrznej wybieramy te, które są zupełne, tj. opisują i przewidują wszystkie teksty danego języka. Spośród teorii niesprzecznych wewnętrznie i zupełnych wybieramy teorię najprostszą. Na teorię lingwistyczną nakłada więc Hjelmslev trzy warunki: 1) niesprzeczność wewnętrzną, 2) zupełność, 3) prostotę, które jednocześnie są ułożonymi hierarchicznie kryteriami oceny teorii lingwistycznych. Powyższe idee Hjelmsleva urzeczywistniły się dopiero w paradygmacie generatywistycznym, któremu poświęcamy następny podrozdział.

## Generatywizm jako przejaw falsyfikacjonizmu

### Ogólne zasady generatywnego podejścia do języka

Falsyfikacjonizm to – jak pamiętamy – taki paradygmat nauki, który zakłada, iż na początku naukowiec stawia hipotezę, tj. formułuje zdanie ogólne, które po krótkotrwałej procedurze weryfikacji pozytywnej należy poddać procedurze falsyfikującej. Hipoteza naukowa „obowiązuje” więc dopóty, dopóki jej się nie sfalsyfikuje. Po sfalsyfikowaniu należy utworzyć nową hipotezę, w której uniknie się błędów poprzedniczki.

Przejawem paradygmatu falsyfikacjonistycznego jest w językoznawstwie paradygmat generatywny, czyli generatywizm. Postawmy więc sobie na początku pytanie, co to jest generatywizm. Na potrzeby niniejszej argumentacji przyjmijmy, że jest to taki paradygmat badań nad językiem, w którym: 1) wychodzi się od przekonania, że zdania języka naturalnego powstają w wyniku łączenia lub przekształcania jednostek niższego rzędu; 2) utrzymuje się, że językoznawca powinien naśladować twórców systemów dedukcyjnych. Chodzi więc w generatywizmie o to, by zbudować taki model języka, za pomocą którego można by nie tylko analizować zdania, ale by tworzyć takie ciągi, które mają identyczną formę jak zdania językoznawcze.

Generatywny model języka można więc wyobrazić sobie jako grę składającą się z planszy, zestawu klocków i instrukcji układania klocków na planszy. Załóżmy, że plansza w naszej grze zawiera tylko dwa pola – jedno zielone, drugie czerwone, a zestaw czterech klocków: z dwóch zielonych klocków z napisami *chłopiec* i *dziewczyzna* i dwóch czerwonych z napisami *idzie* i *siedzi*. W instrukcji układania umieścimy tylko dwa przepisy: 1) zielone klocki możesz położyć tylko na zielonych polach planszy; 2) czerwone klocki możesz położyć tylko na czerwonych polach planszy.

Ten nasz zestaw jest modelem generatywnym – opisuje (generuje) cztery potencjalne zdania języka polskiego:

*Chłopiec idzie.*

*Dziewczyna idzie.*

*Chłopiec siedzi.*

*Dziewczyna siedzi.*

Możemy go przełożyć z języka klocków na język symboliczny, w którym wychodzimy od symbolu początkowego, czyli aksjomatu  $Z$  (tj. zdania), i rozwijamy go za pomocą równań w kolejne teorematy:

$$Z = x + y$$

$$x = \textit{chłopiec} \text{ lub } x = \textit{dziewczyna}$$

$$y = \textit{idzie} \text{ lub } y = \textit{siedzi}$$

Powyższy język symboliczny również generuje cztery ciągi, które mają identyczną formę jak zdania języka polskiego. Powiemy więc, że system ten jest gramatyką generatywną (modelem generatywnym) pewnego zbioru zdań polskich liczącego cztery jednostki.

Ponieważ zdań polskich jest o wiele więcej, można nawet przyjąć, że teoretycznie jest ich nieskończenie wiele, gramatykę tę należy powiększyć, wprowadzając do niej więcej równań, więcej symboli leksykalnych i więcej reguł. W dodatku należy wprowadzić możliwość wielokrotnego działania tej samej reguły, a więc nadać gramatyce charakter rekurencyjny (rekursywny). Istotą modelu generatywnego języka naturalnego jest bowiem to, iż generuje on nieskończony zbiór zdań za pomocą skończonej liczby reguł.

### **Gramatyka generatywno-transformacyjna**

Najbardziej znaną teorią w paradygmacie generatywistycznym jest gramatyka generatywno-transformacyjna zapoczątkowana przez Chomsky'ego w drugiej połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Zdaniem Chomsky'ego zdania języka naturalnego można podzielić na dwa zbiory: zdania generowane za pomocą gramatyki, w której nie ma reguł transformacyjnych, i zdania generowane za pomocą gramatyki, w której są reguły transformacyjne.

Powyższe cztery zdania są generowane za pomocą gramatyki, która nie zawiera reguł transformacyjnych, ale wyłącznie równania (czyli tzw. reguły przepisywania czy inaczej: reguły struktur frazowych). Zdania:

*Idzie chłopiec.*

*Idzie dziewczyna.*

*Siedzi chłopiec.*

*Siedzi dziewczyna.*

mogą być natomiast generowane w ten sposób, iż ciągi końcowe otrzymane dzięki regułom przepisywania są przekształcane (czyli transformowane) na inne ciągi. A więc ciąg *Chłopiec idzie* ulega transformacji zmieniającej porządek (tj. szyk) składników. Jej rezultatem jest ciąg *Idzie chłopiec*. Gramatykę generatywną, która zawiera w zbiorze swoich reguł transformacje, nazywa się gramatyką generatywno-transformacyjną.

Generatywizm jest – jak już powiedzieliśmy – przejawem paradygmatu falsyfikacjonistycznego w językoznawstwie, ponieważ można teoretycznie zaproponować wiele modeli generatywnych, ich zasadność zaś sprawdzać choćby za pomocą kryteriów zaproponowanych przez Hjelmsleva. Proces sprawdzania jest jednocześnie falsyfikowaniem pewnych gramatyk z powodu ich sprzeczności wewnętrznych, następnych gramatyk z powodu ich niezupełności (tj. z powodu niegenerowania przez nie zdań, które użytkownik języka uznaje za zdania należące do tego języka), pozostałych zaś z punktu widzenia braku prostoty. Mówiliśmy już zresztą o tym w poprzednich partiach tej książki.

W podrozdziale tym ukazaliśmy tylko najważniejsze cechy językoznawczego paradygmatu generatywnego. W następnym podrozdziale przedstawimy w sposób bardzo prosty proces budowania standardowego modelu generatywno-transformacyjnego języka polskiego. Zarówno do samego standardowego modelu, jak i do procesu jego budowania będziemy często odwoływać się w następnej części pracy.

## Zasady budowania modelu generatywnego

### Reguły przepisywania

W poprzedniej części rozważań o generatywizmie gramatykę generującą cztery zdania polskie przedstawiliśmy w postaci pięciu równań. W tym podrozdziale przedyskutujemy gramatykę zawierającą większą liczbę reguł formalnych. Dzięki zwiększeniu liczby reguł gramatyka nasza generować będzie większy zbiór zdań. Zachowamy przy tym pierwszą regułę gramatyki, tj. równanie:

$$Z = x + y$$

Zapiszemy je jednak w następującej formie:

$$Z \rightarrow x y$$

Zamiast znaku = używa się w pracach generatywistycznych znaku  $\rightarrow$ , który odczytuje się jako ‘przepisz na’, natomiast znak + się pomija. Dodać musimy, że reguła  $Z = x + y$  ma to samo znaczenie co reguła  $Z \rightarrow x y$ . O regule pierwszej

mówimy, że ma formę równania, o drugiej zaś – że jest regułą przepisywania. Reguły przepisywania nazywa się też regułami frazowymi.

Założmy dodatkowo, że symbole  $x$ ,  $y$  nie są przepisywane na symbole typu *chłopiec*, *idzie*, ale na inne symbole literowe. Przyjmijmy więc, że w naszej nowej gramatyce mamy następujące reguły przepisywania:

$$\begin{aligned}Z &\rightarrow x y \\x &\rightarrow p q \\x &\rightarrow q \\y &\rightarrow v x \\y &\rightarrow v\end{aligned}$$

Powyższy zbiór reguł możemy zapisać w postaci trzech reguł syntetycznych:

$$\begin{aligned}Z &\rightarrow x y \\x &\rightarrow \left\{ \begin{array}{l} p q \\ q \end{array} \right\} \\y &\rightarrow \left\{ \begin{array}{l} v x \\ v \end{array} \right\}\end{aligned}$$

w których nawias klamrowy  $\{ \}$  nakazuje wybrać albo górną, albo dolną możliwość przepisania symbolu. Dzięki temu możemy zamiast czterech reguł przepisujących  $x$  i  $y$  (czyli dwóch dla  $x$  i dwóch dla  $y$ ) użyć dwóch reguł wyposażonych w nawiasy klamrowe. Można w tym akurat wypadku osiągnąć to samo, używając nawiasów okrągłych  $( )$ . Nawias okrągły informuje, iż wewnątrz niego znajduje się symbol fakultatywny, tj. taki, który może, ale nie musi się pojawić. Wtedy zbiór reguł przepisywania miałby następującą formę:

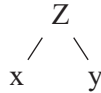
$$\begin{aligned}Z &\rightarrow x y \\x &\rightarrow (p) q \\y &\rightarrow v (x)\end{aligned}$$

W pełniejszej gramatyce używa się zarówno nawiasów okrągłych, jak i klamrowych.

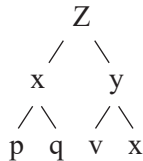
### Drzewka

Każdą regułą przepisywania można też przedstawić w formie odwróconego drzewka, którego wierzchołek stanowi symbol znajdujący się przed strzałką,

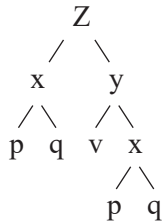
a z wierzchołka rozchodzą się gałęzie, na których końcu umieszczone są symbole znajdujące się po strzałce. Pierwszą zatem regułę przedstawić się da za pomocą następującego drzewka:



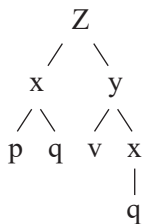
Ponieważ pozostałe reguły przepisywania też można przedstawić w formie drzewek, w których wierzchołkami są symbole końcowe powyższego drzewka, utworzyć możemy m.in. takie drzewko składające się z poddrzewek:



To ostatnie drzewko dalej możemy rozbudowywać, dodając do niego trzecie piętro, gdyż symbol x nie jest symbolem nierozkładalnym. Powstanie więc albo drzewko najbardziej rozbudowane ze wszystkich drzewek, które możemy utworzyć za pomocą reguł naszej gramatyki:



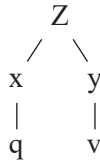
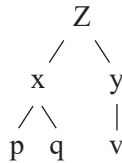
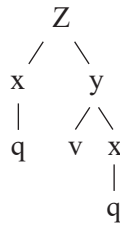
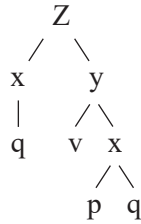
albo drzewko mniej rozbudowane:



Symbol x może być bowiem przepisany albo na dwa symbole (tj. symbole p, q), albo na jeden tylko symbol (tj. symbol q).



Oprócz tych dwóch drzewek w rezultacie działania reguł przepisywania powstają jeszcze następujące drzewka:



Dzięki zbiorowi reguł przepisywania tworzymy zatem sześć różniących się od siebie drzewek. Zostaną one wykorzystane do generowania zdań naszej gramatyki, kiedy dołączymy do nich odpowiednie jednostki słownikowe (leksemy).

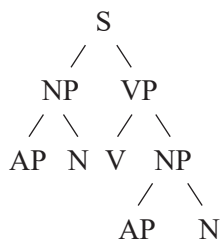
Dodajmy przy tym, że w pracach generatywistów używa się w miejsce zastosowanych przez nas symboli innych oznaczeń literowych, które są skrótami od angielskich pojęć językoznawczych. Zamiast symbolu Z będziemy więc odtąd używać symbolu S, który jest skrótem od angielskiego wyrazu *sentence* 'zdanie'; zamiast symbolu x będziemy używać symbolu NP, który jest skrótem

angielskich wyrazów *noun phrase* ‘fraza rzeczownikowa (czyli nominalna)’; zamiast symbolu q będziemy używać symbolu N, który jest skrótem angielskiego wyrazu *noun* ‘rzeczownik’; zamiast symbolu p będziemy używać symbolu AP, który jest skrótem angielskich wyrazów *adjective phrase* ‘fraza przymiotnikowa’; zamiast symbolu y będziemy używać symbolu VP, który jest skrótem angielskich wyrazów *verb phrase* ‘fraza czasownikowa (czyli werbalna)’; zamiast wreszcie symbolu v używać będziemy symbolu V, który jest skrótem angielskiego wyrazu *verb* ‘czasownik’.

Wiedząc to wszystko, zmienimy powyższy zbiór reguł przepisywania na zbiór zawierający nowe kategorie:

$Z \rightarrow x y$	zmieniamy na	$S \rightarrow NP VP$
$x \rightarrow p q$	zmieniamy na	$NP \rightarrow AP N$
$x \rightarrow q$	zmieniamy na	$NP \rightarrow N$
$y \rightarrow v x$	zmieniamy na	$VP \rightarrow V NP$
$y \rightarrow v$	zmieniamy na	$VP \rightarrow V$

Najbardziej rozbudowane drzewko, jakie otrzymujemy za pomocą tych reguł, ma więc następującą formę:



Analogicznie powinniśmy wymienić stare symbole na nowe w pozostałych drzewkach.

### **Jednostki słownikowe (leksemy) i ich kategoryzacja**

W układance, o której powiedzieliśmy na początku rozważań o generatywizmie, są – jak pamiętamy – trzy części składowe: plansza, zestaw klocków z wyrazami języka i przepisy układania klocków na planszy. Drzewka, które omówiliśmy w poprzednim podrozdziale, to nic innego jak formalne odpowiedniki plansz. Na planszach układamy klocki, czyli jednostki słownikowe (leksemy). Zestaw leksemów jest po prostu słownikiem danego języka. Omówimy więc w tym podrozdziale, jakie informacje powinny zawierać hasła (artykuły hasłowe) poszczególnych leksemów, by można je było dołączać do drzewek.

Założmy, że omówimy tylko następujący zbiór leksemów:

CHŁOPIEC, DZIEWCZYNA, KSIĄŻKA, PIES  
ŁADNY, DOBRY, ZŁY  
IŚĆ, CZYTAĆ, LUBIĆ

W naszym zestawie klocki były w różnych kolorach. W słowniku zamiast kolorów użyjemy symboli, które włączymy do haseł poszczególnych leksemów. Każdy leksem z pierwszego szeregu (czyli wszystkie rzeczowniki) oznaczymy symbolem N. Każdy leksem z szeregu drugiego (czyli wszystkie przymiotniki) oznaczymy symbolem AP (powinniśmy oznaczyć go bardziej elementarnym symbolem A, ponieważ jednak do zbioru reguł przepisowywania nie wprowadziliśmy reguły przepisującej AP na P, by ze względów dydaktycznych nie mnożyć reguł, oznaczymy przymiotniki symbolem AP). Każdy wreszcie leksem z szeregu trzeciego (czyli wszystkie czasowniki) oznaczymy symbolem V.

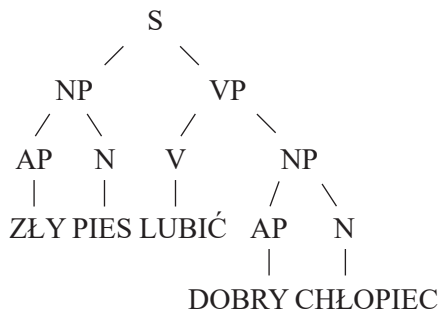
Możemy teraz sformułować podstawową zasadę dołączania leksemów do drzewek. Brzmi ona następująco:

*Leksem można dołączyć tylko pod ten symbol drzewka, który jest identyczny z symbolem, za pomocą którego leksem ten jest oznaczony w słowniku.*

Przypisanie leksemowi symbolu typu N, V lub AP nazywa się w gramatyce generatywnej **kategoryzacją**. Kategoryzacja więc jest odpowiednikiem formalnym koloru klocka.

#### Dostosowanie form leksemów (akomodacja)

Po podstawieniu leksemów zgodnie z powyższą zasadą otrzymamy m.in. następujące drzewko:



z którego odczytujemy ciąg ZŁY PIES LUBIĆ DOBRY CHŁOPIEC. Nie jest to jednak zdanie akceptowalne. Żeby z tego ciągu uzyskać zdanie *Zły pies lubi dobrego chłopca*, należy dobrać odpowiednie formy leksemów.

W haśle słownikowym leksemu oprócz kategoryzacji zawarta jest jeszcze informacja, jakie leksem ten może przybierać formy w zdaniach i w sąsiedztwie jakich elementów przybiera każdą z tych form. Dostosowanie form jednego leksemu do drugiego nazywa się w językoznawstwie **akomodacją**. W haśle słownikowym są więc informacje o możliwych akomodacjach danego leksemu i wpływie tego leksemu na akomodacje innych leksemów.

Proces akomodacji zachodzący pomiędzy leksemami należącymi do powyższego drzewka opisać można w następujący sposób. Leksem LUBIĆ wysyła do poprzedzającego go rzeczownika, a więc leksemu PIES, polecenie:

Przyjmij formę mianownika!

Równocześnie do poprzedzanego rzeczownika leksem LUBIĆ wysyła polecenie:

Przyjmij formę biernika!

Oba polecenia są przez rzeczowniki wykonywane. Rzeczownik pierwszy, tj. PIES, przyjmując formę mianownikową, wysyła do czasownika jednocześnie dwa polecenia:

Przyjmij formę trzeciej osoby, liczby pojedynczej!

Czasownik stosuje się do tego polecenia i przybiera formę *lubi*. Po przyjęciu przez rzeczowniki odpowiednich form przypadkowych wysyłane zostają polecenia do przymiotników. Rzeczownik PIES, który przybrał formę *pies*, wysyła do przymiotnika ZŁY trzy polecenia:

Przyjmij formę mianownika, liczby pojedynczej, rodzaju męskiego!

Leksem ZŁY przyjmuje więc formę *zły*. Rzeczownik CHŁOPIEC, który przybrał formę *chłopca*, wysyła do przymiotnika też trzy polecenia (dwa takie same jak leksem PIES, jedno inne):

Przyjmij formę biernika, liczby pojedynczej, rodzaju męskiego!

Leksem DOBRY przyjmuje więc formę *dobrego*. Otrzymujemy więc akceptowalne zdanie *Zły pies lubi dobrego chłopca*. Zdanie to jest generowane przez naszą gramatykę.

### **Subkategoryzacja**

Oprócz zdań akceptowalnych nasza gramatyka w obecnej swej formie generuje także ciągi nieakceptowalne, np.:

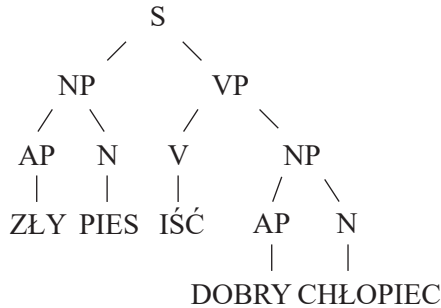
*\*Zły pies idzie dobrego chłopca.*

Nic nie stoi na przeszkodzie, by zamiast leksemu LUBIĆ wstawić pod symbolem V tak samo oznaczony leksem IŚĆ. Żeby nie dopuścić do generowania tego typu ciągów (a więc uznawania ich za zdania gramatyczne), wprowadzimy do haseł słownikowych leksemów oprócz kategoryzacji i akomodacji także subkategoryzację.

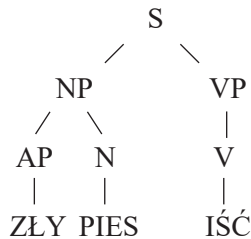
W hasłach słownikowych leksemów CZYTAĆ i LUBIĆ mogłaby być umieszczona informacja:

Występuje z leksemami skategoryzowanymi jako N po prawej stronie.

Informacja ta nazywa się subkategoryzacją, gdyż na jej podstawie możemy podzielić leksemy o kategorii V na dwie podkategorie, tj. na takie, które występują z leksemami rzeczownikowymi po prawej stronie (np. CZYTAĆ, LUBIĆ), i na takie, które nie występują z leksemami rzeczownikowymi po prawej stronie (np. IŚĆ). Ponieważ leksem IŚĆ nie ma takiej cechy subkategoryzacyjnej jak leksemy CZYTAĆ i LUBIĆ, nie możemy włączyć go do drzewka:



ale jedynie do drzewka:



### Generowanie zdań złożonych (rekurencja)

Do tej pory omawialiśmy kwestie związane z generowaniem zdań pojedynczych. Zdanie złożone składa się ze zdań pojedynczych. Żeby zatem generować

zdania złożone, powinniśmy połączyć w jedno drzewko co najmniej dwa drzewka zdań pojedynczych. Tak też będziemy postępować. Zastanówmy się jednak, w jaki sposób najlepiej łączyć dwa drzewka w jedno.

Ze szkolnej gramatyki wiemy, że w zdaniach złożonych podrzędnie zdanie podrzędne występuje zamiast jakiegoś elementu zdania nadrzędnego. Na przykład zdanie podrzędne dopełnieniowe zastępuje dopełnienie. W zdaniu pojedynczym

*Chłopiec czyta książkę.*

dopełnieniem jest rzeczownik *książkę*. W zdaniu złożonym podrzędnie:

*Chłopiec czyta, że pies myśli.*

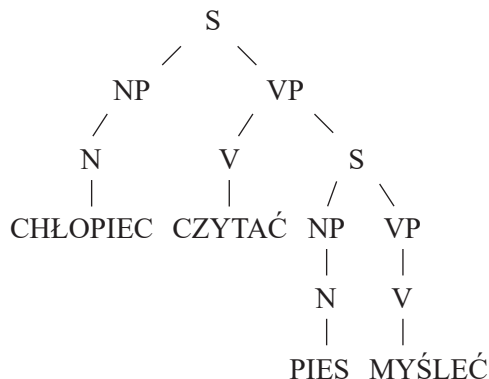
zamiast dopełnienia występuje podrzędne zdanie dopełnieniowe. Możemy więc pójść tym tropem i obok reguł:

$VP \rightarrow V$   
 $VP \rightarrow V NP$

włączyć do zbioru reguł następującą regułą przepisania:

$VP \rightarrow V S$

Po poszerzeniu zbioru reguł przepisania otrzymujemy np. drzewko:



Nawet po zastosowaniu reguł akomodacji nie otrzymamy jednak zdania, o które nam chodziło, lecz jedynie nieakceptowalny ciąg *\*Chłopiec czyta pies myśli*, w którym brakuje spójnika *ŻE*.

Żeby generować zdanie *Chłopiec czyta, że pies myśli*, wprowadzić musimy do zbioru reguł nowe, które stanowiłyby pomost pomiędzy symbolem VP a S. Proponujemy więc dwie nowe reguły frazowe:

$$\begin{aligned} \text{VP} &\rightarrow \text{V S}' \\ \text{S}' &\rightarrow (\text{Conj}) \text{S} \end{aligned}$$

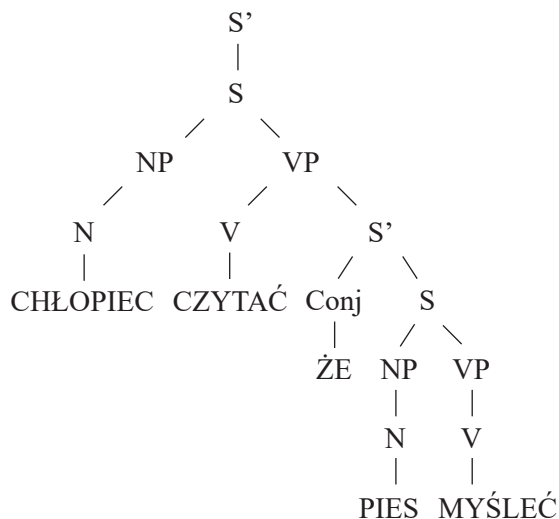
Symbol Conj jest skrótem od angielskiego wyrazu *conjunction* 'spójnik'. W słowniku za pomocą symbolu Conj skategoryzowane są wyrazy takie jak ŻE, ŻEBY, a zatem spójniki. Symbol S' jest natomiast symbolem wyższego rzędu niż S. Każde więc drzewko będzie miało od tej chwili nowy wierzchołek, czyli S'. Jeżeli Symbol S' jest wierzchołkiem całkiem nowego drzewka, wówczas jako pierwszą powinniśmy zastosować regułę przepisującą S' w jej uboższej wersji, nowe drzewko zaczyna się więc regułą:

$$\text{S}' \rightarrow \text{S}$$

Drzewko znajdujące się wewnątrz większego drzewka rozpoczniemy natomiast od reguły:

$$\text{S}' \rightarrow \text{Conj S}$$

Dla interesującego nas zdania możemy więc zaproponować następujące drzewko:



Dzięki takiemu sformułowaniu reguły dołączającej drzewko pełnego zdania do drzewka innego zdania nasz model gramatyczny staje się modelem **rekurencyjnym** (rekursywnym, cyklicznym). Znaczy to, że jakąś czynność może wykonywać w nieskończoność. Zauważmy bowiem, że pod drugim symbolem VP ma prawo pojawić się ponownie symbol S'. Możemy więc proces budowania drzewka nieustannie przedłużać.

Ponieważ nasz model gramatyczny ma charakter rekurencyjny, spełniona jest podstawowa zasada gramatyki generatywnej, którą sformułować da się w następujący sposób:

***Gramatyka generatywna generuje nieskończony zbiór zdań języka naturalnego, używając skończonej liczby reguł gramatycznych.***

Rekurencyjność gramatyki ma zatem dla generatywistów fundamentalne znaczenie.

### **Transformacje**

Do tej pory budowaliśmy reguły takiej gramatyki, która generuje zdania polskie w tzw. szyku (porządku wyrazów) naturalnym. Ze szkolnej gramatyki wiemy, iż szyk zdania w języku polskim jest dość swobodny. Oprócz zdania:

*Chłopiec lubi dziewczynę.*

akceptowalne są także zdania:

*Lubi dziewczynę chłopiec.*

*Chłopiec dziewczynę lubi.*

*Dziewczynę lubi chłopiec.*

*Dziewczynę chłopiec lubi.*

*Lubi chłopiec dziewczynę.*

Pięciu ostatnich zdań nie generuje jednak nasza dotychczasowa gramatyka. Żeby generować zdanie drugie, moglibyśmy oprócz reguły przepisowywania  $S \rightarrow NP VP$  włączyć do zbioru reguł także następującą:

$S \rightarrow VP NP$

Żeby generować zdanie trzecie i czwarte potrzebna jest jeszcze dodatkowa reguła:

$VP \rightarrow NP V$



Dwa ostatnie zdania różnią się jednak znacznie od pierwszych czterech. W drzewkach zdania piątego i szóstego rzeczownik CHŁOPIEC znajdowałby się pomiędzy czasownikiem LUBIĆ a rzeczownikiem DZIEWCZYNA. Ponieważ leksemy te należą do tego samego poddrzewka (są dominowane przez wspólny wierzchołek), gałęzie drzewek musiałyby się przełamywać. Gramatyka generatywna na takie przełamywanie nie pozwala. Gdybyśmy więc nie zmienili zasad budowania drzewek, gramatyka dwa ostatnie zdania uznawałaby za niegramatyczne, gdy tymczasem są to zdania akceptowalne. Gramatyka byłaby więc niezupełna, a tym samym zostałaby sfalsyfikowana.

Moglibyśmy zmienić zasady formułowania reguł przepisowywania, rezygnując z symbolu VP. Wówczas zamiast kilku reguł przepisowywania włączylibyśmy do zbioru reguł następującą regułę:

$$S \rightarrow NP V (NP)$$

Taka gramatyka nie pokazywałaby jednak, że zdanie dzieli się wyraźnie na dwie grupy, tj. grupę rzeczownikową (podmiotową) i grupę czasownikową (orzeczeniową). Byłaby więc gramatyką mało eksplicytną, tj. nie ukazywałaby pewnych znanych i powszechnie przyjmowanych obserwacji na temat budowy zdań.

Zaproponować jednak można inne rozwiązanie problemu generowania zdań z szykiem przestawnym. Załóżmy, że reguły przepisowywania stanowią bazę gramatyki. W bazie otrzymujemy jedynie struktury wyjściowe (głębokie) zdań, przedstawiając je w formie omówionych poprzednio drzewek struktur frazowych.

Oprócz bazy, którą stanowi zbiór reguł przepisowywania i słownik, mamy w gramatyce jeszcze komponent transformacyjny, czyli po prostu zbiór reguł dotyczących tego, w jaki sposób można przekształcać drzewka struktury wyjściowej, by otrzymać zdania językoznawcze. Transformacje zmieniają więc struktury wyjściowe na struktury powierzchniowe.

Jednym z rodzajów transformacji są operacje szyku, polegające na zamianie miejsc elementów struktury wyjściowej. Są to więc transformacje permutacyjne. W wyniku ich działania ze struktury wyjściowej zdania *Chłopiec lubi dziewczynę* powstają pozostałe warianty permutacyjne tego zdania. Generowane jest również zdanie w szyku nieprzestawnym, ponieważ operacje szyku mogą, ale nie muszą, być stosowane (mają charakter fakultatywny).

Oprócz transformacji permutacyjnych są w komponencie transformacyjnym transformacje przenoszące jakiś jeden wybrany element (najczęściej zaimek pytajny) na początek struktury, transformacje wycierające jakiś element struktury wyjściowej (np. leksem JA ze struktury wyjściowej zdania *Ja idę*), transformacje zastępujące taki element struktury, który pojawia się drugi raz

(np. można założyć, że *się* w zdaniu *Kot myje się* jest wynikiem transformacji zastępującej drugie pojawienie się leksemu KOT w strukturze wyjściowej KOT MYĆ KOT). Najrzadsze są transformacje dodające do struktury wyjściowej jakiś element (jako dodany transformacyjnie interpretowany jest przyimek PRZEZ w zdaniu biernym *Kot jest myty przez psa*, którego struktura wyjściowa jest czynna, kończy się więc ciągiem PIES MYĆ KOT).

### **Interpretacja semantyczna**

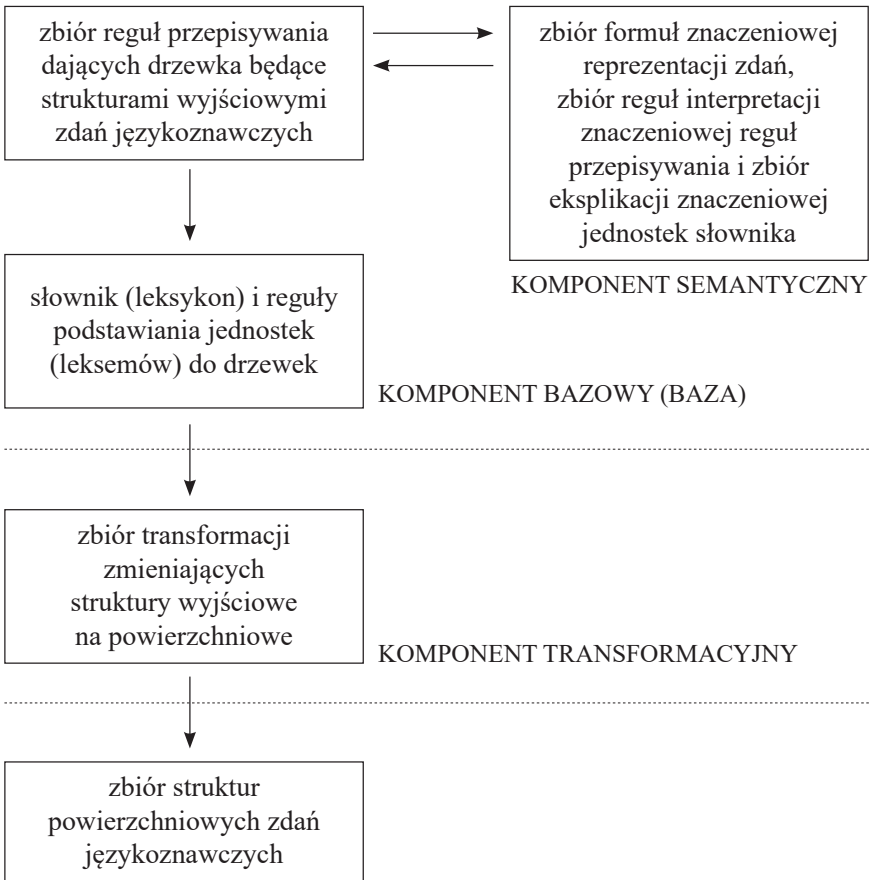
Nasz dotychczasowy model języka uwzględnia tylko jego stronę syntaktyczną. W pewnym momencie podjęto jednak pracę nad włączeniem do modelu generatywnego także komponentu semantycznego. Pojawiły się też próby dołączenia do gramatyki sformalizowanych zasad budowy tekstu. Zasady takie mają oczywiście charakter pragmatyczny. Taka gramatyka generatywna, w której działałby jednocześnie komponent syntaktyczny, semantyczny i pragmatyczny, byłaby zintegrowanym (całościowym) modelem teoretycznym języka. Model teoretyczny pozwalałby dokonywać zintegrowanych opisów poszczególnych języków. W dodatku opisy te byłyby współmierne, gdyż bazowałyby na jednym modelu teoretycznym.

W niniejszym podrozdziale wskażemy jedynie na możliwości włączenia komponentu semantycznego do omawianego tu modelu gramatycznego. Zastanawiać się przy tym będziemy, w jaki sposób funkcjonowałyby w naszej gramatyce opis semantyczny wyrażen językowych wychodzący od ich struktury predykatowo-argumentowej zaproponowanej przez Stanisława Karolaka w tomie *Gramatyki współczesnego języka polskiego* poświęconym składni (Karolak, 1984).

Jak wiadomo, opis ten zakłada, że podstawowe znaczenie zdania da się ująć w postaci co najmniej jednoargumentowego predykatu (funkcji). Oprócz tego w strukturze znaczeniowej językowego wyrażenia zdaniowego jest jeszcze składnik modalny, składnik temporalny i składnik lokatywny. Dodatkowo każda struktura znaczeniowa zdania jest zdeterminowana aktualnym rozczłonkowaniem (tj. podziałem na temat i remat). Przyjmijmy zatem, że komponent semantyczny naszej gramatyki zostanie zorganizowany i połączony z komponentem syntaktycznym tak, by można było wskazać, który element struktury syntaktycznej koresponduje z którym elementem struktury semantycznej.

Decydujemy o tym, że komponent semantyczny będzie w naszym zintegrowanym modelu interpretował reguły syntaktyczne. Pożądane by też było, by interpretować semantycznie tylko komponent bazowy, nie interpretować zaś struktury powierzchniowej. Jest to możliwe tylko wtedy, gdy za transformacje uznamy jedynie te reguły, które nie wpływają na zmianę znaczenia struktury wyjściowej.

Założony model gramatyczny przedstawmy na schemacie:



Każda reguła przepisywania, która powstaje w komponencie bazowym, trafia do komponentu semantycznego. Tam następuje jej interpretacja znaczeniowa. Komponent semantyczny składa się z dwóch części. Pierwszą część stanowi zbiór formuł semantycznej reprezentacji zdań przedstawiających elementarne struktury znaczeniowe, które mogą być zapisane w postaci następujących równań:

$$\Sigma = M \{T, L [f(x)]\}$$
$$\Sigma = M \{T, L [f(x, y)]\}$$

gdzie  $\Sigma$  symbolizuje strukturę znaczeniową zdania,  $M$  – element modalny,  $T$  – element czasowy (temporalny), a  $L$  – element lokatywny.

Drugą część komponentu semantycznego stanowią reguły interpretacji semantycznej reguł przepisywania z komponentu bazowego, tj. dopasowania do nich odpowiednich elementów struktur znaczeniowych. Mamy więc na myśli m.in. następujące reguły interpretacji:

- Zinterpretuj  $S$  jako  $\Sigma$ .
- Zinterpretuj  $NP$  z reguły  $S \rightarrow NP VP$  jako  $x$ .
- Zinterpretuj  $VP$  z reguły  $S \rightarrow NP VP$  jako  $f$  lub  $f$  i  $y$ .
- Zinterpretuj  $V$  z reguły  $VP \rightarrow V$  lub z reguły  $VP \rightarrow V NP$  jako  $f$ .
- Zinterpretuj  $NP$  z reguły  $VP \rightarrow V NP$  jako  $y$ .

Zbiór przedstawionych w tym rozdziale bazowych reguł przepisywania był bardzo fragmentaryczny – nie zawierał m.in. symboli przysłówkowych. Dlatego wśród powyższych reguł interpretacji nie ma takich, które by niektóre elementy reguł przepisywania interpretowały jako  $M$ ,  $T$  i  $L$ . W pełnym zbiorze reguł przepisywania powinny być – oczywiście – uwzględnione też takie symbole, którym przypisać można wartość czynnika modalnego, temporalnego i lokatywnego.

Trzecią częścią komponentu semantycznego są eksplikacje znaczeniowe poszczególnych jednostek słownikowych. Po dołączeniu leksemów i ich eksplikacji do zinterpretowanych znaczeniowo drzewek struktur wyjściowych otrzymujemy pełną ustrukturalizowaną eksplikację zdań należących do zbioru zdań językoznawczych. Eksplikacje poszczególnych jednostek słownikowych są bowiem powiązane ze sobą dzięki temu, że każdemu elementowi struktury wyjściowej jest podporządkowany jakiś element struktury semantycznej. Poszczególne eksplikacje jednostek leksykalnych powiązane są więc z elementarną strukturą semantyczną zdań, w których te jednostki występują.

### **Gramatyka a zasady organizacji tekstu**

Zamieszczony w poprzednim podrozdziale schemat gramatyki kończy się na zbiorze zdań językoznawczych. Nie generuje więc gramatyka zdań tekstowych, a tym bardziej tekstów języka naturalnego. Dodajmy od razu, że nie możemy tak rozbudować modelu, by był on w stanie generować teksty. Każdy tekst to nie tylko zbiór zdań tekstowych, lecz również niepowtarzalna struktura znaczeniowa o przemyślanej kompozycji. Powstaje on w ściśle określonym celu, w ściśle określonej sytuacji komunikacyjnej. Takiego tekstu nie może wygenerować żaden mechanizm. Mówiliśmy zresztą o tym w pierwszym rozdziale tej części.

„Budulcem” dla tekstu są jednak zdania językoznawcze. Generuje je model gramatyczny, który w poprzednich partiach książki przedstawiłem za pomocą analogii do fabryki produkującej w tzw. systemie nakazowo-rozdzielczym półprodukty używane w czasie konstruowania budowli tekstowych. W modelu

generatywnym – mówiąc w dalszym ciągu obrazowo – nie jesteśmy w stanie przewidzieć formalnych reguł organizacji poszczególnych tekstów, czyli planów budowli. Zastanawiać się wszak można nad tym, jakie materiały można wykorzystać w zależności od tego, co chcemy budować. Rozważania na temat organizacji tekstu nie należą jednak do generatywnego modelu języka, lecz do tekstologii. Do schematu zamieszczonego w poprzednim rozdziale nie możemy więc dodać komponentu, w którym zdania językoznawcze byłyby punktem wyjścia do generowania zdań tekstowych. Przedstawia on zatem taki model gramatyczny, który może być uznany za pełny generatywny opis języka naturalnego traktowanego jako zbiór zdań językoznawczych. W następnych etapach prac nad tym modelem trzeba go jednak poddać procedurze falsyfikacji.

## Z historii generatywizmu

### Od *Syntactic Structures* do *Aspects*

Językoznawczy paradygmat generatywny zapoczątkowany został w 1957 roku przez Noama Chomsky'ego. Poglądy swoje wyłożył on w niewielkiej książce zatytułowanej *Syntactic Structures* (Chomsky, 1957). Głosi on w niej tezę, że gramatyka języka naturalnego powinna generować nieskończony zbiór zdań za pomocą skończonej liczby rekurencyjnych reguł. Gramatykę należy zatem sformułować zgodnie z zasadami budowania systemów dedukcyjnych (aksjomatycznych). Rozważa przy tym trzy klasy systemów dedukcyjnych, tj. system skończenie stanowy, system frazowych reguł przepisywania i system złożony ze zbioru frazowych reguł przepisywania i zbioru transformacji.

System skończenie stanowy nie jest dobrym kandydatem na gramatykę języka naturalnego, ponieważ w zdaniach języka naturalnego nie da się tak podzielić elementów, by nie było wśród nich elementów nieciągłych. Elementem nieciągłym jest np. grupa *ładną dziewczynę* występująca w zdaniu *Ładną mój brat ma dziewczynę*. Ponieważ nie da się przewidzieć, ile elementów może się pojawić pomiędzy *ładną* a *dziewczynę* (można zawsze jakiś element tam dodać, zmieniając *mój brat ma* na *mój starszy brat ma*, *mój starszy brat, który mieszka w Warszawie*, *ma* itd.), do generowania zdań języka naturalnego nie da się wykorzystać mechanizmu o skończonej liczbie stanów, w którym musi być przewidziana odległość pomiędzy stanami, tj. np. pomiędzy stanem *ładną* i stanem *dziewczynę*.

Lepszym kandydatem na gramatykę języka naturalnego jest system frazowych reguł przepisywania. Można go przekształcić na gramatykę struktur frazowych. W czasie jednak konstruowania gramatyki na bazie tego systemu pojawiają się wszakże kłopoty, o których mówiliśmy już wyżej. Istnieją więc poważne argumenty przemawiające za tym, że najlepszym kandydatem na gramatykę języka naturalnego jest system dedukcyjny złożony ze zbioru reguł

struktur frazowych i zbioru transformacji przekształcających produkcje reguł struktur frazowych (tj. struktury głębokie) w struktury powierzchniowe. Taki system dedukcyjny nazwał Chomsky gramatyką transformacyjną.

Postulując zbudowanie gramatyki w postaci systemu dedukcyjnego, zrywał więc z dystrybucjonizmem amerykańskim, który zakładał, że gramatykę języka deszyfrujemy z korpusu istniejących tekstów dzięki procedurom odkrywania gramatyki. Chomsky przejął jednak pewne założenia dystrybucjonizmu. W pierwszym jego modelu nie było miejsca na komponent semantyczny. Jak pamiętamy, w strukturalizmie amerykańskim również z opisu języka eliminowano znaczenie wyrażen. Opisywano więc wyłącznie ich stronę syntaktyczną. Pierwsze gramatyki generatywne też opisują tylko syntaktyczne związki pomiędzy elementami zdań.

Książka *Syntactic Structures* przyniosła Chomsky'emu duży rozgłos, dzięki czemu zwolenników paradygmatu generatywnego nieustannie przybywało. Szybko też zauważono, że należy uzupełnić opis generatywny języka, dołączając do reguł składniowych reguły semantyczne. W roku 1965 Chomsky opublikował książkę *Aspects of the Theory of Syntax* (polski tytuł: *Zagadnienia teorii składni*), w której przedstawił nową wersję gramatyki transformacyjnej. Wersja ta nazwana potem została teorią standardową.

Teoria standardowa gramatyki transformacyjnej jest bardzo podobna do tego modelu, który omówiliśmy w poprzednich partiach tej książki. Do komponentów syntaktycznych został w niej dołączony komponent semantyczny, który interpretował znaczeniowo składnię. Oba komponenty były więc od siebie niezależne (autonomiczne). Taki zintegrowany model języka naturalnego zyskał jeszcze większe grono zwolenników. Poszczególne hipotezy Chomsky'ego ulegały ciągłym przeobrażeniom, gdyż dla wielu lingwistów były przedmiotem falsyfikacji. Należało się jednak liczyć z tym, że w dużej grupie generatywistów znajdują się zarówno krytycy umiarkowani, jak i krytycy fundamentalni.

### **Pierwszy rozłam (interpretatywiści i semantycy generatywni)**

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia umiarkowani krytycy teorii standardowej (wśród nich także Chomsky) akceptowali ogólny schemat modelu generującego zawarty w *Aspects*. Falsyfikowali jedynie poszczególne reguły frazowe, a przede wszystkim reguły transformacyjne. Okazało się bowiem, że transformacje w teorii standardowej są narzędziem zbyt potężnym. Komponent transformacyjny przyczyniał się do generowania przez gramatykę olbrzymiego zbioru ciągów nieakceptowalnych. Należało więc transformacje wyposażyć w ograniczenia, a całą gramatykę – w filtry zapobiegające przedostaniu się na powierzchnię struktur ciągów nieakceptowalnych. Ogólnie zatem można powiedzieć, że krytycy umiarkowani ograniczali model generatywny. Dzięki zastosowanym

procedurom falsyfikującym teorię standardową przebudowano, nazywając nowy model teoretyczny rozszerzoną teorią standardową gramatyki transformacyjnej. Językoznawców, którzy byli umiarkowanymi krytykami teorii standardowej, określa się mianem interpretatywistów, ponieważ przyjmowali oni, iż – tak jak w teorii standardowej – komponent semantyczny pełni funkcję interpretatywną wobec komponentów składniowych (syntaktycznych).

W tym samym czasie fundamentalni krytycy teorii standardowej godzili się tylko z najogólniejszymi założeniami generatywizmu, nie godzili się natomiast z zaproponowanym przez Chomsky'ego schematem modelu generującego, w którym komponent semantyczny interpretował składnię. Ich zdaniem bardziej „naturalna” jest gramatyka, która w czasie generowania zdań wychodzi od komponentu semantycznego, dochodząc do syntaktycznych struktur powierzchniowych zdań. Z tego powodu fundamentalnych krytyków teorii standardowej określa się mianem semantyków generatywnych.

Semantycy generatywni przedstawili wiele koncepcji budowania takich modeli gramatycznych, w których wychodzi się od znaczenia, a dochodzi do formy językowej. W pewnym momencie dość duży rozgłos (szczególnie w Polsce) zyskała tzw. teoria głębokiego przypadku Charlesa Fillmore'a. Zgodnie z tą koncepcją gramatyka języka naturalnego powinna rozpoczynać się od semantycznej struktury głębokiej, w której argumenty predykatu da się ująć w tzw. role semantyczne, np. rolę agensa, pacjensa, beneficjensa czy narzędzia.

Cechą wspólną wszystkich propozycji semantyków generatywnych było założenie, że składnia i semantyka nie są autonomicznymi komponentami gramatyki – semantyka jest prymarna w stosunku do składni, czyli semantyka determinuje składnię. Dodać jednak trzeba, że mimo tylu koncepcji ogólnych semantyka generatywna nie doczekała się w głównym nurcie generatywizmu eksplicytnego modelu teoretycznego, tj. modelu, który mógłby zostać poddany takiej procedurze falsyfikacyjnej, jakiej poddano teorię standardową. Pod koniec lat siedemdziesiątych George Lakoff, który był głównym zwolennikiem i propagatorem idei semantyki generatywnej (por. Lakoff, 1971), porzucił językoznawczy paradygmat generatywny, proponując jednocześnie kognitywne badanie metafor występujących w języku potocznym.

Warto jednak zauważyć, że na uboczu głównego nurtu powstała teoria znana pod nazwą sens ↔ tekst autorstwa Igora Mielczuka (por. Mel'čuk, 1974). Wywarła ona znaczny wpływ na językoznawstwo sławistyczne i jest do tej pory przez Mielczuka rozwijana. Do niej nawiązuje też wspomnianą wyżej koncepcja składni predykatowo-argumentowej Stanisława Karolaka (1984).

### **Gramatyki beztransformacyjne**

Każda falsyfikacja teorii standardowej kończyła się zaproponowaniem nowej teorii. W ciągu piętnastu lat, tj. od 1965 do 1980 roku, prób takich podejmowano



bardzo dużo. Jak już powiedzieliśmy, krytycy *Aspects* zauważali przede wszystkim, iż transformacje są narzędziem zbyt potężnym, należało więc ograniczać zasięg ich działania. Na początku lat osiemdziesiątych pojawił się pomysł najdalej idący. Skoro transformacje są tak potężne, to być może warto z nich całkowicie zrezygnować, budując gramatykę języka naturalnego składającą się z reguł struktur frazowych i ich interpretacji semantycznej. Autorem tego pomysłu był Gerald Gazdar, który swoją propozycję nazwał uogólnioną gramatyką struktur frazowych (w skrócie: GPSG – od *Generalized Phrase Structure Grammar*).

Jak pamiętamy, Chomsky już w 1957 roku rozważał możliwość zbudowania gramatyki języka naturalnego z samych tylko reguł struktur frazowych. Uznał on jednak, że jest to zadanie bardzo trudne, i zaproponował model transformacyjny. Gazdar zaproponował natomiast, by podzielić gramatykę na dwa zbiory reguł. Pierwszy zbiór, który bierze bezpośredni udział w generowaniu zdań, byłby złożony tylko z reguł struktur frazowych zinterpretowanych znaczeniowo. Drugi zbiór reguł należałby do metagramatyki, a więc pomnażałby reguły zawarte w pierwszym zbiorze. Idea ta została już omówiona w poprzednich partiach tej części książki. Za pomocą reguł metagramatycznych można uzyskać takie nowe reguły frazowe, które umożliwią generowanie zdań otrzymanych do tej pory za pomocą transformacji.

Po kilku latach prac nad tym modelem powstała w 1985 roku jego synteza. Główny nacisk położono w niej jednak na opis cech poszczególnych symboli gramatyki. W następnych latach teoria GPSG przeobraziła się w teorię HPSG, która jeszcze bardziej szczegółowo rozpatrywała cechy poszczególnych symboli, dlatego m.in. stała się pożytecznym narzędziem opisu akomodacji syntaktycznej.

### **Rząd, wiązanie i program minimalistyczny**

Najnowszą propozycją Chomsky'ego jest tzw. program minimalistyczny. Jest ona pewnego rodzaju odpowiedzią na te propozycje, które bazują na przekonaniu, że z metodologicznego punktu widzenia im sprawniejszy jest model generatywny, tym większa jest jego wartość poznawcza. Takie założenie można m.in. wyczytać z prac zwolenników GPSG i HPSG. Raz jeszcze próbuje Chomsky bronić kryterium adekwatności wyjaśniającej modeli gramatycznych.

Jednym ze sposobów zbudowania gramatyki adekwatnej z wyjaśniającego punktu widzenia jest obserwowanie, jakie dane empiryczne potrzebne są człowiekowi do opanowania języka. Na podstawie obserwacji tych danych można, posiłkując się teorią psychologiczną, w przybliżeniu przyjąć, jakie reguły formalne odpowiadają umysłowym procesom tworzenia gramatyki naturalnej.

Rozważanie tego problemu jest istotne dla tych badaczy, którzy chcą uchwycić tzw. **uniwersalia językowe**, a więc zbiór reguł i kategorii, które są wspólne wszystkim językom naturalnym.



Zanim jednak powstał program minimalistyczny, Chomsky zaproponował teorię zasadniczo odmienną od teorii standardowej. Nosi ona nazwę teorii rządu i wiązania (*Government and Binding*). Nowa koncepcja Chomsky'ego powstawała w tym samym czasie, kiedy Gazdar ogłaszał swoje prace, negując potrzebę transformacji.

Dotychczasowe teorie generatywne (zarówno rozszerzoną teorię standardową, jak i uogólnioną gramatykę struktur frazowych) Chomsky uznaje za pozbawione większego znaczenia teoretycznego, gdyż zamiast uniwersalnych zasad konstruujących uniwersalną gramatykę posługują się one kategoriami „inżynierskimi”, tj. takimi, które można wydobyć z dość powierzchownej obserwacji modeli generatywnych.

Uniwersalną gramatykę należy budować z dwóch różnych perspektyw, głębiej wnikając w istotę systemu dedukcyjnego. Pierwszą perspektywą jest ogólny system gramatyczny, który składa się z trzech komponentów 1) leksykonu (słownika), 2) składni zawierającej komponent bazowy i transformacyjny, 3) komponentu interpretującego. Drugą perspektywą jest system uniwersalnych zasad zawierający m.in. teorię wiązania (*binding theory*), teorię rządu (*government theory*) i teorię ograniczeń (*bounding theory*). Druga więc perspektywa bardzo przypomina metagramatykę z modelu Gazdara.

W tak zbudowanej gramatyce uniwersalnej nie jest istotne opisywanie procesu generowania poszczególnych zdań, ma ona bowiem składać się z zasad bardzo ogólnych. Regułę transformacji przenoszącej można zapisać w postaci ogólnej dyrektywy: *przenieś symbol*, warunki przenoszenia symbolu zawarte w teorii ograniczeń też należy formułować jako zdania ogólne, np. *w czasie przenoszenia możesz przekroczyć tylko jedną granicę*. Granicę trzeba oczywiście wcześniej zdefiniować. Reguły gramatyczne formułowane dla poszczególnych języków powinny mieścić się w ogólnych zdaniach gramatyki uniwersalnej.

## Kognitywizm jako przejaw postmodernizmu

### Ogólna charakterystyka kognitywizmu

Kognitywizm jako odbicie w językoznawstwie paradygmatu postmodernistycznego jest paradygmatem niejednorodnym, ale przecież niejednorodność jest definicyjną cechą postmodernizmu. Przymiotnik *eklektyczny* w odniesieniu do wytworów naukowych miał dotąd zabarwienie pejoratywne, w postmodernizmie nie tylko nie ma on takiego nacechowania, ale postmoderniści wręcz uważają, że zrozumienie musi bazować na opisie niejednorodnym. Rzeczywistość jest bowiem bardzo złożona, rozpatrywanie więc jej z jednego tylko punktu widzenia nie może przyczynić się do jej zrozumienia. Zrozumienie zaś (a nie wyjaśnienie) jest podstawowym zadaniem nauki.

Zresztą naukę też trzeba traktować bardzo umownie, gdyż postawienie ścisłej granicy pomiędzy wiedzą naukową a wiedzą intuicyjną jest niemożliwe, gdyż żadna metodologia nie gwarantuje, że w nauce znajdują się tylko zdania racjonalnie uzasadnione. Skoro tak, to lepiej jest świadomie zrezygnować z rozgraniczania obu rodzajów wiedzy. Jest to pożądane choćby ze względu na to, iż wiedza uznawana dotąd za naukową jest warunkowana przez wiedzę potoczną, a wiedza potoczna jest warunkowana przez wiedzę naukową. Jedy- nym wyznacznikiem tego, iż w danym momencie poruszamy się na obszarze nauki, jest zgoda panująca wśród naukowców. To z kolei, kto należy do gro- na naukowców, wynika z ogólniejszych norm kulturowych obowiązujących w społeczeństwie.

Przyjęta w tak rozumianej nauce metoda postępowania naukowego nie wy- nika z metanauki, ale z niepisanej umowy zawartej przez naukowców. W kog- nitywizmie jest zgoda na to, że w językoznawstwie mogą funkcjonować rów- nolegle różne metody. Nie zamierzają też kognitywiści konstruować spójnych modeli teoretycznych, choć nie zawsze się do tego przyznają. Na zarzut, iż sądy formułowane w ramach kognitywizmu nie są umocowane w spójnej te- orii lingwistycznej, kognitywiści odpowiadają często, iż na teorię jest jeszcze za wcześnie, gdyż wpierw należy dokonać wielu szczegółowych opisów. Nie przyznają się więc, iż celowo rezygnują z ogólnej teorii lingwistycznej.

Podstawowe zadanie językoznawstwa to dla kognitywistów opis metafo- ryki języka naturalnego, która wpływa na sposób widzenia świata przez jego użytkowników. Kognitywiści rezygnują przy tym z takich kategorii opisu ję- zykoznawczego, które bazują (jak u Arystotelesa) na podziale logicznym i kla- syfikacji. Proponują kategorie typologiczne, korzystając przy tym z psycho- logicznej koncepcji prototypów, która z kolei odwołuje się do matematycznej teorii zbiorów rozmytych. Zadaniem językoznawstwa jest więc zrekonstru- owanie na podstawie tekstowych zbitek słownych tzw. językowego obrazu świata. Językowy obraz świata zawiera też elementy wartościujące, w ramach kognitywizmu mieściłyby się więc też dociekania na temat wartości w języku (tzw. aksjologia językowa). Do kognitywizmu zalicza się też niekiedy pew- ną koncepcję opisu zachowań językowych powstałą w ramach badań nad tzw. sztuczną (elektroniczną) inteligencją, którą określamy tutaj umownie mianem koncepcji ram i scenariuszy. Językoznawstwo kognitywne stara się więc od- powiedzieć na pytanie, jaka jest rola języka w poznaniu świata, przymiotnik *kognitywny* jest bowiem synonimem przymiotnika *poznawczy*.

W następnych podrozdziałach rozwinie my poglądy zawarte w powyższym akapicie. Zanim jednak do tego przejdziemy, przedstawmy zarzuty formuło- wane przez kognitywistów pod adresem dotychczasowych paradygmatów ję- zykoznawczych. Podstawowym zarzutem jest to, iż zjawisk językowych nie rozpatruje się w dotychczasowym językoznawstwie całościowo (holistycznie),

ale przygotowuje się sztucznie takie byty, jak synchronia, diachronia, morfologia, składnia. Kwestionuje więc kognitywizm zasadność i potrzebę tych kategorii, które omówiliśmy w poprzednich partiach książki. Jego przedstawiciele nie zwracają jednak przy tym uwagi, że byty te w dotychczasowym językoznawstwie są powiązane w jeden wielki system.

Drugi zarzut stawiany przez kognitywistów dotychczasowym paradygmatom to nadmierne modelowanie matematyczne, które czasami staje się sztuką dla sztuki. Z tym akurat zarzutem trudno się nie zgodzić. Obserwując w następnej części książki językoznawstwo generatywne, z łatwością dojdziemy do przekonania, że idea falsyfikowania teorii została w nim zatracona. Początkowo nowa teoria pojawiała się, gdy sfalsyfikowano poprzednią. Później jednak nie czekano na falsyfikację, a nowe teorie proponowano tylko dlatego, że poprzednie stawały się przestarzałe.

Trzeci zarzut dotyczy powszechnie przyjmowanej przez językoznawców tezy o konwencjonalnym charakterze języka naturalnego. Kognitywiści nie negują konwencjonalności języka, dostrzegają jednak chęć w każdym jego elemencie (nawet w elementach fonetycznych) symboliczność, a więc pewien związek z rzeczywistością, którą ten język opisuje. Jeżeli ten związek nie jest już dziś widoczny, to nie znaczy, że nie można go – zdaniem kognitywistów – odszukać, badając historię danego języka i odwołując się do badań genetycznych, prowadzonych wcześniej w ramach paradygmatu historyczno-porównawczego. W ten sposób dawniejsze badania stają się znów aktualne.

### Metafory w języku

Zdaniem kognitywistów dotychczasowe językoznawstwo w niewystarczającym stopniu zajmowało się metaforyką zawartą w języku codziennym. Człowiek bowiem nie tylko używa wyrażeń metaforycznych, ale też metafory przyczyniają się do postrzegania i konceptualizacji (ujmowania) świata przez człowieka. Pewne bowiem zbitki słowne (frazelogizmy i tzw. kolokacje), za pomocą których opisuje się jakiś fragment rzeczywistości, są przenoszone do opisu innych fragmentów. W opisie walki używa się połączeń typu: *pokonać kogoś, położyć kogoś na łopatki, zniszczyć kogoś, wytoczyć armaty, rozgorzała walka, walka na pięści*. W podobny sposób opisuje też człowiek spór słowny, używając zdań typu: *pokonałem kogoś na argumenty; moja argumentacja położyła go na łopatki; moje argumenty go zniszczyły; wytoczyć ciężkie argumenty; rozgorzał spór; walka na argumenty*. Można więc przyjąć, że Polacy interpretują spór za pomocą metafory SPÓR TO WALKA.

Na podobnej zasadzie odbywa się przeniesienie cech z konkretnych zajęć, takich jak budowanie, tkanie i przygotowywanie posiłków, na abstrakcyjny proces tworzenia tekstu językowego. Skoro bowiem mówi się: *zdanie zbudowane*

*jest z wyrazów; konstrukcja tekstu; tekst ma skomplikowaną architekturę; ktoś sklecił wypracowanie*, to zakłada się metaforę: TWORZENIE TEKSTU TO BUDOWANIE. Skoro mówi się o tekście: *strawa duchowa, świeżo wysmażony artykuł, pichć artykuł*, to zakłada się metaforę TWORZENIE TEKSTU TO PRZYGOTOWYWANIE POTRAWY. Gdy wreszcie mówi się: *autorowi urwał się wątek; ktoś snuje opowieść; coś stanowi ośnowę utworu; wątki się przeplatają*, to zakłada się metaforę TWORZENIE TEKSTU TO TKANIE.

Jest więc dla kognitywistów metafora narzędziem pozwalającym ująć w sposób konkretny pewne działania i treści abstrakcyjne. Dzięki metaforze lepiej rozumie to, czego do końca zrozumieć nie może, a więc uczucia, wartości, procesy psychiczne.

### **Teoria prototypów i zbiorów rozmytych**

Dotychczasowe językoznawstwo operowało kategoriami opisu, które opierały się na klasyfikacji. Zdaniem psychologów kognitywnych człowiek postrzega i kategoryzuje (uogólnia dostrzeżone elementy rzeczywistości, tworząc ich kategorię) nie na podstawie kategorii klasyfikacyjnych, ale kategorii typologicznych. Ustala więc wpieryw kategorię prototypową, a później włącza do tej kategorii dostrzegane elementy rzeczywistości. Pewnym elementom rzeczywistości jest bardzo blisko do prototypu, inne elementy tylko przez analogię wiążą się z prototypem. Zarówno te pierwsze elementy rzeczywistości, jak i te drugie kategoryzuje się identycznie, nie jest to jednak kategoryzacja przeprowadzona za pomocą klasyfikacji, ale typologii. Te drugie elementy mogą być jednocześnie reprezentantami innej kategorii, jeśli weźmie się akurat pod uwagę ich analogię z innymi prototypami.

Ponieważ język łączy się z poznaniem, nie mogą w językoznawstwie być stosowane kategorie klasyfikacyjne (pochodzące od Arystotelesa), ale muszą być używane do opisu wszystkich elementów języka kategorie prototypowe. Tak zaś skategoryzowane elementy języka układają się w zbiory o rozmytych brzegach (w zbiory rozmyte), gdyż dany element może być zaliczony zarówno do jednej, jak i do drugiej kategorii reprezentowanej przez prototyp, a więc zbiory reprezentantów dwóch kategorii mogą się zązębiać. Nawiasem mówiąc, powtarzane często we wczesnych pracach kognitywistów opinie, że ich podejście w tym zakresie zrywa z wielowiekową tradycją wywodzącą się od Arystotelesa, są mocno naciągane. Arystoteles zauważał bowiem, że przyjęcie kategorii wynikłych z podziału logicznego nie wystarcza do analizy wielu okazów. Wiele z nich do danej kategorii włączamy na mocy analogii. Właśnie teorii analogii poświęca się w tradycji wywodzącej się od Arystotelesa bardzo wiele uwagi.

Niewątpliwie jest prawdą, że po usłyszeniu zdania *O, zobacz, ryba!* pomyślimy, iż wypowiadający je, obserwując wodę, zauważył szczupaka, okonia,

plotkę, karpia, nie pomyślimy jednak, że zobaczył węgorza. Węgorz jest zatem „gorszym” przedstawicielem językowej kategorii *ryba* niż inne gatunki. Podobnie jest z reprezentantami językowej kategorii *ptak*. Pewne gatunki (orzeł, wróbel) znajdują się w centrum „ptakowości”, inne – (kura, pingwin, struś) na jej obrzeżach. Inne jeszcze gatunki (np. nietoperz) mogą należeć jednocześnie do językowej kategorii *ptak* i do językowej kategorii *zwierzę*.

Kategorie prototypowe nie tylko są jednak pomocne do opisu znaczenia języka, ale też – zdaniem kognitywistów – powinny mieć zastosowanie w gramatyce. Jeżeli uważnie przyjrzymy się zbiorowi polskich spójników współrzędnych, to okaże się, że najbliższym prototypu jest spójnik *i*, za pomocą którego można łączyć wiele jednorodnych elementów (zdania: *Janek idzie i Marysia idzie*, grupy: *na dobrej pracy i na milej zabawie*, rzeczowniki: *książka i zeszyt*, a nawet przymyki: *nad i pod stołem*). Należący do kategorii spójników współrzędnych wyraz *więc* ma bardzo ograniczone zastosowanie, łączy w zasadzie tylko zdania, czasem wyrażenia zdaniopodobne. Zadaniem językoznawstwa jest pokazanie zarówno najlepszych okazów danego typu, jak i tych gorszych. W dotychczasowych paradygmatach lingwistycznych większą uwagę zwracano na te pierwsze.

### Językowy obraz świata

Jak już powiedzieliśmy, kognitywizm nie jest paradygmatem jednorodnym. W jego ramach zmieścić można także polskie badania nad rekonstrukcją tzw. językowego obrazu świata, przez który rozumie się zawartą w języku interpretację rzeczywistości, dającą się ująć w formę uporządkowanego zbioru zdań o świecie. Językowy obraz świata rekonstruuje się (tak jak i metafory, które są zresztą jednym z narzędzi w czasie tej rekonstrukcji) na podstawie frazeologizmów i kolokacji spotykanych w tekstach tego języka. Wykorzystuje się też do tego celu zabarwienia wyrazów, czyli tzw. konotacje, na podstawie których można wartościować elementy językowego obrazu świata. Odróżnia się więc obraz świata od językowego obrazu świata.

Mimo istnienia dość obszernej literatury na temat samego pojęcia językowego obrazu świata nadal dla piszącego te słowa jest to twór dość zagadkowy. Zwykle rekonstruuje się go z tzw. stereotypów językowych, a więc frazeologizmów i kolokacji (powtarzających się zbitek wyrazowych). Używając frazeologizmów, przedstawia się np. obraz konia, kota, dębu, a nawet Kościoła katolickiego. Zapewne więc na podstawie frazeologizmów, powiedzonek i przysłów mówi się, że osioł jest uparty, pies wierny, kot fałszywy. Jest to bez wątpienia prawda. Pojawia się jednak natychmiast problem, w jaki sposób ująć te skrawki charakterystyk w jedną całościową wizję świata.

Bezpieczniej jest więc mówić, że językowy obraz świata to pewna utrwalona w języku pozostałość obrazu świata (nie językowego obrazu świata, ale właśnie obrazu świata) z dawniejszych epok, która dzisiaj nie wpływa na obraz świata albo wpływa w bardzo niewielkim stopniu. W przeciwnym bowiem razie spotkać można się z zarzutem, iż w zasadzie nie wiadomo, kto jest nosicielem językowego obrazu świata, skoro obraz świata jest niejednokrotnie sprzeczny ze zrekonstruowanym na podstawie połączeń językowym obrazem świata. Na podstawie połączeń: *słońce wstało*, *słońce skryło się za chmury*, *słońce się uśmiecha* możemy uznać, że w językowym obrazie świata słońce to istota ludzka albo przynajmniej ożywiona. Taki wszakże obraz jest sprzeczny z powszechnie dziś przyjmowanym pojmowaniem słońca jako centralnego ciała niebieskiego w naszym układzie planetarnym.

W takim jednak ujęciu trudno byłoby mówić o językowym obrazie wytworzonym na podstawie obecnie pojawiających się kolokacji. Nie można by więc rekonstruować ze współczesnych tekstów prasowych językowego obrazu Kościoła, partii politycznej czy innych współczesnych zjawisk. Nie byłby to obraz językowy, ale obraz, jaki nadawca tekstu chciałby za pomocą połączeń językowych narzucić odbiorcy, obraz intencjonalny – kreowany i wartościowany za pomocą odpowiednich środków językowych. W praktyce badawczej – jak się wydaje – oba obrazy, tj. dawniejszy obraz świata ukryty w stałych związkach frazeologicznych i dzisiejsze obrazy elementów rzeczywistości, łączą się w jeden językowy obraz świata.

## Wzajemne oddziaływanie paradygmatów

### Zmiany w paradygmacie poprzednim pod wpływem następnego

Referując pojęcie paradygmatu, powiedzieliśmy, że pojawienie się nowego paradygmatu wcale nie znaczy, że poprzedni przestaje istnieć. W wypadku językoznawstwa pojawienie się trzech kolejnych paradygmatów nie spowodowało, że językoznawcy zarzucili badania w ramach paradygmatu historyczno-porównawczego.

Wspomnieliśmy również, że pod wpływem nowego paradygmatu poprzedni może ulec zmianom. Możliwe jest też – oczywiście – że po dyskusji z obrońcami poprzedniego paradygmatu następny zmieni swoją pierwotną, zazwyczaj skrajną wersję. Ten wpływ jest wszakże trudny do uchwycenia, bo zwykle zwolennicy nowego paradygmatu nie przyznają się, że ich poglądy ulegają ewolucji pod wpływem argumentów poprzedników. W podrozdziale tym postaramy się krótko przedstawić, jaki wpływ na zwolenników poprzednich paradygmatów miały idee tkwiące u podstaw nowych paradygmatów.



Najbardziej uchwytny jest wpływ, jaki na paradygmat historyczno-porównawczy miał paradygmat strukturalistyczny. Jak pamiętamy, w paradygmacie historyczno-porównawczym elementy języka nie były powiązane w system. Formułowano więc zdania o rozwoju poszczególnych głosek, form, konstrukcji, nie łącząc w zasadzie tych faktów ze sobą. Pod wpływem podstawowej hipotezy strukturalistycznej, która głosi, że język jest systemem, w paradygmacie historyczno-porównawczym inaczej zaczęto pojmować diachronię języka.

Na historycznojęzykowe prace Ireny Bajerowej czy Mariana Kucały wpływ wywarł paradygmat weryfikacjonistyczny. Badacze ci stawiają ogólne hipotezy dotyczące tendencji w rozwoju fragmentów systemu językowego, a następnie pokazują fakty potwierdzające te hipotezy.

Kluczem do hipotez dotyczących rozwoju jest synchroniczny opis polszczyzny XV wieku. Ten opis jest kontrastowany z dwoma opisami – z opisem synchronicznym stanu prasłowiańskiego i z opisem stanu obecnego. Można zatem powiedzieć, że historycy języka dokonują dwóch analiz kontrastywnych: prasłowiańszczyzna vs XV wiek i współczesna polszczyzna vs XV wiek. Następnie rysują linie rozwojowe.

Pod wpływem paradygmatu generatywnego zmienił się także paradygmat strukturalistyczny, w ramach którego zaczęto w pewnym momencie obok procedur potwierdzających hipotezy stosować także procedury falsyfikujące. Testy falsyfikujące, tj. nieakceptowalne ciągi z gwiazdką, na podstawie których odrzuca się pewne hipotezy, pojawiają się najczęściej w strukturalistycznych opisach składniowych i semantycznych.

Pod wpływem paradygmatu kognitywistycznego zmienia się też generatywizm. Do opisów generatywnych języka dołączane są opisy samych opisów, czyli metaopisy. Dzięki nim formułowane są informacje o naturze reguł gramatycznych i poszczególnych kategorii. Można więc eksplicytnie wykazać w ramach formalnego modelu języka, które kategorie zbliżają się do innych kategorii. Metaopisy więc są w stanie określić, że pomiędzy poszczególnymi kategoriami nie istnieją ostre granice. Choć więc na poziomie opisów nie stosuje się w generatywizmie kategorii pośrednich, lecz wyłącznie klasyfikacyjne, to dzięki metaopisom wyraźnie widać, że jedne kategorie zbliżają się do innych. Na podstawie pełnego opisu języka (opisu i metaopisu) wskazać można kategorie pośrednie i prototypy. Tym samym generatywizm stosować się może do jednego z głównych postulatów kognitywizmu.

### **Odkrywanie poprzednich paradygmatów**

Często w nauce zdarza się, że nowy paradygmat wprowadzie odcina się wyraźnie od poprzedniego, ale nawiązuje jednocześnie do paradygmatu jeszcze wcześniejszego. Jeżeli ten paradygmat, do którego nawiązuje najnowszy,

współistnieje w dalszym ciągu w nauce, to dzięki najnowszemu paradygmato-  
wi nieoczekiwanie zyskuje na znaczeniu. Z paradygmatu epigońskiego prze-  
kształca się nagle w paradygmat bardzo aktualny.

Sytuację opisaną w powyższym akapicie mamy sposobność śledzić na bie-  
żąco. Oto bowiem paradygmat kognitywistyczny wyraźnie nawiązuje do treści  
głoszonych przez paradygmat historyczno-porównawczy – dodajmy przy tym,  
że chodzi tu o takie nawet treści, które pod wpływem strukturalizmu zostały  
w paradygmacie historyczno-porównawczym świadomie zaniechane.

Pod wpływem strukturalizmu w pracach historyczno-porównawczych za-  
częto w pewnym momencie wyraźnie oddzielać synchronię od diachronii. Ję-  
zykoznawstwo kognitywne nie widzi głębszego sensu takiego podziału. Pro-  
ponuje przy tym badania achroniczne, a więc takie podejście, w którym przy  
analizowaniu zjawisk językowych nie można oddzielić procesu od stanu.

Także pod wpływem strukturalizmu językoznawstwo historyczno-porów-  
nawcze zerwało z tzw. symbolizmem, który zakładał (w skrajnej wersji), że  
wszystkie języki świata pochodzą od jednego języka przodka. Ten z kolei język  
powstał dzięki przetworzeniu dźwięków, które wydawał człowiek w codzien-  
nych sytuacjach życiowych, a więc z wykrzyknień i mlasków. Na to nakłada-  
ły się onomatopeje, a więc przetworzone przez człowieka dźwięki spotykane  
w naturze. Z tych wszystkich dźwięków powstała baza artykulacyjna, którą naj-  
wyraźniej możemy obserwować u ludów pierwotnych (np. Buszmenów). Baza  
ta na przestrzeni lat uległa przeobrażeniom, ślady jej jednak znaleźć można we  
wszystkich językach świata. Dźwięki języka mają więc też charakter symbo-  
liczny. Ostatnim językoznawcą polskim, który głosił takie poglądy, był zmar-  
ły w 1995 w wieku stu lat Roman Stopa. Był on jednak od wielu lat jedynym  
językoznawcą wiernym ideom, z którymi zetknął się w młodości.

W ramach paradygmatu kognitywistycznego znów głosi się, iż język we  
wszystkich warstwach ma charakter symboliczny, a więc także w warstwie  
brzmieniowej. Kognitywizm powraca więc chętnie do prac rekonstruujących  
bazę artykulacyjną na podstawie języków ludów prymitywnych. Ze względu  
na skrajny niekiedy charakter też w nich zawartych nie uważa się przy tym, że  
są znów aktualne, niemniej jednak postrzega je jako bardzo interesujące, bo  
bez wątpienia „coś w nich jest”. Nawiasem mówiąc, powiedzenie *coś w tym  
jest* staje się w niektórych odłamach postmodernizmu naczelnym kryterium  
potwierdzającym jakąś hipotezę.



## Część druga

# Przyczyny dezintegracji systemu lingwistycznego i próba nowej syntezy

Mój stosunkowo wyrazisty i w miarę zintegrowany obraz językoznawstwa, przedstawiony w pierwszej części książki, w nowym tysiącleciu zaczyna ulegać zamazaniu i dezintegracji. W tej części przedstawianej pracy staram się ukazać zarówno przyczyny tego procesu zamazywania i dezintegracji, jak i próby szukania nowych rozwiązań oraz ich uzasadnienia w metodologii językoznawstwa, a także – a może przede wszystkim – ich filozoficznego umocowania.

Z góry uprzedzam czytelnika, że dezintegracja, której ulega mój system przekonań lingwistycznych, nie ma charakteru destrukcyjnego. Myślę, że śmiało mogę ją określić przydawką *pozytywna*.



# Odmiennie o współistnieniu paradygmatów w dzisiejszym językoznawstwie

Poprzednią część książki kończyły informacje o relacjach pomiędzy równoległe istniejącymi w życiu naukowym paradygmatami. W dłuższej perspektywie czasowej można – oczywiście – zaobserwować zmiany zachodzące w dotychczasowych paradygmatach pod wpływem nowego paradygmatu, prawdą jest też to, że twórcy nowego paradygmatu odkrywają często wartościowe rozwiązania w paradygmatach epigońskich. Jeżeli jednak spojrzymy na współistnienie paradygmatów nie diachronicznie, ale spróbujemy przyjrzeć się dyskusji prowadzonej pomiędzy przedstawicielami odmiennych paradygmatów, obraz przedstawiony pod koniec pierwszej części tej książki może zatracić swój optymistyczny charakter.

Na pogorszenie nastroju może wpłynąć także to, że cztery paradygmaty, które przedstawiłem poprzednio, są szufladami, do których pewne okazy upycha się na siłę. W dzisiejszym językoznawstwie pojawiają się bowiem coraz to nowe grupki badaczy, którym przypisanie etykiety jest zadaniem niezwykle trudnym. W rozdziale tym zajmiemy się problemami, które się pojawiają w czasie komunikacji pomiędzy przedstawicielami różnych grup i grupek lingwistycznych. Zastanawiać się też będziemy, czy taka komunikacja jest w ogóle możliwa. Do nowych sposobów uprawiania językoznawstwa będziemy natomiast wracać w następnych partiach tej części książki.

Na początku nowego tysiąclecia Komitet Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk patronował dyskusji na temat stanu i perspektyw językoznawstwa w naszym kraju. Jej efektem jest książka *Językoznawstwo w Polsce. Stan i perspektywy* (Gajda (red.), 2003). Dodać też warto, że debata ta zatacza coraz

szersze kręgi. W 2004 roku organizowanie cyklicznych konferencji metodologicznych filozoficzno-lingwistycznych rozpoczął w Łodzi Piotr Stalmaszczyk (por. Stalmaszczyk (red.), 2006). Treści przedstawiane w tym rozdziale przewijają się w moim myśleniu o językoznawstwie już ponad dziesięć lat – rozpoczęło się od odczytu wygłoszonego na posiedzeniu Komisji Teorii Języka Komitetu Językoznawstwa PAN w Warszawie (4 X 2004).

W rozdziale tym wprowadzam komunikologiczne uzasadnienie pewnego postulatu, którego zasadności starałem się dowieść, wygłaszając odczyt. Niektórzy słuchacze uznali bowiem, iż postulat ten ma charakter życzeniowy, a w dodatku moje życzenie brzmi dość naiwnie.

Każdy postulat ma charakter życzeniowy. Miałem tego świadomość, zanim rozpocząłem jego propagowanie. Ważne jest jednak, by adresaci nie odczuwali jedynie jego życzeniowego charakteru, lecz uznali, iż może się on przyczynić do polepszenia sytuacji. W rozdziale tym zamierzam zatem uzasadnić za pomocą kategorii zaczerpniętych z teorii dyskursu potrzebę wyznaczenia w naszym środowisku pewnych standardów polemiki. Na podstawie kilku przykładów staram się unaocznić, że aprioryczne odrzucanie owego postulatu nie jest celowe. Istnieją bowiem ważne przesłanki potwierdzające tezę, zgodnie z którą propozycje lingwistów stosujących się do tego postulatu są o wiele bardziej owocne od tych ustaleń, którym postulat ten jest obcy. Rozpocznijmy wszakże te rozważania od krótkiego przedstawienia nowej w moim systemie lingwistycznym siatki pojęciowej zaczerpniętej z dyskursologii.

W opublikowanym kilka lat temu artykule odwołuję się do literatury przedmiotu, dzięki której zbudowałem sobie ową siatkę pojęciową. W książce tej przyjąłem, że odwoływanie się do prac innych badaczy ograniczam do niezbędnego minimum. Jest to powodowane przede wszystkim przejrzystością wywodu. Podstawowymi pojęciami w tej nowej siatce są obok dotychczas tam istniejących takie byty jak wspólnota fatyczna (komunikacyjna), semioza, kompetencja komunikacyjna, sytuacja komunikacyjna, intertekstualność i właśnie dyskurs.

Jeszcze do niedawna językoznawcy wystarczało odróżnienie abstrakcyjnego systemu językowego od konkretnego, momentalnego tekstu. Systemem zajmowała się syntaktyka i semantyka, tekstem stylistyka, która pojmowała styl jako jakość strukturalną tekstu wynikłą z wyboru jednostek z abstrakcyjnego systemu. Pragmatyka była wtedy bytem jedynie nominalnym, by znowu nie rzec modnie – niejawnym.

Z chwilą pojawienia się pierwszych prac z zakresu pragmatyki stało się jasne, że musi istnieć jakiś „pośrednik” pomiędzy syntaktyką i semantyką języka a tekstem. Dla niektórych badaczy rolę pośrednika z powodzeniem może spełniać retoryka – jej konkretne reguły zastosowane w danym momencie powodują, że tekst uzyskuje taką, a nie inną jakość strukturalną. Stąd zapewne wynika dzisiejszy renesans tej dyscypliny.

Inni wszakże badacze używania języka chcą, by funkcję pośrednika pomiędzy systemem językowym a tekstem pełnił dyskurs. Błędny byłby jednak wniosek, że pojęcia *retoryka* i *dyskurs* są synonimiczne. Znow pozwolę sobie przywołać (spożytkowaną już wcześniej w tej książce) metaforę budowlaną. Otóż system językowy można porównać do składu materiałów budowlanych, tekst zaś – do budowli wykonanej z części materiałów tam zakupionych. Retoryka pełniłaby podobną funkcję jak podręcznik budownictwa, informowałaby, jakich materiałów należy użyć do projektowanej budowli, a wcześniej pomogłaby też w jej zaprojektowaniu.

Zdaję sobie sprawę, że dla znawców retoryki analogia budowlana bardzo upraszcza jej faktyczny obraz. Gdybym jednak zechciał zastosować tę analogię do przybliżenia znaczenia pojęcia *dyskurs*, naraziłbym się na jeszcze bardziej dosadne zarzuty. Wynikałyby one przede wszystkim z faktu, iż pojęcie to jest wieloznaczne, a odległość pomiędzy poszczególnymi znaczeniami jest dość spora. Drugiej przyczyny można by doszukiwać w samej istocie obu pojęć, o ile bowiem retoryka składa się ze skodyfikowanych norm tworzenia tekstów opracowanych stylistycznie, o tyle dyskurs jest przez wielu badaczy uważany za twór intuicyjny, ale przy tym konieczny do tego, aby został utworzony jakikolwiek tekst; więcej – niezbędny on jest również podczas odbioru każdego tekstu.

Aby w pełni uświadomić sobie tę różnicę, powinniśmy wrócić do istoty systemu językowego. Powiedzieliśmy wcześniej, że system językowy to byt abstrakcyjny. Użytkownikiem tego abstrakcyjnego systemu jest jednak każdy, kto potrafi tworzyć i rozumieć teksty należące do danego języka. Dodać też trzeba, że wielu ludzi mówiących np. po polsku nie ma eksplicytnej (wyraźnej) wiedzy na temat polskiego systemu, ich wiedza jest jedynie implicytna (jasna). Dyskurs jest też tego typu wiedzą, każdy człowiek tworzący i odbierający teksty dysponuje implicytną wiedzą, jakie elementy z systemu należy wybrać, by dany tekst utworzyć i jak napotkany tekst interpretować; wiedzy tej nie musi sobie uświadamiać. Powiemy zatem, że po to, by tworzyć i odbierać teksty, należy przynajmniej w sposób implicytny znać system językowy i też w sposób implicytny znać dyskurs, który podpowiada, jakie elementy z systemu należy w danej sytuacji komunikacyjnej wybrać, by zbudować tekst do tej sytuacji pasujący.

Zadaniem syntaktyki i semantyki językoznawczej jest zbudowanie eksplicytnej wiedzy o systemie językowym, zadaniem zaś pragmatyki językoznawczej – zbudowanie eksplicytnej wiedzy o dyskursie. Zakłada się równocześnie, że ta skodyfikowana wiedza o dyskursie powinna być wiedzą o wiele bardziej rozległą niż wiedza, której dostarcza nam retoryka. Dyskurs podpowiada nam bowiem nie tylko to, jak mówić, ale przede wszystkim to, co mówić. Innymi słowy, żeby pewien sąd logiczny przedostał się do tekstu, musi on zostać

zaakceptowany przez dyskurs. Z punktu widzenia odbiorcy dyskurs wartościuje napotykanne teksty zarówno formalnie, jak i znaczeniowo. Niektóre teksty uznaje za wytwory dyskursu bliskiego lub identycznego, niektóre natomiast za wytwory dyskursu odmiennego, a czasem obcego.

Niezależnie od tego, jakiego rodzaju wiedza powinna wchodzić w skład dyskursu, dyskutuje się również, jaką strukturę wewnętrzną powinien mieć dyskurs. Rozważania te będą zawsze miały charakter spekulatywny, bo przecież abstrakcyjny dyskurs nie jest dostępny obserwacji. Skoro jednak człowiek w różnych sytuacjach komunikacyjnych tworzy i odbiera różnego rodzaju teksty, można podejrzewać, że struktura wewnętrzna dyskursu powinna być dość skomplikowana.

Dyskurs, w który wyposażony jest konkretny człowiek, powinien więc być tworem hierarchicznym, składać się z mechanizmu zarządzającego poddyskursami szczegółowymi (nazywanymi najczęściej również dyskursami), z poddyskursów szczegółowych, ale też z bytu, który bądź przyłącza nowe poddyskursy, bądź aktualizuje już istniejące. W dyskursie powinny mieścić się też informacje o innych poddyskursach, które się w danej wspólnocie spotyka, ale które są temu akurat przedstawicielowi wspólnoty obce.

Jeśli przyjrzymy się większej grupie osób, zauważymy z pewnością, że ich dyskursy indywidualne różnią się między sobą, przy czym różnice mogą czasem być nieznaczne, czasem jednak spore. Różnice mogą polegać na tym, że w jednym indywidualnym dyskursie jest więcej poddyskursów szczegółowych niż w innym. Może też być tak, że w dyskursie A o pewnych poddyskursach szczegółowych są zamieszczane jedynie informacje, ale system zarządzający dyskursem z poddyskursów tych nie pozwala korzystać w czasie tworzenia tekstów. Odwrotnie może być w drugim porównywanym dyskursie, tj. dyskursie B: poddyskursy, o których mowa w poprzednim zdaniu, są w dyskursie tym poddyskursami czynnymi, natomiast pewne poddyskursy, które są czynne w dyskursie A, w dyskursie B pozostają bierne. Niezmiernie rzadko zdarzają się jednak dyskursy komplementarne, tzn. nieczęsta jest sytuacja, kiedy wszystkie poddyskursy czynne A są w dyskursie B bierne, a wszystkie czynne w B są bierne w A. Najczęściej istnieje jakiś poddyskurs wspólny; osoby A i B mogą np. bardzo sprawnie prowadzić dialog o pogodzie czy o sporcie.

Dyskurs wraz z systemem językowym współtworzą kompetencję komunikacyjną człowieka; ludzie posiadający podobną kompetencję komunikacyjną stanowią wspólnotę fatyczną. Trwałość wspólnoty fatycznej zależy oczywiście od tego, jakie są relacje pomiędzy dyskursami poszczególnych jej przedstawicieli. Jeżeli wszystkie dyskursy danej grupy ludzi byłyby komplementarne, wówczas grupa ta szybko by się rozpadła, jeśli natomiast komplementarnych dyskursów jest stosunkowo niewiele, grupa jest trwałą wspólnotą fatyczną.

Można zatem powiedzieć, że to właśnie podobieństwo dyskursów cementuje wspólnotę fatyczną.

Gdyby więc teraz przyszło wskazać na pewne analogie, to niejeden czytelnik bez trudu uznałby, że mechanizm zarządzający poddyskursami przypomina komputerowy system operacyjny, w którym działają poszczególne programy, a zatem poddyskursy. Komputery mogą być połączone w sieć, która jest bytem analogicznym do wspólnoty fatycznej.

Po tym skrótowym omówieniu kilku elementów nowej siatki pojęciowej rozważyć powinienem, jak badacz pragmatyki może rekonstruować dyskurs. Ma on oczywiście do dyspozycji powyższej zarysowaną (lub do niej zbliżoną) siatkę pojęć, którą można traktować jako podstawowe narzędzie badawcze, oraz własną kompetencję komunikacyjną. Takie wszakże wyposażenie nie może mu wystarczyć już choćby z tego powodu, iż jego dyskurs (w przeciwieństwie do systemu językowego) różni się znacznie od dyskursów innych członków analizowanej wspólnoty fatycznej. Podstawą rekonstrukcji muszą więc być teksty. Na podstawie ich rozbioru syntaktycznego i semantycznego badacz dochodzi do wiedzy wyraźnej o poddyskursach, których są one owocem. Poddyskursy te nazywa przy tym często dyskursami, dodając jednocześnie mniej lub bardziej charakteryzujące je przydawki. Mówi się przeto o dyskursie patriotycznym, medialnym czy – tak jak w tytule tego rozdziału – o dyskursie językoznawczym.

Przejdźmy zatem do współczesnego dyskursu lingwistycznego. Przedtem jednak należy wyraźnie dopowiedzieć, że o wiele łatwiej jest dojść do wiedzy wyraźnej o dyskursie, który mechanizm zarządzający uznaje za własny, tu bowiem można skonfrontować rozbiór tekstów z własną kompetencją komunikacyjną. Trudniej natomiast sformułować zbiór sądów eksplicytnych na temat dyskursu, o którym własna kompetencja komunikacyjna badacza jedynie pobieżnie informuje. Od razu należy więc podkreślić, że dziś nie można mówić o jednym spójnym dyskursie językoznawczym. Taki pluralizm byłby zapewne cechą pozytywną, gdyby istniała jakaś platforma jednocząca poszczególne dyskursy lub dało się choćby zbudować zasadniczy zrąb poglądów wspólnych. Tak, niestety, nie jest.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat językoznawstwo w Polsce uległo ogromnym przeobrażeniom. Po części wynikają one z przeobrażania się naszego kraju, tej jednak kwestii nie zamierzam poruszać w przedstawianym rozdziale. Nie dlatego, bym uważał problem za mało istotny, ale głównie ze względu na to, iż powinien się nim zająć profesjonalista obserwujący wpływy społeczne na życie naukowe. Dla językoznawcy natomiast czy dla badacza, któremu nieobca jest także metalingwistyka, o wiele bardziej intrygujące jest pytanie, czy obecna wielość paradygmatów lingwistycznych jest korzystna dla naszej dyscypliny, czy może raczej ma wpływ destrukcyjny.

Wielość paradygmatów w polskim językoznawstwie jest w moim przekonaniu zjawiskiem nowym. Podobnego zdania jest także Stanisław Gajda (1998), który w swoim artykule stara się również postawić lingwistom szereg pytań i uzmysłowić podstawowe problemy, do których powinni się oni ustosunkować. Istnienie wielu zróżnicowanych szkół i przedsięwzięć językoznawczych odnotował także Andrzej M. Lewicki (1993), który analizował lingwistykę końca lat osiemdziesiątych (w perspektywie historycznej). Przypuszczać jednak można, że od tego czasu drogi poszczególnych grup znacznie się rozeszły – pisze o tym obrazowo Dorota Szumska (2007). Używając metafory, która – zdaniem niektórych językoznawców – przybliżyła nam ogląd abstrakcji przez to, że traktuje ją na sposób konkretny, powiedzieć by można, że pod koniec lat osiemdziesiątych poszczególne grupy lingwistów zeszły z jednej (szerokiej, ale wspólnej) drogi i weszły każda na swoją ścieżkę. O ile jednak jeszcze niedawno dystans pomiędzy nimi był niewielki, tak że każda grupka mogła słyszeć rozmowy prowadzone w innych grupach, a nawet od czasu do czasu dorzucić z daleka jakiś komentarz, o tyle teraz jest on tak duży, że nawet ewentualne nawoływania którejs z grup ledwie mogłyby dotrzeć do pozostałych wędrowców.

Metafora ta, jak zresztą każda, nie oddaje dokładnie istoty abstrakcji. Można przecież powiedzieć, że przedstawiciele różnych paradygmatów pracują często w tym samym instytucie, na wydziale czy w mieście, a więc prywatnie muszą się ze sobą spotykać i rozmawiać – także o językoznawstwie. Te ich kontakty przyczyniają się niewątpliwie do tego, iż w wyznawanych przez nich paradygmatach pojawiają się ślady idei zawartych w innych. Przeszkadza im jednak coś, co Popper w swojej ostatniej wydanej za życia książce określa mianem mitu schematu pojęciowego (por. Popper, 1994, s. 43).

Schemat pojęciowy jest wytworem metanauki dwudziestowiecznej. Swoje powstanie zawdzięcza w dużej mierze właśnie Popperowi i Alfredowi Tarskiemu. Można go w zasadzie używać wymiennie z używanym wcześniej w tej książce określeniem *paradygmat*, utworzonym przez Kuhna (1962), choć paradygmat akcentuje bardziej uwarunkowania społeczne uprawiania nauki, a schemat pojęciowy ma motywacje bardziej metodologiczne. Z punktu widzenia tego tekstu owe różnice w obu określeniach nie są jednak aż tak istotne. Tak czy inaczej, u podstaw tych pojęć leży krytyka nauki jako wiedzy pewnej przeprowadzona przez Poppera (1934), a krytyka ta była zapewne inspirowana przez znany artykuł Tarskiego o pojmowaniu prawdy (por. Tarski, 1944; także w jego wydanych po polsku pracach: *Pisma logiczno-filozoficzne*, t. I: *Prawda*, Warszawa: PWN, 1995).

Jak wiadomo, Tarski dowodzi tezy, że nie ma i być nie może uniwersalnego kryterium prawdy (do rozważań na ten temat wrócimy pod koniec tej części książki), Popper zaś – że nauka nie formułuje sądów pewnych, ale jedynie prawdopodobne. Aczkolwiek obaj autorzy nie są rzecznikami relatywizmu, obie



tezy przyczyniły się zapewne w znacznym stopniu do powstania i ugruntowania w świadomości wielu ludzi nauki określenia *schemat pojęciowy*.

Za schemat pojęciowy uznaje się wspólny dla jakiejś grupy badaczy system pojęć pierwotnych i zasady dochodzenia do pojęć bardziej złożonych. Przyjmuje się przy tym, że teoretycznie w danej dziedzinie wiedzy schematów takich może być wiele, w praktyce zaś jest ich kilka. Konsekwencją istnienia kilku schematów pojęciowych jest przekonanie, iż racjonalna i owocna dyskusja naukowa jest możliwa tylko w ramach jednego schematu pojęciowego. Jeśli natomiast uczestnicy dyskusji nie podzielają systemu pierwotnych pojęć i sposobów dochodzenia do pojęć złożonych, dyskusja owocna i racjonalna nie może stać się ich udziałem. Metaforycznie mówi się o takiej grupie dyskutantów, iż nie mają oni wspólnego języka. Pogląd ten jest obecnie na tyle powszechny, że odnosi się też do dyskusji publicznych innych niż naukowe, np. do debat politycznych. Można by też powiedzieć, że schemat pojęciowy implikuje pojawienie się wielu niewielkich, ale oddalonych od siebie poddyskursów – oczywiście także poddyskursów językoznawczych.

Wydaje mi się przy tym, że tzw. postmodernistyczny paradygmat wiedzy, zgadzając się z powyższą diagnozą dotyczącą istnienia w dotychczasowej nauce schematów pojęciowych i braku możliwości wyjścia poza schemat, szuka od niego ucieczki. Proponuje on bowiem zawierzenie intuicji, eklektyzm czy – w skrajnych wypadkach – także używanie jeszcze mniej dla racjonalisty akceptowanych środków, np. magii.

Okazuje się wszakże, że krytyka poglądu, który głosi, iż owocna i racjonalna dyskusja jest możliwa tylko w ramach założonego schematu pojęciowego, może też być dziełem racjonalisty. Paradoksalnie krytykę taką przeprowadził sam Popper (1994), który dla wielu wyznawców powyższej tezy jest w zasadzie jej bardzo wpływowym współautorem. Właśnie pogląd, zgodnie z którym racjonalna i owocna dyskusja jest możliwa tylko po zaakceptowaniu przez uczestników wspólnego schematu pojęciowego, nazywa Popper dosadnie **mitem schematu pojęciowego**, a następnie przeprowadza jego krytykę.

Przede wszystkim przeciwstawia przydawce *owocna* przydawkę *łatwa*. Jeśli bowiem dyskusja będzie się toczyła tylko w ramach tego samego schematu pojęciowego, będzie to dyskusja łatwa i elegancka. Innymi słowy: badacz pozostający pod wpływem tego samego schematu pojęciowego, który wyznaje jego dyskusyjny partner, może otrzymać od partnera dyskusji całkowitą akceptację swoich idei, może też partner postawić badaczowi pewne zarzuty. Zawsze będą to jednak zarzuty dotyczące sposobu wnioskowania i dochodzenia do innych sądów. W zasadzie więc ewentualne zarzuty określić można zaczerpniętymi z księgowości przydawkami *formalny* i *rachunkowy*, nie można zaś uznać tych zarzutów za merytoryczne. Nie trzeba przy tym dodawać, że w nauce powinno raczej chodzić o krytykę merytoryczną, podczas gdy mit schematu

pojęciowego zawęży pole krytyki do stawiania zarzutów formalnych i rachunkowych. Powoduje on zatem, że dyskusja naukowa staje się łatwa i przyjemna, ale na pewno nie jest owocna, bo nie wpływa na zmianę najważniejszych przekonań uczestników debaty.

Za owocną można – zdaniem Poppera – uznać dopiero dyskusję pomiędzy przedstawicielami różnych schematów pojęciowych. Jest ona bez wątpienia dyskusją trudną, ale nie niemożliwą. Z podobną zresztą trudnością spotykamy się, ucząc się języka obcego. Myśl krytyczna może wszakże zakwestionować i przekroczyć schemat pojęciowy, a tym samym przyczynić się do znacznego przełomu w nauce. W całej książce Popper przedstawia zresztą liczne przykłady przekraczania obowiązujących schematów pojęciowych. Najbardziej przekonujące są chyba przykłady Kopernika i Einsteina – ich poglądy krystalizowały się pod wpływem obowiązujących schematów pojęciowych, z którymi następnie podjęli oni zasadniczą dyskusję.

Muszę przyznać, że krytyka mitu schematu pojęciowego wpłynęła w znacznym stopniu na sposób postrzegania przeze mnie językoznawstwa i kształtu debat lingwistycznych. Przed zapoznaniem się z tą krytyką sam bywałem przez dłuższe okresy swej pracy badawczej niewolnikiem mitu schematu pojęciowego. Gdy nawet próbowałem dyskutować ze zwolennikami innego paradygmatu, moja krytyka w dużej mierze polegała na tym, że konstruowałem pewien system pojęciowy, orzekając, iż jest to ten właśnie system, który wyznają badacze przeze mnie krytykowani, po czym z łatwością wyszukiwałem błędy w skonstruowanym przez siebie systemie, przypisując – oczywiście – te błędy badaczom akurat krytykowanym. System przeze mnie konstruowany bazował przy tym najczęściej na wyznawanym przeze mnie systemie pojęciowym. Uchwycił to bardzo dobrze Stanisław Karolak, polemizując z moją krytyką składni jego autorstwa (por. Karolak, 1987), uchwycił to również Tomasz Krzeszowski (1997), który odpowiedział na moje zarzuty kierowane pod adresem kognitywizmu (por. Bobrowski, 1995).

Zresztą moja pierwsza reakcja na polemikę Krzeszowskiego też była jeszcze wyraźniejszym przyznaniem się do tego, iż jestem niewolnikiem schematu pojęciowego. Zaniechałem bowiem odpowiedzi właśnie z powodu tego, że byłem przeświadczony, iż dyskusja z innym schematem pojęciowym do niczego nie doprowadzi. Jeśli chwilami myślałem nad ewentualną odpowiedzią, to myśli moje krążyły raczej wokół ewentualnych dosadnych sformułowań niż wokół kwestii merytorycznych. Kilka lat temu pewnie bym taką odpowiedź, która mogłaby wykazać wirtualnemu odbiorcy, jak trafnie umiem ripostować, ułożył, tak jak ułożyłem odpowiedź Karolakowi (por. Bobrowski, 1987), na jego uwagi (por. Karolak, 1987) do mojej recenzji (por. Bobrowski, 1985) składniowego tomu *Gramatyki współczesnego języka polskiego* (Topolińska (red.), 1984).

Te osobiste wynurzenia służą jednak jednemu określönemu celowi. Chciałbym mianowicie ukazać na przykładach, że mit schematu pojęciowego ciąży

nad całym naszym językoznawstwem. Przejawem tego jest, z jednej strony, milczenie publiczne w kwestiach, o których warto się wypowiadać z pozycji różnych paradygmatów, i pozorne niedostrzeganie przy tym tych zarzutów, które czasami jednak są formułowane. Z drugiej zaś – przejawem tego mitu jest redukcjonistyczne konstruowanie krytykowanego schematu pojęciowego i przypisywanie jego autorstwa badaczom krytykowanym. Oba te przejawy mają konsekwencje bardzo niebezpieczne dla rozwoju naszej dyscypliny, bo powodują, że życie naukowe staje się bezbarwne. Nie rozwija się też refleksja metalingwistyczna (por. Żmigrodzki, 1998), bo w istocie nie jest ona dla wyznawców mitu schematu pojęciowego ważna. Kwestie powyższe są przedmiotem następujących partii tego rozdziału.

Pierwszym, najbardziej rzucającym się w oczy przejawem mitu schematu pojęciowego jest to, iż bardzo rzadko spotykamy w naszej literaturze językoznawczej polemiki, dyskusje i recenzje dotyczące generalistów. Najczęściej czyta się właśnie recenzje i omówienia, które pisane są z punktu widzenia badacza poruszającego się w tym samym schemacie pojęciowym, w którego ramach powstała recenzowana praca. Nie można zatem się dziwić, że jeśli w recenzji są jakieś zastrzeżenia, to dotyczą one wyłącznie kwestii formalnych i rachunkowych. Recenzji merytorycznych jest natomiast bardzo mało. W taki sam zresztą sposób dobierani są recenzenci w przewodach doktorskich, habilitacyjnych czy profesorskich. Zazwyczaj reprezentują oni ten sam schemat pojęciowy, a więc w ich opiniach nie znajdziemy wielu ważkich polemik. Ani więc publiczne obrony prac doktorskich, ani kolokwia habilitacyjne nie są okazją do rzeczywistej wymiany poglądów. Konferencje i odczyty też nie są wystarczającym forum dyskusyjnym, gdyż uczestnikami tego typu spotkań są najczęściej badacze z tego samego schematu pojęciowego.

Mit schematu pojęciowego jest też zapewne przyczyną tego, iż publikowane są w pismach redagowanych przez przedstawicieli jednych schematów pojęciowych artykuły rzekomo usytuowane w innym paradygmacie. Gdyby artykuły takie faktycznie wносиły coś nowego do tego paradygmatu, który jest obcy redaktorowi, należałoby jego działanie ocenić zdecydowanie pozytywnie. Świadczyłoby ono o otwartości redaktora i o tym, iż nie ulega on mitowi schematu pojęciowego. Często jednak zdarza się tak, iż redaktor, nie mając wystarczającej orientacji w konkurencyjnym paradygmacie, nie jest w stanie wnikać w istotę otrzymanego tekstu. Zamiast zapytać o opinię badacza, który taką orientację ma, z różnych przyczyn sam decyduje o publikacji materiału. Tymczasem nierzadko opublikowany artykuł tylko pozornie nawiązuje do schematu pojęciowego, który zapewnił mu publikację. W bardzo poważnych pismach ogólnopolskich czytałem artykuły, które tylko były stylizowane np. na dzieła powstałe w ramach schematu pojęciowego semantyki eksplikacyjnej, nie stosowały się natomiast do podstawowego założenia tego kierunku, który znaczenie wyrażań złożonych chce

wyjaśniać za pomocą jednostek znaczeniowo prostszych. Ja sam, jako badacz mający pewne doświadczenia edytorskie, także mam na sumieniu tego rodzaju niefrasobliwości.

Mit schematu pojęciowego powoduje też, iż badacze nie interesują się krytyką swoich podstawowych założeń przeprowadzoną z punktu widzenia przedstawicieli innych paradygmatów. Choć krytyka taka nie jest zjawiskiem częstym, to przecież istnieje. Tym bardziej powinna zostać dostrzeżona. Do wspomianej tu wielokrotnie książki JR dołączyłem dodatek zatytułowany *Czy możliwa jest racjonalna kultura języka?*. Wychodząc z założenia, iż sądy językoznawcze nie dotyczą języka pojmowanego jako abstrakcyjny system, ale jedynie przyjętego modelu systemu językowego, a także z założenia, iż językoznawstwo nie dysponuje wyjaśnianiem nomotetycznym, przeto uznanie jakiegoś modelu za najlepszy z możliwych jest nieosiągalne, kwestionuję m.in. zasadność tzw. wewnętrznojęzykowych kryteriów poprawności środków językowych. W swojej wszakże książce dotyczącej sposobów uprawiania kultury języka do 1995 roku Marian Bugajski (1999) mojej krytyki w ogóle nie zauważa. Nie chciałbym przy tym być źle zrozumiany. Nie mam pretensji do Bugajskiego o lekceważenie moich poglądów. Nie dostrzegł on krytyki, żaden bowiem przedstawiciel kierunku, który można by określić jako kultura języka, nie odniósł się do moich poglądów, a Bugajski opisywał przecież prace powstałe w Polsce w ramach tego schematu pojęciowego. Mit schematu pojęciowego pozwala zatem na to, iż zasadnicza krytyka może przez badaczy o określonej orientacji zostać całkowicie przemilczana.

Z poprzedniego akapitu czytelnik może jednak wnioskować, że krytyka poglądów głoszonych w konkurencyjnych paradygmatach – tak czy inaczej – się pojawia. Piszący te słowa także ją zauważa, twierdząc jednocześnie, że nie przyczynia się ona – niestety – do pogłębienia wiedzy. Upatrywać w niej nawet można najbardziej groźne następstwo akceptacji mitu schematu pojęciowego. Poglądy bowiem, z którymi podejmuje się polemikę, są najczęściej ogromnie upraszczane. Biorąc to pod uwagę, można nawet postawić tezę, że krytyka ta nie jest adresowana do konkurencyjnych paradygmatów, ale do zwolenników paradygmatu, z punktu widzenia którego jest ona przeprowadzana. Zarzucić jej więc można przede wszystkim dogmatyzm i aprioryczne uprzedzenia.

Wprawdzie Popper uważa, że „dogmatyzm i uprzedzenia poszczególnych uczonych mają nawet coś w rodzaju metodologicznego uzasadnienia. Skoro krytyczna dyskusja jest metodą nauki, uporczywa obrona krytykowanych teorii jest rzeczą bardzo doniosłą. W ten tylko bowiem sposób możemy poznać ich rzeczywistą moc. A całą siłę argumentacji krytycznej możemy poznać tylko wtedy, gdy krytyka napotyka opór” (1994, cytat za wyd. polskim, s. 108). Jeżeli krytyka innych paradygmatów ma wyłącznie charakter dogmatyczny, dystans pomiędzy nimi się jedynie powiększa.

Jak już powiedziałem, na dogmatyczny charakter mojej analizy kognitywizmu zwrócił uwagę Tomasz Krzeszowski (1997), zarzucając mi, iż skonstruowałem byt, który z językoznawstwem kognitywnym ma niewiele wspólnego, by następnie taki konstrukt skrytykować z pozycji innego schematu pojęciowego. Po przeczytaniu tej polemiki, a także po dokładniejszym zastanowieniu się nad poglądami wykładanymi w pracach kognitywistów pozostaje mi tylko zgodzić się ze stanowiskiem autora.

Nie można wszakże nie zauważyć, że Krzeszowski, który przeciwstawia opisy nieklasyczne opisom klasycznym, ogromnie upraszcza te drugie. Sam przyznaje, iż „przystępując do opisu dowolnego wycinka rzeczywistości, posługujemy się odpowiednimi pojęciami istniejącymi już w danym języku, albo też na ich podstawie tworzymy nowe pojęcia. Pojęcia te stanowią kategorie, w których lepiej czy gorzej mieszczą się opisywane elementy rzeczywistości” (Krzeszowski, 1997, s. 175). Autor ten akceptuje zatem pogląd, iż żeby powiedzieć, że pomiędzy A i B nie ma ścisłej granicy, trzeba wcześniej wyznaczyć A i B. Konsekwencją przyjęcia tego poglądu jest to, iż każdy lingwista (czy to klasyczny, czy nieklasyczny), który wyznaczył A i B, może albo poszukiwać elementów języka idealnie odpowiadających A lub B, albo też skupiać swą uwagę na tych elementach, które tylko po części pasują do A lub B. Nieprawdą jest wszakże to, że „niemożliwe jest stworzenie opisów kognitywnych na podstawie już istniejących opisów klasycznych jedynie z pomocą rozmywania granic z tej prostej przyczyny, że **opisy klasyczne pomijają wiele faktów**, które nie mieszczą się w **ściśle wytyczonych granicach kategorii** (Krzeszowski, 1997, s. 176; podkreślenie I.B.).

Diagnoza opisów, które Krzeszowski nazywa klasycznymi, jest dla każdego, kto zapoznał się choćby fragmentarycznie z różnymi tradycyjnymi gramatykami języka polskiego, bardzo niesprawiedliwa. Wystarczy popatrzeć, jak zmienia się w tych gramatykach pojmowanie podmiotu, dopełnienia czy innych części zdania. Niesprawiedliwa jest ta diagnoza także w odniesieniu do nowszych modeli języka. Prawdą jest, że często zwolennicy nowszych modeli nie chcą się zgodzić na tak szerokie ujęcie podmiotu czy dopełnienia, proponując inne, nowe kategorie opisu. Znamienne jest wszakże również to, że na temat nowych propozycji klasyfikacji leksemów polskich od lat toczy się wielowątkowa dyskusja, a Maciej Grochowski (2000), jeden z jej aktywnych uczestników, wypowiada się o ustalanych kategoriach w sposób następujący:

Nonetheless, some of the widespread criteria of divisions should be regarded as controversial. So it is difficult to state if given units really fulfil the conditions which must be met as classification criteria. We very often hesitate whether or not to include a given lexeme into a given grammatical class earlier distinguished (Grochowski, 2000, s. 138).

Wszakże językoznawcy, których Krzeszowski określa przydawką *klasyczni*, choć dostrzegają, że proponowane kategorie mogą budzić poczucie niedosytu, usiłują ów niedosyt minimalizować, proponując albo rozszerzanie kategorii (gramatycy tradycyjni), albo coraz to nowe sposoby klasyfikacji (zwolennicy nowszych koncepcji opisu języka).

Także inni kognitywiści popełniają podobny błąd do mojego, tzn. nadmiernie upraszczają poglądy, z którymi następnie polemizują. Pisałem o tym w osobnych artykułach (por. Bobrowski, 1997, 2001). Przedstawiając poglądy generatywistów na temat kategorii podmiotu, Henryk Kardela (1998) nie zauważa wielu istotnych ustaleń Chomsky'ego zawartych w klasycznej jego książce, w której zaprezentowana została standardowa wersja gramatyki transformacyjnej (Chomsky, 1965).

Wiele niedomówień dotyczących klasycznej koncepcji kategorii znalazło się w informacyjnej książce Elżbiety Tabakowskiej (1995), która w zamierzeniu autorki ma być wprowadzeniem do językoznawstwa kognitywnego. Tabakowska przeciwstawia klasycznej teorii kategorii skalarność zjawisk zachodzących w otaczającym świecie. Jej zamiarem jest zapewne ukazanie czytelnikowi tego, iż klasyczna koncepcja kategorii nie brała pod uwagę skalarności zjawisk. Jak już jednak wspomnieliśmy, to przecież Arystoteles jest autorem teorii analogii, u której podstaw leży myśl zawarta zarówno w pierwszym cytacie z artykułu Krzeszowskiego, jak i myśl zawarta w cytowanym fragmencie opracowania Grochowskiego. Analogia jest zresztą obecna w wielu koncepcjach klasycznej filozofii, a w logice klasycznej wyraźnie odróżniano operację podziału od typologii, w której analogia odgrywa rolę podstawową.

Jak już powiedziałem, uproszczenia myśli zawartych w innych paradygmatach są najczęściej zabiegiem znanym z reklamy. Zadaniem autorów jest utwierdzenie zwolenników w słuszności poczynionego wcześniej wyboru i ewentualne powiększenie grona wyznawców o osoby, które jeszcze nie podjęły decyzji o wejściu na którąś z oferowanych ścieżek.

Dotychczasowe rozważania prowadzą wszakże do dość pesymistycznej diagnozy. Środowisko jest podzielone; pomiędzy poszczególnymi grupami nie ma wystarczającej komunikacji, a to powoduje, że podział ten rodzi wiele skutków negatywnych. Różnice w postrzeganiu języka mogłyby zostać uznane za wartości pozytywne tylko wtedy, gdyby wpływały one na odkrywanie przez innych nowych problemów. Mit schematu pojęciowego zamyka jednak drogę do dyskusji, przez co ważkie odkrycia i nowe pytania są znane tylko wewnątrz jednej grupy badaczy. Powstaje więc pytanie, czy można w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg wydarzeń.

Jeśli istnieje możliwość wpływu na zmianę podejścia badaczy, to szukać jej należy w samych podstawach komunikacji, tworząc coś na kształt maksymy



konwersacyjnej Herberta P. Grice'a (1975). Można przy tym nazwać tę maksymę naczelną zasadą prowadzenia dyskusji i sformułować ją w następujący sposób:

Jeśli już odczytałem i przeformułowałem na swój użytek czyjś pogląd i czuję, że z poglądem tym chcę polemizować, a z ogromną łatwością przychodzą mi do głowy zarzuty i argumenty przeciw temu pogładowi, powinienem raz jeszcze dokładnie sprawdzić, czy istotnie pogląd, który właśnie przeformułowałem, jest identyczny z poglądem tego badacza, któremu pogląd ten chcę przypisać.

Sformułowaną tak zasadę można też opatrzyć etykietą **maksymy zaufania**. Stosujący ją w praktyce musieliby być przekonani, że dyskusja z poglądami powstałymi w ramach innych schematów pojęciowych jest nie tylko możliwa, ale i potrzebna, gdyż w ramach innych schematów pojęciowych powstają sądy na tyle istotne, że warto się nad nimi zastanowić. Na ich podstawie można zrewidować własne dotychczasowe poglądy, nie odchodząc od podstawowych zasad wyznawanego paradygmatu.

Maksyma zaufania nie powinna – oczywiście – wyeliminować z nauki zasady krytycznego przyglądania się poglądom innych. W obecnej wszakże sytuacji trzeba wyraźnie powiedzieć, że badacz powinien mieć zarówno przekonanie, że celem innych jest uchwycenie istoty języka i że na tym polu mogą oni odnosić duże sukcesy, jak i przekonanie, że na drodze do tego celu spotyka się olbrzymie trudności, dlatego też nie sposób jest uniknąć błędów. Zarówno jednak sukcesy, jak i błędy są udziałem badaczy reprezentujących wszystkie schematy pojęciowe. Przekonanie to musi zastąpić dotychczas wyznawany przez większość językoznawców pogląd, zgodnie z którym błędy popełniają wprawdzie wszyscy, ale w naszym akurat paradygmacie jest ich najmniej, sukcesy odnoszą wszyscy, ale my przecież odnosimy ich najwięcej.

Od pewnego czasu maksyma zaufania zaczyna pojawiać się także w moim systemie lingwistycznym, warto więc chyba na zakończenie tego rozdziału pokazać, jaki wpływ wywarła ona na moje myślenie o języku i o językoznawstwie. Kognitywistyczny postulat o potrzebie opisu języka za pomocą kategorii i komponentów o rozmytych brzegach zmienił mój sposób wartościowania modeli lingwistycznych. Na najwyższym poziomie znajdują się w przyjmowanej przeze mnie hierarchii te modele, które są adekwatne opisowo i jednocześnie bardziej eksplicytne, tj. w sposób jawny informują o istocie reguł służących do generowania zdań. Jeśli zatem model gramatyczny traktuje dwuznaczne ciągi typu *rzucać mięsem* w jednym miejscu jako grupy wyrazowe, w innym zaś jako jednostki leksykalne, to możemy o nim powiedzieć, że jest on adekwatny opisowo. Jeśli wszakże inny model gramatyczny pokazuje jednoznacznie, że jednostka leksykalna *rzucać mięsem* jest utworzona w sposób analogiczny

jak grupa wyrazowa *rzucić mięsem*, to o tym modelu mówimy, że nie tylko jest on adekwatny opisowo, ale też dużo bardziej eksplicytny niż pierwszy model – szerzej piszę o tym m.in. w swojej gramatyce języka polskiego (por. Bobrowski, 2005, s. 539–540). Podejrzewam przy tym, że o takiej hierarchii modeli nie myślałbym na serio, gdyby nie istniały prace kognitywistów, które ukazują potrzebę poszukiwania nie tylko różnic, ale też podobieństw zachodzących pomiędzy poszczególnymi obiektami językowymi.

Wprawdzie inny kognitywistyczny postulat o nierozdzielaniu synchronii od diachronii nie został przeze mnie zaakceptowany, wpłynął on jednak zdecydowanie na mój pogląd dotyczący relacji, jakie powinny zachodzić pomiędzy opisami synchronicznymi i diachronicznymi. Najkrócej rzecz ujmując: od pewnego czasu staram się wykazać, że opisy te powinny być współmierne (por. np. Bobrowski, Górski, 1996; Bobrowski, 2005, s. 541–544). Cieszy mnie przy tym to, że niektórzy badacze historii polszczyzny, np. Bogdan Walczak (1999) skłonni są zaakceptować moją argumentację. W tym wypadku również mogę domniemywać, że bez wniknięcia w istotę argumentacji kognitywistów raczej nie zwracałbym uwagi na niewspółmierność obu opisów.

Gdyby więc spróbować krótko odpowiedzieć na postawione na wstępie pytanie o to, czy wielość paradygmatów jest korzystna dla naszej dyscypliny, na podstawie powyższych rozważań odpowiedź byłaby negatywna. Skoro jednak istnieje możliwość prowadzenia dyskusji pomiędzy paradygmatami, ów pesymistyczny obraz mógłby się diametralnie zmienić. Gdyby pojawiła się konstruktywna dyskusja, gdyby uczestnicy tej dyskusji mieli na uwadze powyższą maksymę zaufania, zapominając jednocześnie o micie schematu pojęciowego, mógłby powstać wspólny zrąb poglądów językoznawczych. To zaś jest warunkiem niezbędnym do zjednoczenia osobnych dyskursów lingwistycznych w jeden większy dyskurs. Wtedy dopiero moglibyśmy mówić o lingwistycznej wspólnocie fatycznej.

Jak już wspomniałem, w dyskusjach, które wywołało sformułowanie przeze mnie omówionej w rozdziale poprzednim maksymy zaufania, zwracano uwagę na życzeniowy charakter mojego postulatu. Niemniej jednak – jakby przy okazji – pojawiały się argumenty, które bazowały na przekonaniu, że poznanie innego paradygmatu w zasadzie jest nieosiągalne. Zawsze bowiem badacz będzie patrzył na konkurencyjny paradygmat z punktu widzenia założeń (niekiedy niejawnych) własnego paradygmatu. Wydaje się przy tym, że argumenty te w bardzo dużym stopniu wpłynęły na moją decyzję o podjęciu studiów nad filozoficznymi założeniami odmiennych koncepcji lingwistycznych.

Żeby powtórne sprawdzenie treści poglądu innego badacza (do czego namawiam w maksymie zaufania) przyniosło oczekiwany efekt, pogląd ten musi zostać odczytany wraz z całym schematem pojęciowym, w którym się ukształtował. Nie trzeba dodawać, że takie odczytanie jest możliwe jedynie wtedy,



gdy czytający ma do dyspozycji odpowiedni zestaw kodów potrzebnych do złamania szyfru.

Potrzebę opracowywania takich kodów dostrzegła już dość spora grupa lingwistów. Metodologia językoznawstwa, metalingwistyka, filozofia języka i filozofia językoznawstwa są w dzisiejszym naszym językoznawstwie bardzo dynamicznie rozwijającymi się dziedzinami. Od pewnego czasu, dzięki staraniom Piotra Stalmaszczyka, spotkania badaczy odbywają się co roku, a po tych spotkaniach ukazują się kolejne tomy redagowane przez ich organizatora.

Refleksji metodologicznej, która jest niezwykle ważnym składnikiem każdej nauki, nie zamierzam ograniczać jedynie do roli dostarczyciela kodów potrzebnych do przyswojenia zasad paradygmatu, z którym zamierzamy podjąć debatę. Jej funkcja jest – rzecz można – fundamentalna. Nie można wszakże nie zwrócić uwagi, że bez niej przyswajanie zasad innego paradygmatu byłoby bardzo utrudnione. Osoba przystępująca do takiej debaty musiałaby z tekstów powstałych w ramach konkurencyjnego paradygmatu wytworzyć sobie sama obraz schematu pojęciowego, na którym bazują przeanalizowane teksty. Jest to – oczywiście – wykonalne, choć trzeba zdać sobie sprawę z ograniczeń takich rekonstrukcji.

Badacz, który w taki sposób poznaje nowy paradygmat, ma z pewnością pewne nawyki wyniesione z własnego schematu pojęciowego. Może więc błędnie odczytać niektóre zasady. Duże też jest prawdopodobieństwo, iż zmierzy się on nie z tekstami najważniejszymi dla danego paradygmatu, ale z tymi, które są usytuowane na jego obrzeżach. Wszystko to może spowodować, że konstrukt utworzony na potrzeby debaty okaże się bardzo odległy od oryginalnego schematu pojęciowego. Przyszła więc debata nie przyczyni się zapewne do poszerzenia naszej wiedzy, więcej: jej skutkiem może być nawet pogłębienie się przekonania, że owocna dyskusja jest możliwa tylko w ramach jednego schematu pojęciowego. Mit schematu pojęciowego jeszcze się więc bardziej zakorzeni w świadomości badaczy.

Metodologia językoznawstwa i tzw. metalingwistyka (por. Żmigrodzki, 2006) mogą tu odegrać rolę podobną do tej, jaką w procesie uczenia się języka obcego spełnia metodyka nauczania. Można się – oczywiście – nauczyć języka obcego, uczestnicząc w rozmowach prowadzonych w tym języku i czytając teksty w nim powstałe, tyle że droga ta jest dość trudna, a obserwując osoby przebywające w jakimś środowisku nawet przez wiele lat, które nigdy nie uczestniczyły w metodycznym kursie języka, zauważymy ich dość banalne i często pojawiające się błędy. Kurs metodyczny ułatwia proces przyswajania języka i zapobiega jednocześnie przyswajaniu niedobrych nawyków. Dzięki metodologii językoznawstwa i metalingwistyce badacz jest w stanie szybko i skutecznie przyswoić sobie zasady konkurencyjnego schematu pojęciowego, jednocześnie nie narażając się na zarzut, że twór, który właśnie poznał, jest konstruktem odległym od oryginału.

Trzeba wszak zwrócić uwagę także na pewne zagrożenia, które się pojawiają w czasie lektury prac z zakresu metodologii językoznawstwa. W moim przekonaniu mogą one skutecznie zablokować te wszystkie działania, które służą wyeliminowaniu z naszego życia mitu schematu pojęciowego.

Jednym z bardzo ważnych zadań metodologii jest sformułowanie kryteriów oceny adekwatności rozwiązań lingwistycznych. W bardzo interesującym i wnoszącym wiele do naszej wiedzy o podstawowych różnicach pomiędzy współczesnymi koncepcjami językoznawczymi eseju Ewa Willim (2010) zawarła na zakończenie następującą konstatację:

W dobie metodologicznego pluralizmu, w której się znajdujemy, szczególnie ważny wydaje się postulat weryfikacji teorii [...]. Teorie języka, które nie widzą potrzeby wartościowania ich waloru wyjaśniającego, muszą się liczyć z pytaniem o podstawy metodologiczne, z których wyrastają (Willim, 2010, s. 122).

Troska o walor wyjaśniający ujęć językoznawczych jest chyba udziałem wszystkich ich twórców. Problemem jest jednak to, że – po pierwsze – różnie rozumieją poszczególni twórcy słowo *wyjaśnianie*, a po drugie – w odmienny sposób oceniają możliwości znalezienia najważniejszych kryteriów oceny owych walorów wyjaśniających.

Wydaje się przy tym, że dziś odszukanie wspólnych fundamentów metodologicznych, na których powinny być osadzone wszystkie konstrukty teoretyczne, jest niemożliwe. Jeżeli więc nawet zostanie sformułowany zarzut, że jakaś koncepcja języka nie jest oparta na fundamentach metodologicznych, to jej wyznawcy zarzutem tym się nie przejmą, ponieważ uznają, że nie istnieje nic takiego, co można by określić mianem niekwestionowalnych podstaw wiedzy naukowej. Uznają przy tym, że zarzut został sformułowany z punktu widzenia innej koncepcji nauki, a więc nie dotyczy tego konkretnego ujęcia lingwistycznego, które zbudowane zostało na innych fundamentach. Z pewnością przeniesienie sporu w tak odległe od lingwistyki rejony nie przyczyni się do dyskusowania w ramach odmiennych schematów pojęciowych poszczególnych rozwiązań językoznawczych.

Tym samym doszliśmy – jak sądzę – do najważniejszej bariery oddzielającej od siebie poszczególne grupy lingwistów. Bariery tą jest brak zgody co do tego, że da się znaleźć wspólne dla wszystkich paradygmatów kryteria oceny koncepcji lingwistycznych. Z pewnością bardzo proste recepty na zlikwidowanie tak fundamentalnej przeszkody w rodzaju sformułowanej wcześniej przeze mnie maksymy zaufania są tu mało skuteczne. Skoro bowiem przyczyny pojawienia się bariery mają charakter filozoficzny, to wychodzi na to, że powinniśmy wkroczyć na teren filozofii, by tam próbować szukać płaszczyzny, na

której porozumienie byłoby możliwe. Przenieśmy się zatem w takie miejsce, gdzie kończy się metodologia, a zaczyna filozofia lingwistyki.

W następnych kilku rozdziałach zastanowimy się więc nad filozoficznym umocowaniem niektórych założeń koncepcji językoznawczych. Rozpoczniemy nasze rozważania od rozstrzygnięć dotyczących samego przedmiotu językoznawstwa. Okazuje się, że przyjęte w pierwszej części książki rozwiązanie, zgodnie z którym przedmiotem lingwistyki jest poddany redukcji teoriopoznawczej język językoznawczy, dla wielu językoznawców jest nie do zaakceptowania.

# O przedmiotach językoznawstwa

Gdybyśmy bez żadnych wstępnych ograniczeń i dookreśleń zapytali językoznawców, co jest przedmiotem ich badań, z pewnością usłyszeliśmy w odpowiedzi słowo *język*. Po tej lakonicznej wypowiedzi niektórzy z odpowiadających mogliby dodać swoje refleksje na temat różnych sposobów patrzenia na język, tj. różnych przedmiotów formalnych językoznawstwa. Aczkolwiek prześledzenie różnych punktów widzenia jest niezwykle interesujące i warte zastanowienia, w niniejszym rozdziale jest mowa o różnych przedmiotach materialnych językoznawstwa.

Nie będę też się zastanawiał na tym, że do obszaru, który umownie określamy terminem *językoznawstwo*, należy wiedza o języku naturalnym, ale też wiedza z zakresu metajęzykoznawstwa, metodologii językoznawstwa czy filozofii językoznawstwa. Można by zatem powiedzieć, że w ramach językoznawstwa da się z łatwością wyróżnić prace, w których przedmiotem jest język, i prace, w których przedmiotem jest językoznawstwo. Rozważania na temat warsztatu danej dyscypliny we współczesnej nauce są przecież sprawą naturalną, w ostatnich latach powstało w ramach językoznawstwa wiele tekstów traktujących o sposobach uprawiania go.

Rozdział ten ma charakter metodologiczny, nie będę jednak wchodził na poziom metametajęzykoznawstwa, tzn. nie będę przyglądał się różnym pracom, których przedmiotem jest językoznawstwo, lecz zajmę się rozumieniem języka w dzisiejszych pracach językoznawczych. Założyłem, że język jest w nich na tyle różnie rozumiany, iż można mówić o odmiennych przedmiotach językoznawstwa. Różnice te wydają się przy tym fundamentalne i wiążą się ściśle ze sposobem prowadzenia badań, ich metodologią i filozofią.

Jest to sytuacja przy tym bardzo dziwna, ponieważ olbrzymia większość badaczy akceptuje strukturalistyczną definicję języka jako systemu znakowego. Preferowany jednak przez niektórych z nich sposób badania języka jest

niewspółmierny z przyjmowaną apriorycznie definicją. Możemy zatem wnieść, że sama definicja nie determinuje ani sposobu prowadzonych badań, ani wizji przedmiotu językoznawstwa. Przyjmuję przy tym, że definicja nie wyznacza statusu ontologicznego przedmiotu ich dociekań naukowych, jest tylko pewną konstrukcją – nazwijmy to – kulturową, niemającą przełożenia na warsztat badawczy.

W dalszych partiach tego wywodu omawiam dociekania językoznawcze stosunkowo nowej i – od razu dodajmy – niejednorodnej grupy oraz zastanawiam się nad statusem ontologicznym ich przedmiotu (przedmiotów) badań. Zanim jednak do tego przejdę, wypada raz jeszcze zastanowić się nad statusem ontologicznym przedmiotu językoznawstwa przyjmowanego przez tę bardziej tradycyjną grupę.

Z dotychczasowego wywodu wynika, że ta bardziej osadzona w tradycji grupa badaczy nie tylko akceptuje definicję języka jako systemu znakowego, ale też takie jego ujęcie wpływa na sposób uprawiania językoznawstwa. Jest bowiem w tym ujęciu językoznawstwo nauką spekulatywną, która bada przedmiot abstrakcyjny. Podtrzymuję tym samym, że przedmiotem tak rozumianego językoznawstwa jest omawiany w poprzednich partiach tej książki język językoznawczy, dla którego dobrym umocowaniem filozoficznym jest redukcja teoriopoznawcza Husserla.

Wychodząc jednak od ontologii Poppera (1972), który zakłada istnienie trzech sfer nazwanych przez niego obrazowo światami, przedmiot tak pojmowanego językoznawstwa mieści się w świecie numer dwa. Pierwszy świat Poppera to świat zewnętrzny, drugi to świat wewnętrzny, a trzeci to świat wytworów ludzkiej myśli. Umieszczenie języka w świecie numer dwa może budzić pewne wątpliwości – przede wszystkim tę, czy sam Popper język umieściłby w tym świecie.

Wydaje mi się, że ci spośród językoznawców, którzy akceptują strukturalistyczną zasadę oddzielania systemu od tekstu, postrzegają język jako element świata wewnętrznego człowieka. Różne są, oczywiście, metody rekonstruowania tego systemu; jedni bardziej są nastawieni na wykorzystanie intuicji nosiciela języka na temat zbioru zdań, które ów system jest w stanie produkować, inni śledzą bardziej empiryczne wytwory powstałe dzięki językowi i stosują narzędzia odkrywające system. Najczęściej stosuje się metody mieszane. Rozróżnienie Chomsky'ego na język wewnętrzny – *internalised language (I-Language)*, który jest właśnie narzędziem formułowania myśli, i język zewnętrzny – *externalised language (E-Language)*, który jest narzędziem komunikacji (por. Chomsky, 1986), także nie wpływa na pojawienie się dwóch odrębnych przedmiotów materialnych badań językoznawczych, dotyczy ono bowiem dwóch komplementarnych funkcji języka naturalnego. Nawet badacze, którzy wyraźnie deklarują, że interesują ich wyłącznie teksty, np. historycy języka,

w istocie rekonstruują i uzgadniają ze sobą system na podstawie pewnej grupy tekstów, a następnie analizują inne teksty, mając ten zrekonstruowany system cały czas na uwadze. Gdyby tak nie było, w wykonywanych przez nich edycjach tekstów nowo odkrytych lub nowych edycjach tekstów wcześniej znanych nie byłoby miejsca na kwalifikatory sugerujące popełnienie błędu przez kopistę.

Nie wdając się w analizowanie szczegółów, można zatem powiedzieć, że wszystkich badaczy z tej grupy łączy jawne lub niejawne akceptowanie w językoznawstwie zasady redukcji teoriopoznawczej dotyczącej przedmiotu badań. Język jest pewnym tworem niepoddającym się precyzyjnej weryfikacji empirycznej. Przyjmuje się, że w czasie wykonania czynności językowych, tj. w procesie tworzenia tekstów, człowiek jest ograniczony m.in. ułomnością swojej pamięci. Popełnia więc wiele błędów, które nie mogą przecież rzutować na kształt rekonstruowanego przez badacza modelu systemu językowego. Dlatego zakłada się, że na mocy intuicji językowej badacz przeprowadza selekcję danych empirycznych. Bierze pod uwagę tylko te, które uważa za dopuszczalne. Powstaje przy tym wiele problemów i sytuacji wątpliwych, na które zwracaliśmy uwagę w pierwszej części tej książki. Nie wydaje się zatem potrzebne ich ponowne omawianie.

Należy w tym miejscu przede wszystkim przyjrzeć się tym badaczom, którzy takiego idealizacyjnego i redukcjonistycznego jednocześnie języka nie chcą uznać za przedmiot językoznawstwa. Językoznawstwo, którego przedmiotem jest abstrakcyjny język (a więc składnik świata numer dwa), określają mianem językoznawstwa racjonalnego (czy racjonalistycznego), sami zaś proponują językoznawstwo empiryczne tworzone na wzór nauk przyrodniczych. To nowe podejście bez wątpienia nawiązuje do językoznawstwa dystrybucyjnego, które zakładało, że możliwe jest znalezienie procedur odkrywania reguł w trakcie analizy tekstów empirycznych. Współcześnie badacz ma do dyspozycji nieograniczony w zasadzie dostęp do zdigitalizowanych korpusów tekstowych, w związku z czym nie ma powodów, by te korpusy nie stały się przedmiotem refleksji językoznawczej.

Tradycyjne językoznawstwo oczywiście też wykorzystywało dane empiryczne. Te jednak dane były jakby służebne wobec celu nadrzędnego, tj. odkrywania i proponowania modelu systemu językowego jako składnika świata numer dwa. Nawet stylistyka, tekstologia i dyskursologia zakładały, że jakość strukturalna tekstu zależy od wyboru elementów z abstrakcyjnego systemu. Przedmiotem badań tych dziedzin był zatem tekst, ale punktem wyjścia było przekonanie o kompetencji komunikacyjnej nosiciela języka naturalnego, który zna reguły tworzenia tekstów. Dlatego te dziedziny nie postulowały odejścia w językoznawstwie od badań abstrakcyjnego przedmiotu.

Sytuacja zmieniła się radykalnie z chwilą podjęcia na szeroką skalę badań korpusowych. Powstało wtedy językoznawstwo korpusowe, które w swych

manifestach metodologicznych postuluje często prowadzenie badań nad rzeczywistymi wyrażeniami języka naturalnego w duchu nauk przyrodniczych. Argumenty przemawiające za selekcjonowaniem danych tekstowych, a więc czynnością, która w efekcie prowadzi do idealizacji systemu językowego, dzięki olbrzymim korpusom można bardzo poważnie osłabić, przyjmując, że błędy wynikające z ułomności wykonania językowego są w zasadzie jednostkowe i nie mają większego wpływu na proces wykrywania regularności w korpusie.

Istnieje – oczywiście – duża grupa językoznawców, którzy wykorzystują dane korpusowe do weryfikacji lub falsyfikacji wcześniejszych hipotez powstałych na gruncie językoznawstwa racjonalnego. Spora jednak grupa badaczy wypracowuje do badań korpusowych nowe narzędzia analityczne, by – jak już powiedziałem wcześniej – włączyć językoznawstwo korpusowe w obręb nauk przyrodniczych.

Badacze ci, nawet jeśli skłonni są przyjąć tradycyjne rozumienie języka jako abstrakcyjnego systemu, w swojej praktyce lingwistycznej badają obiekt o odmiennym statusie ontologicznym. Stawiam przy tym tezę, że przedmiotem językoznawstwa tej grupy badaczy jest wyłącznie zbiór tekstów, który umieszczam – niezależnie od woli twórcy – w Popperowskim świecie numer trzy.

Fakt, że tekstami rządzą pewne reguły, które trudno powiązać z abstrakcyjnym systemem, zauważono już dawno. Wystarczy przypomnieć słynne statystyczne prawo Zipfa, który wykazał, że iloczyn numeru rangowego i liczby wystąpień jakiegoś elementu jest liczbą stałą. Prawo to jednak nie zmieniło podejścia badaczy do przedmiotu językoznawstwa. Dzięki wszakże nowym narzędziom dużo bardziej efektywnie można wyszukiwać korelacje tekstowe. Krok po kroku zatem korpus sam w sobie staje się obiektem badań.

W korpusologicznej książce o diatezie Rafał Górski (2008) zastanawia się m.in. nad tekstową realizacją diatezy biernej. Czytelnik znajdzie tam wiele nieoczekiwanych korelacji. Okazuje się, że w wypadku czasowników niedokonanych 89% konstrukcji występuje w czasie teraźniejszym, 10% w przeszłym, a tylko 1% w przyszłym. Te dysproporcje są dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Trudno tu też mówić o przypadku, skoro wyliczenia bazują na ogromnym korpusie tekstowym.

Jeśli zaczniemy obserwować inne relacje pomiędzy elementami korpusu, zwrócimy zapewne uwagę na wiele takich, które w dotychczasowym badaniu języka zupełnie nie były zauważane. Po prostu nie zadawano sobie trudu ich poszukiwania, bo nie odgrywały one żadnej roli w procesie budowania modeli systemu. Dla badaczy korpusów te nowe korelacje świadczą na korzyść badań naśladowczych nauki przyrodniczej. Przedmiotem obserwacji i analizy jest dla nich zatem uniwersum tekstowe, które umieszczam w Popperowskim świecie numer trzy.

Podobnie przedmiot językoznawstwa postrzegają ci badacze, którzy konstruują tzw. językowy obraz świata. Wprawdzie ich deklaracje nawet nie



współbrzmia z deklaracjami korpusologów, więcej: w deklaracjach badaczy językowego obrazu świata pojawia się eksplicytne odwołanie się do języka pojmowanego jako pewna idealizacja (szerzej zagadnieniu temu przyjrzymy się w dwóch następnych rozdziałach). Kiedy przyjrzymy się jednak procedurom badawczym przez nich stosowanym, zastanowimy się nad istotą efektów tych procedur i w końcu postawimy sobie pytanie, kto jest nosicielem zrekonstruowanego przez nich obrazu świata, dojdziemy do wniosku, że pytanie to jest pozbawione sensu. Bo przecież badacze ci nie zamierzają dokonywać żadnej rekonstrukcji systemu. Ich celem jest zarejestrowanie pewnych połączeń tekstowych i następnie ułożenie ich w odpowiedniej kolejności. To ta kolejność połączeń tworzy pewien obraz konkretnego elementu rzeczywistości, np. dębu, słońca, kota czy konia. Przedmiotem rekonstrukcji nie jest zatem obraz elementu rzeczywistości należący do świata numer dwa, ale obraz wyłaniający się z zasobów tekstowych, które są przedmiotem eksploracji. Badaczy tych, a także językoznawców analizujących korpusy można porównać do archiwistów, którzy selekcionują i układają zgodnie z pewnymi przyjętymi kryteriami materiały będące w posiadaniu archiwum. Z tego pewnie powodu niektórzy badacze mówią nie o językowym, ale o tekstowym obrazie świata. Do problemu tego wracamy w następnym rozdziale tej części książki.

Obserwując dzisiejsze prace należące do obszaru, który określamy mianem językoznawstwa, natrafimy na inny jeszcze przedmiot będący podstawą późniejszej refleksji. Przedmiotem tym są opisy języka wytworzone w językoznawstwie, które opisuje język należący do świata numer dwa, a więc proponuje modele, czyli przybliżone obrazy, tak pojmowanego języka. Istnieje pewna grupa badaczy, która zastanawia się nad jakością tych modeli i proponuje ich wartościowanie oraz uzasadnienie filozoficzne. Jak już powiedziałem na początku rozdziału, przedmiot metalingwistyki nie jest przedmiotem naszych rozważań. Są jednak badacze, dla których opisy języka nie są powodem do refleksji metodologicznej, ale punktem wyjścia do dalszych rozważań na temat języka i jego społecznego funkcjonowania. Przedmiotem ich refleksji nad językiem jest zatem model języka utożsamiany z językiem. Przedmiot taki umiejscowić trzeba w świecie numer trzy, bo przecież opisy języka są rezultatami dociekań intelektualnych.

Modele języka jako wytwory ludzkiego intelektu należące do Popperowskiego świata numer trzy są podstawą refleksji m.in. tych językoznawców, którzy zajmują się tzw. kulturą języka. W przywoływanym tu wielokrotnie JR pokazywałem, w jaki sposób sądy poprawnościowe mogłyby się zmienić, gdyby podstawą rozważań językoznawcy formułującego te sądy stał się inny model języka. Podobny zabieg całkiem niedawno przeprowadziłem w stosunku do sądów tworzonych w ramach tzw. językoznawstwa genderowego, które szuka w języku przejawów nierównego traktowania ludzi ze względu na płeć, ale – co



jest w świetle tych rozważań oczywiste – sądy swoje formułuje na podstawie obserwacji wybranego modelu języka. Trzeba przy tym od razu dodać, że rozważania takie zyskują olbrzymi oddźwięk medialny.

W kolejnym rozdziale tej części książki zastanowimy się nad tym, co by się stało, gdyby badacze należący do tej grupy nie bazowali na dość nieporadnym modelu języka, w którym wyróżnia się jedną jednostkę leksykalną *psycholog* i przyjmuje jednocześnie, że jeżeli jest mowa o mężczyźnie lub o abstrakcyjnym zawodzie, używa się form fleksyjnych z deklinacji męskiej (*psychologa*, *psychologiem*), jeśli mowa jest natomiast o kobiecie, używa się jedynie jednej formy mianownikowej, dodając niekiedy przed nią ciąg *pani*. Wychodząc z założenia, że seksizm może przejawiać się w systemie językowym m.in. przez asymetrię, tj. stosowanie formy męskiej zarówno do określania mężczyzn, jak i jako formy gatunkowej (por. Goddard, Patterson, 2000), niektórzy autorzy uznali, że skutecznym rozwiązaniem byłoby wprowadzanie do obiegu form typu *psycholożka*, *prezeska*. Z genderowego punktu widzenia będzie więc znacznie lepiej, jeśli ożywimy mechanizmy słowotwórcze języka i upowszechnimy zasadę relacji słowotwórczej widoczną w parze *aktor* : *aktorka*.

Jeżeli jednak przyjmiemy założenia słowotwórstwa synchronicznego, wyłożonego m.in. w „żółtej” *Morfologii* (Grzegorzyczkowa, Laskowski, Wróbel (red.), 1984), to z łatwością odnajdziemy w nim, że w relacji pomiędzy jednostką *psycholog* i jednostką *psycholożka* podstawą słowotwórczą jest *psycholog*, a derywatem – *psycholożka*, utworzonym za pomocą sufiksального formantu *-ka*. Powinniśmy jednak przyjąć też w ramach tego modelu, że *psycholog* odnoszący się do psychologa płci żeńskiej, to nie forma, ale osobna jednostka leksykalna. Wydzielamy w ten sposób w języku dwie identycznie brzmiące jednostki leksykalne. Jedna jednostka, nazwijmy ją PSYCHOLOG1, zawiera wśród swoich form m.in. ciąg *psychologa*, *psychologowi*. Druga jednostka, PSYCHOLOG2, też zawiera formy przypadkowe, z tym że wszystkie formy są identyczne (synkretyczne). Konstatujemy zatem, że pomiędzy PSYCHOLOG1 i PSYCHOLOG2 zachodzi relacja słowotwórcza zwana derywacją paradygmatyczną. Różnią się bowiem od siebie obie jednostki przynależnością do odmiennych paradygmatów fleksyjnych, czyli różnych wzorców odmiany. Jeżeli zatem za podstawę naszych dalszych dociekań genderowych posłużymy taki model języka, wówczas wnioskowanie będzie w znacznym stopniu różniło się od wnioskowania, które wcześniej naszkicowałem.

W kolejnym rozdziale komentuję rozpowszechnione wśród badaczy teorii genderowej przekonanie, że język polski z punktu widzenia rodzaju gramatycznego dyskryminuje osoby płci żeńskiej, bo rzeczowniki do nich się odnoszące mają ten sam rodzaj gramatyczny jak rzeczowniki nazywające zwierzęta czy rzeczy; ten zaś rodzaj (tzw. niemęskoosobowy) wyraźnie stoi w opozycji do rodzaju męskoosobowego, który jest cechą – jak sama nazwa

wskazuje – rzeczowników odnoszących się do osób płci żeńskiej. Tutaj też rozważanie nie bazuje bezpośrednio na języku polskim, ale na jednym z jego modeli. Jeśli wszakże spojrzymy na tę samą kwestię z punktu widzenia innych modeli, w których stosuje się odmienne koncepcje ujmowania rodzaju gramatycznego, przekonanie o dyskryminacji osób płci żeńskiej ulegnie poważnemu osłabieniu.

W rozdziale tym odróżniłem zatem trzy przedmioty lingwistyki: będący pewną idealizacją przedmiot, który należy do wewnętrznego świata numer dwa, przedmiot empiryczny będący zbiorem rzeczywistych produktów języka i przedmiot będący efektem badań przedmiotu pierwszego. Dwa ostatnie przedmioty mieszczą się w obrębie świata numer trzy. Popper mówi o wzajemnym oddziaływaniu świata numer dwa i świata numer trzy. Niestety, na obecnym etapie rozwoju językoznawstwa relacje pomiędzy ustaleniami tych badaczy, którzy opisują język ze świata numer dwa, i ustaleniami tych, którzy opisują język ze świata numer trzy, nie są przedmiotem refleksji metalingwistycznej. Dwa następne rozdziały potraktować zatem można jako wprowadzenie do tego typu refleksji.

# Lingwistyczny obraz świata i stereotyp stereotypu językowego

## Obraz świata

Od pewnego czasu w polskich czasopismach językoznawczych podaje się przy każdym artykule kilka terminów, które mają charakteryzować jego zakres tematyczny. Noszą one nazwę słów kluczowych. Szereguje się je od pojęcia najogólniejszego (np. *językoznawstwo*) i przez coraz bardziej szczegółowe (np. *gramatyka*, *morfologia*, *składnia*) dochodzi do najbardziej precyzujących zakres rozważań (np. *rodzaj gramatyczny*). Gdyby wszakże przyszło nam odpowiedzieć na pytanie, jakie słowa kluczowe pojawiają się najczęściej na ostatnich miejscach szeregu w dzisiejszym polskim językoznawstwie, nie moglibyśmy w swojej odpowiedzi nie wymienić pojęcia *językowy obraz świata*.

Kariera tego pojęcia w naszym językoznawstwie rozpoczęła się nie tak dawno temu. Pierwszy raz zetknąłem się z nim na początku lat osiemdziesiątych, kiedy słuchałem referatów zmarłego przedwcześnie Janusza Anusiewicza, który analizował wpiery językowy obraz kota, a następnie konia (por. Anusiewicz, 1994). W czasie dyskusji po jego referatach sformułowałem zarzut, który da się zawrzeć w następującym zdaniu. Fakt, że segment *kot* czy segment *koń* występuje w zgromadzonych przez Anusiewicza zbitkach słownych, nie oznacza, że zbitki te w jakikolwiek sposób wpływają na językowe znaczenie jednostki leksykalnej *kot* czy jednostki leksykalnej *koń*. Formułowaniu argumentów na rzecz słuszności powyższej tezy poświęciłem sporo miejsca w swoich pracach.

Szereg argumentów przeciwko językowemu obrazowi świata przedstawiłem w książce JR. Wychodzę tam od pewnego truizmu, tj. od stwierdzenia, że język jest tworem abstrakcyjnym, który służy do ujmowania myśli. Człowiek

nie jest w stanie uniknąć pewnych stereotypów na temat otaczającego go świata, ważne jest jednak to, że nie wszyscy członkowie danej społeczności mówiącej tym samym językiem podlegają takiej samej stereotypizacji procesów myślenia. Tylko część z nich uważa, że koty są fałszywe, druga część ma w tej kwestii inne zdanie. Wszyscy natomiast mówią tym samym językiem polskim. Zatem język nie determinuje wizji świata, bo gdyby tak było, wszyscy bez wyjątku musieliby koty uważać za zwierzęta fałszywe. Stereotypy nie należą więc do domeny języka naturalnego, ale do sfery ludzkich myśli. Do problemu tego wrócimy w drugiej części tego rozdziału.

Podobne poglądy wyczytać można było w pracach wielu innych polskich językoznawców. Nie wpłynęły one jednak na zahamowanie tendencji rozszerzania się badań nad językowym obrazem świata. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza powstało w naszym językoznawstwie bardzo wiele opracowań z tego zakresu. Śmiem przypuszczać, że pojęcie *językowy obraz* świata jest jednym z najczęstszych słów kluczowych służących do kategoryzacji polskiego piśmiennictwa językoznawczego.

Niektóre redakcje zamiast polskich słów kluczowych zalecają autorom stosowanie ich angielskojęzycznych odpowiedników. Zamiast więc słów kluczowych *językowy obraz świata* pojawiają się angielskie pojęcia *linguistic view of the world* lub *linguistic picture of the world*. Powstaje wszakże jeden bardzo poważny problem. Oba pojęcia w językoznawczej literaturze anglojęzycznej nie funkcjonują jako terminy lingwistyczne.

W liczącym 12 353 strony dziele, jakim jest *Encyclopedia of Language and Linguistics* (wyd. 2, 2005), nie ma ani hasła *linguistic view of the world*, ani hasła *linguistic picture of the world*. Warto jednak zwrócić uwagę, że w elektronicznej wersji tego dzieła połączenie *linguistic view of the world* nie występuje ani razu, ale tylko raz pojawia się połączenie *linguistic picture of the world*. W dodatku ten ostatni segment znajduje się w hasle *Russian Lexicography* (s. 9305), gdzie jest mowa o tym, iż niektórzy leksykologowie rosyjscy uważają, że elementy leksykalne języka tworzą system, a system sam jest interpretowany jako model językowego obrazu świata.

Dla pewności sprawdziłem też połączenia krótsze. Nie znalazłem ani jednego połączenia *picture of the world* – oprócz tego, które pojawiło się w ciągu *linguistic picture of the world*. Znalazłem wprawdzie dziesięć wystąpień ciągu *view of the world*, przy czym tylko połączenia ze stron 3295, 7244, 8262 odnoszą się do związków wizji świata z językiem, nie znalazłem zaś ani jednego potwierdzenia tezy u nas uchodzącej niemal za pewnik, że język determinuje wizję świata.

Można zatem uznać, że rekonstrukcja językowego obrazu świata nie należy zdaniem międzynarodowego grona twórców encyklopedii do podstawowych zadań językoznawstwa. Postawiłbym przy tym diagnozę, że przyczyną tego

stanu rzeczy jest wieloznaczność i nieostrość pojęcia, a co za tym idzie – trudność zdefiniowania przedmiotu językoznawstwa, w którym to pojęcie odgrywać by miało pierwszoplanową rolę. W czasie ustalania ewentualnych celów takich badań języka i metod, za pomocą których można interpretować dane językowe, pojawiają się kłopoty. W rozdziale tym wskazuję jeden z możliwych sposobów filozoficznego uzasadnienia tego rodzaju refleksji nad językiem, a tym samym rozwiązania przynajmniej części trudnych problemów natury metodologicznej.

Wydaje się przy tym, że moje obecne poglądy nie muszą stać w sprzeczności z tezami, których broniłem w JR i w innych swoich pracach. Problem polega zapewne na tym, iż poprzednio ujmowałem przedmiot badań lingwistycznych w sposób zupełnie odmienny od tego, który proponowali badacze zajmujący się rekonstruowaniem językowego obrazu świata. Skłonny też byłem uważać to odmienne zdefiniowanie przedmiotu za nienależące do racjonalnej refleksji nad językiem. Dzisiaj moje stanowisko jest dużo bardziej koncyliacyjne. W ostatnim rozdziale tej części książki staram się wykazać, że wyeliminowanie sądów pozaracjonalnych z dziedziny, którą określamy mianem językoznawstwa, jest niewykonalne.

Pokazuję też w ostatnim rozdziale tej części książki, na czym polegają różnice pomiędzy moimi poglądami zawartymi w JR a poglądami obecnymi. Uprzedzając przeprowadzone tam wnioskowanie, można przyjąć, że wcześniej zdania poddające się osądowi jedynie z punktu widzenia pragmatyczno-socjologicznej koncepcji prawdziwości (określałem je jako pozaracjonalne) traktowałem za Izydorą Dąmbską (1937) jako **przypadkowe**, „zaplątane w nauce” – w „idealnym” językoznawstwie konieczne do wyeliminowania. Obecnie zaś uważam, że bez nich **uprawianie** językoznawstwa **jest niemożliwe**. Są one bowiem koniecznym składnikiem dyskursu lingwistycznego. Bez nich lingwistyka byłaby zupełnie nieefektywna, a i prace lingwistyczne niezawierające odwołań do tych zdań pozbawione byłyby tła. Językoznawca powinien jednak mieć świadomość, z jakiego rodzaju sądami ma każdorazowo do czynienia. Temu ma pomóc nieustanna refleksja nad charakterem zdań składających się na dyskurs lingwistyczny, a więc refleksja z zakresu filozofii językoznawstwa.

W JR byłem zwolennikiem tezy, że prawdziwość zdań z zakresu językoznawstwa można oceniać jedynie z punktu widzenia koherencyjnej koncepcji prawdy. Obecnie dostrzegam też istnienie zbioru zdań, które za prawdziwe mogą uznać też zwolennicy korespondencyjnej koncepcji prawdy. W sposób odmienny niż dzisiaj traktowałem kryteria oceny modeli lingwistycznych. Przyjmowałem, że istnieją racjonalne i na tyle skuteczne kryteria, że na ich podstawie można dokonać wyboru modelu najlepszego z istniejących. Takie zatem kryteria oceny należały bez wątpienia do metodologii językoznawstwa. Obecnie kryteria tego typu skłonny byłbym uznać za należące raczej do filozofii językoznawstwa. Nie rozstrzygają one wielu spornych kwestii, ale są czymś

w rodzaju przewodnika, który towarzyszy lingwiście w czasie konstruowania sądów dotyczących języka.

Można zatem mieć wątpliwości, czy językoznawstwo, które teraz jest mi bliskie, ma jeszcze charakter racjonalny. Wydaje się, że jego racjonalizm wynika z krytycznego założenia, które przyjmuje. Dzięki filozoficznej refleksji lingwistycznej badacz powinien być w stanie określić trzy kręgi zdań należących do jego dyscypliny, a także umieć ocenić status sądów tworzonych przez siebie lub innych badaczy. W ten sposób powinien zbudować własny aparat poznawczy, na podstawie którego pewne sądy uzna za należące do centrum językoznawstwa, inne zaliczy do grupy sądów uznawanych za prawdziwe w ramach ściśle wyznaczonego modelu lingwistycznego, inne jeszcze uzna za nieodzwone składniki językoznawczego dyskursu, choć nie będzie miał wystarczających podstaw racjonalnych, by uznać, że znajdują się one w kręgu zdań spełniających warunki nakładane przez zwolenników koherencyjnej koncepcji prawdy.

W pierwszym rozdziale tej części książki za podstawowe źródło tych wszystkich zmian w moim myśleniu lingwistycznym uznałem bardzo przekonujący esej Poppera pod znamienym tytułem *Mit schematu pojęciowego* (1994). Spotykany często pogląd, zgodnie z którym owocna dyskusja jest możliwa tylko wtedy, gdy dyskutanci przyjmują wspólny schemat pojęciowy (paradygmat), Popper nazywa mitem. Jego zdaniem dyskusja owocna jest tylko wtedy, gdy ścierają się poglądy powstałe w ramach odmiennych paradygmatów. Dyskutanci muszą spełnić jeden warunek – każdy z nich musi znać nie tylko swój schemat pojęciowy, ale też schemat pojęciowy swojego oponenta.

Na zmianę moich poglądów miały też z całą pewnością wpływ prace Adama Groblera, który przewrotne niekiedy tezy postmodernistyczne postrzega jako bardzo istotny czynnik prowadzący do modyfikacji sądów istniejących w ramach systemów racjonalistycznych (por. np. Grobler, 1999). Idąc tą drogą, przeanalizowałem raz jeszcze niektóre opinie zakorzenione w językoznawstwie i traktowane przez językoznawców jako co najmniej sądy spełniające warunki nakładane przez zwolenników koherencyjnej koncepcji prawdy. Zauważyłem, że opiniom tym można przeciwstawić diametralnie odmienne, tworzące w miarę spójną opowieść. Z dociekań tych wyciągam zatem wnioski, że w językoznawstwie istnieje szereg sądów, które są uważane za prawdziwe jedynie na mocy konsensusu językoznawców. Wyeliminowanie tych zdań z językoznawstwa przyniosłoby wszakże więcej szkody niż pożytku, bo okroiłoby bardzo pole lingwistyki. W ostatnim rozdziale tej części książki pokazuję kilka tego typu sądów – są one składnikami opowieści, ale wyłączenie ich poza językoznawstwo bardzo zubożyłoby naszą dziedzinę wiedzy.

Wydaje się, że w wypadku rekonstrukcji tzw. językowego obrazu świata mamy do czynienia z podobnego typu zdaniami. Należą one do dziedziny, którą określamy jako językoznawstwo polskie (czy może szerzej: słowiańskie,

a pewnie też niemieckie), nie są one sądami, które spełniałyby warunki narzucane czy to przez zwolenników korespondencyjnej, czy to koherencyjnej koncepcji prawdy. Uznać więc je trzeba za składniki lingwistycznej opowieści.

Tu jednak znów odżywa problem, od którego rozpoczęły się te rozważania. Zestawmy ze sobą dwa zdania, które z pewnością są powszechnie znane i szeroko rozpropagowane w naszym językoznawstwie:

- (1) *W języku polskim **dom** jest w rodzaju niemęskoosobowym.*
- (2) *W języku polskim **kot** ulega antropomorfizacji.*

W obu wypadkach mamy wszak do czynienia z odmiennym rozumieniem pojęcia *język polski*. Najogólniej można powiedzieć, że zdanie pierwsze odnosi się do modelu systemu, w który wyposażony jest każdy mówiący po polsku, i powstało w wyniku dość skomplikowanego rozumowania, przy którym brano pod uwagę wiele użyć rzeczowników w akceptowalnych ciągach empirycznych. Ciągi te były podstawą procedur falsyfikacyjnych. Zdanie drugie natomiast jest jedynie potwierdzeniem pewnych obserwacji – tych mianowicie, iż słowo *kot* w tekstach polskich wchodzi w związki wyrazowe z takimi samymi słowami, z którymi związki tworzą wyrazy określające ludzi. Trudno jednak wyprowadzać z tych danych wniosek, iż w modelu polskiego systemu językowego jednostka *kot* powinna mieć strukturę semową bardziej zbliżoną do struktury jednostki *człowiek* niż do struktury jednostki *borsuk* (czy szerzej – tych rzeczowników odnoszących się do zwierząt, które nie współwystępują z przymiotnikami takimi jak *falszywy*).

Większość badaczy językowego obrazu świata nie chce zapewne postulować struktury znaczeniowej rzeczownika *kot* bliższej rzeczownikowi *człowiek* i bardziej odległej od struktury znaczeniowej rzeczownika *borsuk*. Skłonni są oni jednak przyjąć, że różnica pomiędzy połączeniami, z którymi występuje rzeczownik *kot*, i tymi, z którymi występuje rzeczownik *borsuk*, wynika stąd, że inny jest językowy obraz kota, a inny – językowy obraz borsuka. Wtedy powstaje jednak pytanie, gdzie tego językowego obrazu świata szukać.

W czasie opracowywania tego szkicu raz jeszcze przejrzałem główne stanowiska badaczy w sprawie ujmowania językowego obrazu świata. Pomijam w tym miejscu pozostające pod wpływem psychologizmu poglądy filozofów i językoznawców niemieckich, a skupiam się na ujęciach językoznawców polskich uczestniczących w organizowanych od kilkunastu lat konferencjach z cyklu „Język a kultura”.

Podejrzewam, że wspólną częścią wszystkich znanych mi ujęć jest to, iż językowy obraz świata to sposób ujmowania świata dający się wyczytać z faktów językowych. Mówi się też w większości opracowań, że ów sposób jest utrwalony w systemie językowym (por. Grzegorzycowa, 1999, s. 41; Bartmiński,



1999, s. 103). Trudno wszakże się doszukać, w którym miejscu systemu językowego owo utrwalenie mogłoby zostać usytuowane. Niedosyt tego rodzaju odczuwają też badacze mający na polu rekonstrukcji językowego obrazu świata niemałe osiągnięcia. Jolanta Maćkiewicz zadaje sobie szereg bardzo istotnych pytań, na które nie znajduje satysfakcjonujących odpowiedzi (por. Maćkiewicz, 1999, s. 47–49). Pyta m.in. o to, jaki jest status ontologiczny językowego obrazu świata i kto jest jego nosicielem. Jej rozważania przynoszą pewne odpowiedzi na tak postawione pytania, zgodzić się jednak trzeba, że próby te nie są jeszcze satysfakcjonujące.

Za dość ciekawe i obiecujące moglibyśmy uznać ujęcie zaproponowane przez Michaela Fleischera (por. np. Fleischer, 2000: 65–66), który językowy obraz świata sytuuje w obrębie konstruktu pojęciowego nazwanego przez siebie drugą rzeczywistością. Przypuszczać można, że moją próbę rozwiązania problemu, zaproponowaną w dalszych partiach tego tekstu, odczytać można jako zbieżną z intuicjami Fleischera. Aczkolwiek po zapoznaniu się z jego rozważaniami na temat drugiej rzeczywistości (por. Fleischer, 2008) mam wątpliwości, czy przypadkiem, mówiąc o zbieżnościach, nie narzucam swojej własnej konkretyzacji dość metaforycznej, a przez to wieloznacznej wizji wrocławskiego badacza. Ta uwaga dotyczy zresztą wszystkich rozważań powstałych w duchu konstruktywizmu. Po ich rozważeniu w umyśle tradycyjnego racjonalisty powstaje jeszcze więcej wątpliwości. Być może jednak jest to podstawowy cel, który przyświeca działalności konstruktywistów.

Z dotychczasowych rozważań wynika więc, że w dalszym ciągu nie wiemy, gdzie szukać językowego obrazu świata. Jeśli tak jest, to tak naprawdę nie wiemy też, co jest przedmiotem obserwacji tych językoznawców, którzy badają językowy obraz świata. Jak już jednak powiedziałem, wyprowadzenie z tego stanu rzeczy wniosku, iż badania językowego obrazu świata nie należą do racjonalnej lingwistyki, byłoby zgodą na zubożenie refleksji nad językiem naturalnym. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że stereotypy odgrywają w życiu społeczeństw bardzo dużą rolę. Namawianie językoznawców do porzucenia refleksji na temat sposobów przechowywania i przekazywania stereotypów w imię metodologicznego puryzmu nie wydaje mi się dzisiaj właściwe. O wiele bardziej pożyteczne byłoby zastanowienie się nad racjonalną odpowiedzią na pytanie, jaki przedmiot opisują ci badacze, którzy rekonstruują z tekstów obrazy fragmentów rzeczywistości i opatrują je przydawką *językowy*.

Wydaje się, że bardzo cenną wskazówkę naprowadzającą na trop w miarę satysfakcjonującej odpowiedzi znajdziemy w przywołanym w poprzednim rozdziale tej części książki systemie filozoficznym Poppera. Jak pamiętamy, postuluje on wprowadzenie do refleksji filozoficznej trzech sfer, które nazywa obrazowo trzema światami. Pierwszy z nich to świat **materialny**. Należą do niego przedmioty, które są punktem wyjścia procesu poznawczego człowieka.



Drugi świat należy do sfery **myśli**. Można go rozpatrywać jako wytworzony przez człowieka obraz psychiczny świata pierwszego, który jest wytworem procesu poznawczego człowieka. Istnieje jednak – zdaniem Poppera – jeszcze świat trzeci, czyli świat wytworzonych przez ludzkość sądów na temat świata pierwszego i drugiego. Można go przedstawić jako swoistą bibliotekę, która jest pełna tekstów naukowych, literackich, kulturowych. Teksty te są wytworem ludzi, ale stają się niezależne – każdy wszakże może z nich korzystać. Są one ogólnoludzką skarbnicą.

Rewidując swoje dotychczasowe poglądy na temat języka i językoznawstwa, przyjmuję z pokorą krytykę Poppera, który zarzucał wielu badaczom, iż często przywiązywali oni zbyt dużą wagę do drugiego świata, nie zauważając zupełnie tego wszystkiego, co dzieje się w świecie numer trzy. Wydaje się, że w językoznawstwie to niekorzystne rozłożenie akcentów najbardziej uwidoczniło się w generatywizmie. Na dobrą sprawę niewiele obchodziły go zmagazynowane teksty. Można przy tym zauważyć, że krytyka paradygmatu generatywnego przez zwolenników kognitywizmu czy komunikatywizmu także bazuje na rozróżnieniu zaproponowanym przez Poppera, choć w sposób eksplicytny go nie wprowadza.

W moim przekonaniu w dalszym ciągu podstawowym zadaniem językoznawcy jest skonstruowanie modelu języka, który jest elementem świata numer dwa. Język ten jest wszakże powiązany z tekstami kultury, które funkcjonują w świecie trzecim. Refleksja nad tym, jakie konwencje komunikacyjne (dyskursy) wyczytać można z tego świata, nie może nie być udziałem językoznawców. W ramach tych dyskursów funkcjonują różne wizje świata ukształtowane m.in. za pomocą stałych zbitek słownych. Kiedy zatem językoznawca przegląda zasoby tekstowe trzeciego świata, nie rekonstruuje językowego obrazu świata pierwszego, ale kataloguje świat trzeci. Można zatem najwyżej powiedzieć, że w katalogu tym zawarte są pewne sugestie na temat niektórych elementów pierwszego świata. Kiedy jednak lingwista ułoży te sugestie i przedstawi w postaci sugestywnego zestawu cech jakiegoś fragmentu rzeczywistości, tworzy on obraz świata – nie jest to wszakże obraz językowy, ale **językoznawczy**, tj. skonstruowany przez językoznawców.

W dalszym ciągu nie mamy jednak jeszcze odpowiedzi na najtrudniejsze pytanie: jak językoznawczy obraz świata ma się do języka, który jest elementem świata drugiego. Wydaje się, że implicytna wiedza o tym, jak stereotypizuje się elementy pierwszego świata, nie jest składnikiem kompetencji językowej, ale kompetencji **komunikacyjnej** (por. Grabias, 1997), która też należy do świata numer dwa. Najważniejszymi składnikami kompetencji komunikacyjnej są dyskursy, które postrzegam jako konwencje tworzenia tekstów (por. rozdział pierwszy tej części książki). Zakładam przy tym, że członek danej wspólnoty fatycznej niektóre dyskursy opanował w sposób czynny, tj. potrafi tworzyć

i odbierać teksty w tych konwencjach, inne opanował natomiast w sposób bierny, potrafi tylko teksty odbierać. W każdej konwencji wśród przepisów tworzenia optymalnych tekstów znajdują się też sugestie o charakterystycznych dla tych konwencji połączeniach słownych i stereotypach.

Żeby przedstawić to w sposób obrazowy, posłużę się dwiema przeciwstawnymi konwencjami dyskursywnymi: wymaginowanym dyskursem miłośników kotów i wymaginowanym również dyskursem zagorzałych ich przeciwników. W językoznawczym obrazie kota odczytanym z dużej porcji przypadkowo zebranych tekstów ukazane zostaną zarówno pozytywne, jak i negatywne cechy tego zwierzęcia. Zauważmy jednak, że cechy pozytywne pojawią się tylko w tych tekstach, które powstały w wyniku zastosowania konwencji dyskursywnej miłośników kotów, a cechy negatywne – w tekstach, które powstały w wyniku zastosowania konwencji dyskursywnej przeciwników kotów. Oba dyskursy są komplementarne, zbudowany bez wstępnych założeń językoznawczy obraz kota jest natomiast sumą wszystkich wyczytanych z tekstów jego cech.

Z powyższego akapitu wynika zatem postulat, by porządkowanie zbiorów tekstowych zawartych w trzecim świecie było uzależnione od wiedzy o kompetencji komunikacyjnej członków danej wspólnoty fatycznej. Warto dodać, że w praktyce badawczej postulat ten jest od dawna realizowany, ponieważ najczęściej, gdy pisze się o elementach obrazu świata, ogranicza się zakres analizowanych tekstów. Analizuje się zatem pieśni ludowe, prasę młodzieżową, teksty wystąpień polityków itp., uzależnia się zatem obrazy świata od dyskursu, zupełnie niepotrzebnie umieszczając w tytułach prac przed słowem *obraz* przydawkę *językowy*.

Zdaję sobie sprawę, że opublikowanie tych rozważań nie spowoduje radykalnej zmiany, jaką byłoby nieużywanie w przyszłych pracach przydawki *językowy*. Językoznawcy przywykli do przebywania w swoich małych grupkach. Argumentacja badaczy należących do innych grup rzadko wpływa na zmianę dotychczasowych zwyczajów. Cały czas jesteśmy wyznawcami mitu schematu pojęciowego. Zapytać jednak warto, czy badający obrazy nie byłiby skłonni zamiast przydawki *językowy* używać w swoich pracach określenia *lingwistyczny*. Nawet nie z powodów, które starałem się przedstawić w tym rozdziale, ale choćby po to, żeby polski termin stał się bliższy angielskiemu odpowiednikowi, wymienianemu często wśród słów kluczowych.

## Stereotyp stereotypu językowego

W znanym eseju popularnonaukowym Bogdan Walczak (2003) przypomina wiele faktów z różnych języków, stawiając na wstępie tezę, iż każdy język narodowy jest narzędziem, tworzywem i składnikiem kultury jego użytkowników.

Teza ta we współczesnym językoznawstwie jest bardzo mocno ugruntowana. Podejrzewam, że akceptują ją badacze usytuowani w bardzo różnych paradygmatach współczesnej lingwistyki. W podrozdziale tym do niej nieustannie nawiązuję. Zadaniem, które sobie wyznaczyłem, jest znalezienie pewnego rodzaju filozoficznego jej umocowania.

Zacznę jednak od pewnej konstatacji, która może się na pierwszy rzut oka wydać rozbieżna z tą tezą. Gdybyśmy szukali dziś odpowiedzi na pytanie, czemu służy język, z pewnością zaczęlibyśmy od obiegowej opinii, że służy on komunikacji między członkami danej wspólnoty fatycznej. Stąd już blisko do ustaleń dzisiejszej pragmatyki językoznawczej, a także do poszukiwania ram komunikacyjnych, kontekstów, dyskursów, stereotypowych definicji sytuacji, stereotypów ukrywających się w języku, a więc do czegoś, co nazywa się w naszej lingwistyce językowym obrazem świata. Istnieje wszak bardzo wpływowa grupa badaczy z Chomskym na czele, a więc z lingwistą prawdopodobnie najczęściej cytowanym w pracach naukowych, która na pytanie, czemu służy język, odpowiada sobie, że jest narzędziem **formułowania myśli**. Podstawowym zaś zadaniem językoznawstwa jest udowodnienie przyjętej za pewnik tezy, że narzędzie to można określić przydawką *optymalne* (por. np. Chomsky, 1986, 1999). Szerzej rozważamy tę kwestię w końcowych partiach tej książki.

Przy dość ortodoksyjnym odczytaniu tezy Chomsky'ego można uznać, że ta druga grupa lingwistów jest przeciwna rozszerzaniu obszaru lingwistyki o pragmatykę językową, a tym bardziej o doszukiwanie się w języku stereotypów, które rzutują w największym bodaj stopniu na tzw. językowy obraz świata. Skoro język jest narzędziem formułowania myśli, to trzeba założyć, że narzędzie to musi bazować na zestawie cech uniwersalnych, wspólnych dla wszystkich przedstawicieli ludzkiego gatunku. Takie z kolei postawienie sprawy wymaga odżegnania się od wszelkich sugestii o narzucaniu przez narzędzie językowe ludzkiemu myśleniu pewnych utartych schematów i stereotypów. Istnieje spora grupa badaczy, która po przyjęciu podstawowych założeń uniwersalistycznego spojrzenia na język odrzuca całkowicie jego wpływ na myślenie i poznanie. Inna, mniej radykalna grupa skłonna jest przyjąć, że ci, którzy głoszą, iż język wpływa na poznanie, formułują tezy spoza nauki o języku. Być może tak jest, ale nie jesteśmy w stanie w racjonalny sposób tego udowodnić – tak samo zresztą jak nie jesteśmy w stanie dowieść, że językowe narzędzie zupełnie nie determinuje naszego sposobu postrzegania świata. Takiego stanowiska broniłem ponad dwadzieścia lat temu w książce JR.

Przełamując mit schematu pojęciowego, warto zadać sobie po raz kolejny pytanie, jak pogodzić myślenie o języku w duchu generatywistycznym z myśleniem o języku w duchu etnolingwistycznym, kulturoznawczym i komunikologicznym. Jest to być może sposób na wyeksplikowanie odmiennych założeń z dziedziny należącej do filozofii językoznawstwa.

Zanim do tego przejdziemy, warto zatrzymać się na pewien czas na rozważeniu problemu stereotypu, w szczególności stereotypu językowego. Jest przy tym sprawą oczywistą, że nie uda się omówić tu w sposób wyczerpujący całość rozległej problematyki, której poświęca się wiele uwagi już od dziewięćdziesięciu lat, tj. od czasu, kiedy Walter Lippman ogłosił swoją pracę o opinii publicznej (por. Lippman, 1922). Jej trzecia część (rozdziały VI–X) poświęcona została stereotypom jako matrycom w naszych głowach, bez których nie możemy się obyć w czasie naszych relacji z innymi uczestnikami życia społecznego. Od tamtej pory o stereotypach napisano bardzo wiele. Zastanawiać się więc raczej będziemy nad stereotypem stereotypu. Nawet ta stereotypowa wizja stereotypu okaże się pomocna, by uchwycić sedno sprawy, a więc znaleźć satysfakcjonujące wytłumaczenie filozoficzne odmiennych podejść do kwestii relacji pomiędzy językiem i myśleniem.

Jako rodzaju najbliższego (*genus proximum*) w definicjach stereotypu używa się prawie zawsze pojęcia *konstrukcja myślowa* (lub jego ekwiwalentów). Następnie się dodaje, że w komponencie poznawczym stereotypu zawarte są fałszywe bądź iluzoryczne przeświadczenia na temat jakiegoś elementu rzeczywistości. Od dawna zauważano, że procesowi stereotypizacji poddawane są przede wszystkim grupy społeczne i narodowe. Analizować więc można polski stereotyp Niemca, Żyda, obcego, blondynki. O stereotypach mówi się jednak nie tylko w odniesieniu do grup etnicznych, rasowych czy płciowych, ale też w wypadku innych elementów rzeczywistości, np. kota, kamienia szlachetnego, księżycy, wiosny, jeśli można znaleźć wystarczające przesłanki, iż są one przedmiotem pewnej zbiorowej konstrukcji myślowej, która zawiera iluzoryczne przeświadczenia o ich własnościach (np. o kocie, że jest fałszywy, cokolwiek by to znaczyło) i nie poddaje się w żaden sposób falsyfikacji empirycznej. Więcej – stosunkowo niedawno Ewa Bobrowska (2007) analizowała dyskurs radiomaryjny z punktu widzenia zawartości w nim stereotypowych definicji sytuacji. Przejrzała neutralne – wydawać by się mogło – serwisy informacyjne mediów radiomaryjnych. Postronny obserwator po kilku zdaniach przeczytanych nie miałby zapewne kłopotu z odróżnieniem informacji kolportowanych przez „Gazetę Wyborczą” od informacji publikowanych przez „Nasz Dziennik”. W pragmatyce językoznawczej, a w szczególności w analizie dyskursu, poszukuje się narzędzi, które mogłyby odpowiedzieć na pytanie, na czym bazują intuicje owego postronnego obserwatora, który tak łatwo radzi sobie z odnajdywaniem źródła przeczytanych tekstów informacji. W książce Bobrowskiej o dyskursie radiomaryjnym takim narzędziem są stereotypowe definicje sytuacji. I tak tekst informacji radiomaryjnej o strajku w jakimś zakładzie będzie miał w tle definicję sytuacji, zgodnie z którą obcy kapitał chce zniszczyć nasz rodzimy, a strajk ma do tego nie dopuścić. W kilkuzdaniowej informacji w „Naszym Dzienniku” można znaleźć wiele wskazówek, że jej

autor przyjmuje za pewnik taką definicję sytuacji, w tekście informacji z „Gazety Wyborczej” śladów tej definicji sytuacji czytelnik natomiast nie znajduje.

W naturalny sposób rodzi się przy tym pytanie natury metodologicznej – jakim mianowicie sposobem można rekonstruować istniejące w naszych umysłach stereotypy, tj. konstrukcje myślowe, jakie są procedury ich odkrywania? Nie ulega wątpliwości, że o istnieniu w naszej zbiorowej świadomości tego, a nie innego stereotypu świadczą wytwarzane teksty. Są one albo bezpośrednimi odpowiedziami na pytania badacza, co np. badany sądzi na temat osób, które urodziły się pomiędzy 23 października a 21 listopada, albo też badacz może analizować wiele różnych tekstów i szukać w nich potwierdzenia i modyfikacji wcześniej przyjętych na mocy intuicji hipotez o istnieniu stereotypu osób urodzonych pod znakiem Skorpiona.

Wśród napotkanych tekstów z pewnością znajdują się takie, których autorzy bezpośrednio charakteryzują osoby spod znaku Skorpiona. Korpus współczesnej polszczyzny zawiera m.in. następującą charakterystykę osób urodzonych pomiędzy 23 października a 21 listopada:

Skorpion to najsilniejszy ze wszystkich znaków zodiaku posiadający jednocześnie najtrudniejszy charakter. Skorpion cierpi na nadmiar energii życiowej. Uzewewnętrznia się to w jego wielkim dynamizmie, aktywności, sile ducha i charakteru. Działa z pasją i odwagą, ma nieustanną chęć działania. Zmaga się z życiem i uwielbia to. Jego żywioł to pokonywanie trudności. Swemu patronowi, Marsowi, zawdzięcza wojowniczość i agresywność. Jego przeżycia są zawsze skrajne, reakcje – gwałtowne. Cokolwiek robi, robi z namiętnością. Bystry i dociekliwy, ma ogromną intuicję. Przebiegły. Praca pochłania go całkowicie, wykonuje ją z pasją i wytrwale zmierza do celu – nie dla sławy ani kariery, lecz z autentycznego pragnienia działania. Bywa dobrym lekarzem, żołnierzem, naukowcem. Miewa zdolności artystyczne i literackie. Jest wspaniałym psychologiem. Mimo swego egocentryzmu i dumy Skorpion jest bardzo przywiązany do przyjaciół i potrafi im pomagać w potrzebie. W towarzystwie słynie z ciętego języka i autorytatywności. Niestety, Skorpion jest podejrzliwy i nieufny, bardzo pamiętliwy i pesymistycznie nastawiony do życia. Często – mściwy. Zdarza się też typ negatywny o tak brzydkich cechach, jak złośliwość, chytrność, despotyzm oraz skłonności do tyraństwa i okrucieństwa. Jednak zły czy dobry Skorpion nigdy nie jest nudny. W miłości namiętny i zachłanny. Posiada silnie rozwinięty seksualizm i trudno wytłumaczalny magnetyzm. Kieruje się wyłącznie emocją. Współżycie z nim jest trudne – jest humorzysty i zazdrosny, lubi dominować. Biada temu, kto go zrani. Skorpiony są zwykle bardzo atrakcyjne i pociągające. Ich uczucie bywa silne, głębokie i trwałe. Nie interesują się błahymi flirtami, „romansami za grosz”. Ich życie erotyczne zaczyna się zwykle wcześniej i trwa długo (<http://www.rhayader.art.pl/skorpion.html>).

Do rekonstrukcji stereotypu osób pochodzących spod znaku Skorpiona można podejść zupełnie inaczej. Szukaniem tropów ukrytych zajmuje się

pragmalingwistyka, która dysponuje wieloma bardzo czułymi narzędziami badania tekstów. Najważniejsze bowiem jest zbadanie nie tego, co łatwo w tekście zauważyć, nie tego, co jest bezpośrednio dane, bo to stwierdzić jest stosunkowo łatwo. Wystarczy tekst przeczytać. O wiele trudniej jest wysledzić to, co w tekście jest skryte, nieeksplicytne. Żeby wytropić tzw. wizualny przekaz podprogowy, trzeba dysponować odpowiednim instrumentarium, a żeby wytropić to, co jest podprogowe w tekstach, trzeba jakieś wrażliwe instrumentarium sobie skonstruować. W tekstach pozornie neutralnych można szukać częstych połączeń leksykalnych i na tej podstawie dochodzić do pewnych stereotypów, można przy tym odnajdywać pewne presupozycje, implikatury czy strategie perswazyjne.

Kiedy odstawimy jednak od dochodzenia do stereotypów na drodze parafrazy cudzych tekstów i zajmiemy się badaniem kolokacji ciągów tekstowych oraz zastosujemy inne wymienione wyżej procedury odkrywające, może pojawić się pokusa, by do pojęcia stereotyp dodać przydawkę *językowy*. Trzeba od razu powiedzieć, że dość duża grupa lingwistów (szczególnie w Polsce) takiej pokusie już uległa. W latach osiemdziesiątych poprzedniego stulecia mówiono o stereotypie jako przedmiocie badań lingwistycznych; w latach dziewięćdziesiątych zaczęła się przy terminie *stereotyp* pojawiać przydawka *językowy*. W dzisiejszych pracach z zakresu tzw. językowego obrazu świata ukształtował się już w zasadzie stereotyp stereotypu językowego. Połączenie *stereotyp językowy* stało się już stereotypem językowym w takim ujęciu, o jakim pisze Andrzej Maria Lewicki, tj. związkiem wyrazowym reprodukowanym z pamięci (Lewicki, 1976, s. 22–23). Ma on swoje znaczenie; to, które wyczytałem z przeróżnych ściąg egzaminacyjnych zawartych w internecie, da się ująć w następujących słowach:

Utrwalone na skutek powtarzania pewnych wyrażeń w stałych kontekstach, uogólniające przypisywanie jakichś właściwości wszystkim egzemplarzom danego zbioru.

lub:

Utrwalone w języku przekonania na temat cech jakichś obiektów.

Pierwsza, bardziej rozbudowana definicja przeznaczona jest dla studentów, ta druga dla licealistów.

W obu wypadkach ich autorzy uważają, że pojęcie stereotypu językowego jest oczywiste. Zauważmy jednak, że z dwunastego tomu prac z cyklu *Język a kultura* poświęconego stereotypom w językoznawstwie (por. Anusiewicz, Bartmiński (red.), 1998) wyraźnie wynika, że jeszcze kilkanaście lat temu



sprawa istnienia stereotypów językowych wydawała się wysoce dyskusyjna. Swietłana N. Tołstaja (1998) zauważyła, że o stereotypie językowym możemy mówić jedynie wtedy, gdy mamy do czynienia z możliwością formalnego scharakteryzowania pewnych wyrażen językowych jako stereotypowe – jej zatem interpretacja nie jest odległa od tej, którą podał wcześniej w swojej książce wspomniany wyżej Andrzej M. Lewicki. Jeśli natomiast zrezygnuje się z wymogu formalnej interpretacji, to wówczas dowolny stereotyp można uznać za językowy, bo przecież zawsze kiedyś zostanie on wyrażony słowami. Wprawdzie Jerzy Bartmiński (1998) stara się znaleźć argumenty za tym, że utrwalenie w języku odbywa się nie tylko na drodze formalnych relacji, nie wydaje mi się wszakże, by zarzut S.N. Tołstajowej w jego argumentacji został osłabiony. Przemawia za tym opublikowany w tym samym tomie artykuł Wojciecha Chlebdy (1998), w którym autor traktuje stereotypy jako zespolone konstrukty objawiające się w języku, myśleniu i działaniu. Dodajmy przy tym, że rozważania Chlebdy prowadzone są na tle dociekań filozoficznych, psychologicznych, socjologicznych i kulturoznawczych.

W moim jednak przekonaniu kluczem otwierającym drzwi na taras widokowy, z którego bardzo dobrze można dostrzec omawiane tutaj dylematy poznawcze, jest wspomniane już kilkakrotnie rozróżnienie dokonane przez Poppera (1972). Postuluje on wprowadzenie do refleksji filozoficznej trzech sfer, które nazywa obrazowo trzema światami, tj. materialnego świata numer jeden, myślowego świata numer dwa i świata numer trzy, czyli świata wytworzonych przez ludzkość sądów na temat świata pierwszego i drugiego. Można go przedstawić jako swoistą bibliotekę wypełnioną tekstami naukowymi, literackimi, kulturowymi. Jak już wspomniałem, teksty te są wytworem ludzi, ale stają się od swych twórców niezależne – każdy wszakże może z nich korzystać. Są one ogólnoludzką skarbnicą. Popper twierdzi przy tym, że wpływ świata numer trzy na indywidualny ludzki umysł (świat numer dwa) jest przynajmniej tak mocny jak wpływ świata numer jeden.

Mając na myśli to rozróżnienie, możemy przyjąć, że Lewicki, Tołstaja, a także Chlebda (pisząc o stereotypach lingwalnych) rozważali stereotypy językowe, które mieszczą się w świecie numer dwa. Są one związkami wyrazowymi reprodukowanymi z pamięci przez użytkownika języka, a język należy do wewnętrznego świata tego użytkownika.

Dzięki znajomości języka, który jest narzędziem formułowania myśli, ów użytkownik tworzy teksty będące składnikami świata numer trzy. Teksty te zawierają jego zwerbalizowane myśli. Wśród nich znajdziemy z pewnością takie, które odpowiadają naszej wstępnej definicji stereotypu. Kiedy poddamy jego teksty analizie za pomocą narzędzi wypracowanych przez pragmalingwistykę, pewne presupozycje, kolokacje czy implikatury będą świadczyć o tym, iż jego wyobrażenia niektórych elementów świata numer jeden są nazbyt uproszczone

i uogólnione. Po porównaniu tych wyobrażeń z wyobrażeniami zawartymi w tekstach innych użytkowników języka okaże się zapewne, że nasz badany nie jest w swoich poglądach osamotniony. W tekstach innych użytkowników znajdziemy te same (albo bardzo podobne) uproszczenia i uogólnienia. Powiemy zatem, że za pomocą narzędzi pragmalingwistycznych odkryliśmy stereotypy, ale przecież nienależące do dziedziny języka, ale do dziedziny myśli.

W wypadku badaczy, którym bliskie są poglądy głoszone przez ideologów gramatyki kognitywnej, a więc paradygmatu umocowanego w tym odłamie filozofii analitycznej, który nie widzi podstaw do oddzielania dziedziny myśli od dziedziny języka, można mówić o stereotypie lingwomentalnym (por. Chlebda, 1998), ale w takim ujęciu wszystkie stereotypy muszą mieć charakter językowo-myślowy. Tak czy inaczej, paradygmat ten nie stwarza żadnych podstaw do tego, by do określenia *stereotyp* dodawać przydawkę *językowy* w innych wypadkach niż te, o których pisze Lewicki. Dodawanie zaś przydawki *lingwomentalny* byłoby prawie takim samym nadużyciem jak pleonazm w rodzaju *akwen wodny*. W tekstach należących do świata numer trzy za pomocą naszych narzędzi pragmalingwistycznych odkrywamy po prostu **stereotypy**.

Dopowiedzieć koniecznie trzeba, że śledzenie za pomocą narzędzi pragmalingwistycznych stereotypów „podprogowych” ma bardzo głęboki sens. Jeśli zgodzimy się z Popperem, że wpływ świata numer trzy na indywidualny ludzki umysł (świat numer 2) jest przynajmniej tak mocny jak wpływ świata numer 1, to powinniśmy jednocześnie przyjąć, że o wiele bardziej niepokojące ze społecznego punktu widzenia są jednak te teksty, które „przemycają” stereotypy, niż te, w których otwarcie przedstawiane są konstrukcje myślowe uproszczone i jednocześnie uogólnione.

Mówiąc więc, że „język jest narzędziem formułowania myśli”, mówimy o języku ze świata numer trzy, mówiąc zaś, że „język narodowy jest narzędziem, tworzywem i składnikiem kultury jego użytkowników”, mamy na uwadze to oddziaływanie tekstów ze świata numer trzy na świat numer dwa, o którym mówi Popper. Uznać zatem trzeba, że przytoczone na wstępie tego podrozdziału opinie Walczaka i Chomsky’ego nie są kontradiktoryjne, ale komplementarne.



## O przedmiocie językoznawstwa genderowego

Obserwację danych językowych z punktu widzenia równości płci po raz pierwszy prowadziłem w bardzo amatorski sposób jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, tj. w czasie moich studiów ogólnojęzykoznawczych w holenderskim mieście Nijmegen. Gdy już trochę bardziej poznałem język holenderski, na koncercie chóru kościelnego usłyszałem, że tam, gdzie jest pronominalizacja słowa *God* 'Bóg', chór się wyraźnie dzieli, część chórzystek śpiewa nie *hij* 'on' czy *zijn* 'jego', ale *zij* 'ona' i *haar* 'jej'. W Polsce wtedy takich dwugłosów nie było, jeśli były jakieś dylematy, to raczej czy w *Boże, coś Polskę* śpiewać *ojczyznę wolną pobłogosław*, *Panie*, czy *ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie*. Ten dylemat niedawno znowu się objawił, natomiast dylematu *Panie* czy *Pani* wtedy nie było ani teraz u nas w kościołach nie ma i pewnie długo nie będzie.

Ta nieoczekiwana holenderska pronominalizacja sprowokowała mnie wówczas do zadania sobie szeregu akademickich pytań i lingwistycznych, i teologicznych. Te teologiczne dręczą mnie do dziś: Bóg nas stworzył na swoje podobieństwo, ale czy my nie za dużo swoich ludzkich cech chcemy przypisać Bogu, np. płęć. Te lingwistyczne, i to o wiele bardziej pogłębione, zadawali i zadają sobie niektórzy polscy językoznawcy, np.: Kwiryna Handke, Janusz Anusiewicz (Handke, Anusiewicz (red.), 1994), Małgorzata Karwatowska i Jolanta Szpyra-Kozłowska (Karwatowska, Szpyra-Kozłowska, 2005) czy Marek Łaziński (2006). Dzięki tym pytaniom i odpowiedziom, jakich sobie językoznawcy na nie udzielają, sam dla siebie mogłem zbudować pewien system myślowy. Jego konstrukcję przedstawiam w pierwszej części tego rozdziału.

Jak już wspomnieliśmy, w dzisiejszej humanistyce używa się słowa język w sposób dość dowolny. Na początku więc chcę wrócić do zaproponowanych

wcześniej rozróżnień. Język stanowi – co jest przewidywalną konstatacją – przedmiot badań lingwistyki, czyli językoznawstwa. Trzeba od razu powiedzieć, że istnieją dwie grupy lingwistów, którzy w sposób bardzo odmienny wyznaczają zakres swojego przedmiotu, tj. języka.

Zacznę od też może niezbyt odkrywczej konstatacji, ale – moim zdaniem – zawierającej bardzo ważne informacje, przydatne w dalszych rozważaniach. Przez ostatnie trzydzieści lat językoznawstwo niebawale się przeobraziło. Na początku mojej działalności, tj. na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych poprzedniego wieku, 90% prac językoznawczych stanowiły teksty z zakresu syntaktyki języka (nie składni, ale w ogóle gramatyki), 9% – prace z zakresu semantyki języka, a 1% prac dotyczyło pragmatyki. Dzisiaj natomiast prac z zakresu syntaktyki jest może 10%, z zakresu semantyki – 25%, a najczęściej (65%) dotyczy pragmatyki języka. Są to wyliczenia szacunkowe, sędzę jednak, że językoznawcy szacunkom tym skłonni są dać wiarę.

Znaczy to, że wcześniej językoznawcy ustalali reguły syntaktyczne dotyczące formalnych relacji między znakami, potem skupili się na znaczeniu tych znaków, by obecnie główny nacisk kłaść na relacje pomiędzy nadawcą i odbiorcą a komunikatem, a więc zastanawiać się nad problemami związanymi z funkcjonowaniem języka w procesie komunikacji. Zmiany te wiążą się z innymi procesami zachodzącymi i w nauce, i w kulturze.

W samym językoznawstwie natomiast zmiany te spowodowały pojawienie się dwóch odmiennych wizji przedmiotu badań lingwistycznych. Myślę przy tym, że żeby zrozumieć istotę obu wizji, warto znów sięgnąć do bardzo pomocnego rozróżnienia trzech światów zaproponowanego przez Poppera.

Przedmiot badań tych lingwistów, którzy opisują relacje syntaktyczne między znakami i badają semantykę znaków, należy do świata numer dwa, a więc świata wewnętrznego, mentalnego. Przedmiot badań tych lingwistów, którzy badają relacje pragmatyczne, mieści się natomiast w świecie numer trzy, czyli w wyprodukowanych tekstach. Nie zawsze językoznawcy zdają sobie sprawę z owej różnicy.

Jeśli zatem mówimy o kwestiach równego traktowania płci w języku, musimy odróżnić problemy pojawiające się w tekstach od problemów, które wynikają z języka jako składnika świata numer dwa. Jeżeli w tekstach podręczników do ćwiczeń szkolnych pojawia się polecenie: *Napisz w kilku zdaniach, co wczoraj robiłeś po południu* lub polecenie: *Omów problem z kolegą*, to trzeba wyraźnie powiedzieć, że przekroczone zostały tutaj zasady użycia języka. A może inaczej: zasady użycia języka, które stosuje autor obu poleceń, skazane są nierównym traktowaniem płci.

Tropieniem tego typu wykroczeń pragmatycznych nasza pragmalingwistyka jeszcze do niedawna się nie zajmowała. Teraz wiemy o nich coraz więcej. Jak już wspomnieliśmy w poprzednim rozdziale, pragmalingwistyka dysponuje

wieloma bardzo czułymi narzędziami badania tekstów. Potrafi przeanalizować nie tylko to, co jest w tekście bezpośrednio dane, ale też jest w stanie wytropić to, co w tekstach jest podprogowe.

W tekstach pozornie neutralnych można szukać częstych połączeń leksykalnych i na tej podstawie dochodzić do pewnych stereotypów, można szukać presupozycji, implikatur czy strategii perswazyjnych. W poprzednim rozdziale cytowałem pracę Bobrowskiej (2007), która przeanalizowała neutralne – wydawać by się mogło – serwisy informacyjne mediów radiomaryjnych. Postronny obserwator po kilku zdaniach przeczytanych nie miałby zapewne kłopotu z odróżnieniem informacji kolportowanych przez „Gazetę Wyborczą” od informacji publikowanych przez „Nasz Dziennik”. W pragmatyce językoznawczej, a w szczególności w analizie dyskursu, poszukuje się narzędzi, które mogłyby odpowiedzieć na pytanie, na czym bazują intuicje owego postronnego obserwatora, który tak łatwo radzi sobie z odnajdywaniem źródła przeczytanych tekstów informacji. W książce Bobrowskiej takim narzędziem są stereotypowe definicje sytuacji.

Być może stereotypowa definicja sytuacji byłaby skutecznym narzędziem pozwalającym deszyfrować te grupy tekstów, w których zakłada się wyższość płci. Nie twierdzą przy tym, że dotychczasowe narzędzia nie są skuteczne. Wydaje się, że wszystkie stosowane w pragmatyce językoznawczej narzędzia powinny być komplementarne. Znalezienie w jakimś tekście pewnych „podprogowych” informacji seksistowskich jedną metodą powinno iść w parze z zastosowaniem do analizy tego samego tekstu innego instrumentarium. Jeśli więc odkryjemy w tekście podręcznika, że jego autor nie przestrzega rodzajowych wykładników równości płci, tworząc zdania typu *Opowiedz koledze, jak spędziłeś wakacje*, możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że w tekście znajdują się ślady stereotypowych definicji sytuacji bazujących na dominacji płci męskiej.

## Nazwy zawodowe kobiet

Oprócz badań pragmatycznych można na kwestie równości płci spojrzeć także z punktu widzenia tego języka, który jest składnikiem świata numer dwa. Świat ten nie jest dostępny naszej bezpośredniej obserwacji, a więc język możemy traktować również jako pewną abstrakcję. To, że on jest, wynika z faktu, iż potrafimy tworzyć teksty. Jak jednak ten język jest zbudowany, nie wiemy. Językoznawstwo wypracowało wszak wiele dróg do konstruowania czegoś, co się nazywa modelem języka, a więc prawdopodobnym jego wizerunkiem, odbiciem. Takich modeli można zresztą konstruować wiele; jedne będą lepsze, inne gorsze, ale wciąż będą to tylko modele.

Model języka, który jest mi bliski, przedstawiłem na początku tej książki za pomocą analogii do komunistycznej fabryki. Wytwórnia taka produkuje bardzo dużo różnych prefabrykatów, bo tak ma zaprojektowane linie produkcyjne i nie przejmuje się tym, czy jest na te produkcje zbyt, czy nie. Produkuje więc prefabrykaty, które są często używane w czasie konstruowania tekstów, ale też produkuje takie prefabrykaty, które potem zalegają w magazynach, np. ciąg *kiwi kiwi kiwi* – bo skoro produkować mamy ciąg *człowiek człowiekowi człowiekiem*, to powinniśmy też produkować ciąg *małpa małpie małpą*. A skoro produkujemy ten ostatni, to dlaczego nie produkować ciągu *marchew marchwi marchwią*, skoro produkujemy ciąg *marchew marchwi marchwią*, to czemu nie produkować ciągu *kiwi kiwi kiwi*? Z tego, że ostatniego produktu nikt nie kupi, dyrektor fabryki nie robi wielkiego problemu.

Dyrektor fabryki jest zupełnie nieczuły na potrzeby społeczne i nie chce modyfikować linii produkcyjnych, żeby wytwarzać nowe warianty. Z pewnością wielokrotnie zdarzały się sytuacje, gdy jeden domownik słyszał dzwonek i otwierał drzwi, witał się z osobą płci żeńskiej, a drugi domownik, który akurat był chory i leżał w łóżku, słysząc kobiecy głos, nie mógł zapytać: *Kto przyszła?*, gdyż takiego prefabrykatu nie produkował język, musiał zatem zapytać: *Kto przyszedł?* W fabryce językowej zostało bowiem przewidziane, że można produkować tylko takie ciągi, w których zaimek *kto* narzuca sąsiadującemu czasownikowi tzw. rodzaj męski.

Tym sposobem zbliżyliśmy się do głównego problemu, który chcę poruszyć w tym rozdziale. Postawić należy bowiem pytanie, czy na podstawie wiedzy o lingwistycznych rekonstrukcjach języka jako składnika świata numer dwa, tj. modeli języka, można mówić o tym, że już sama fabryka językowa wytwarza takie prefabrykaty, które naruszają personalistyczną zasadę równości płci – prefabrykaty, dodajmy, które muszą zostać użyte przez tworzących polskie teksty, bo innych fabryka nie dostarcza. Ciąg *kto przyszedł?* jest z pewnością dla wielu dobrym argumentem świadczącym na rzecz twierdzącej odpowiedzi na to pytanie.

Kontrargumentem może być jednak fakt, że tego samego ciągu użyje nasz chory domownik także wtedy, gdy usłyszy głosy dwóch mężczyzn, dwóch kobiet, mężczyzny i kobiety, dwojga dzieci. Można więc przyjąć, że rodzaj męski narzucany przez zaimek *kto* ma wyłącznie charakter syntaktyczny – tak jak liczba pojedyncza. Dobrze, ale dlaczego jest to rodzaj męski? Czy nie mógł to być rodzaj nijaki – tak jak w wypadku *co (co przyszło?)*? Do tych pytań powrócę na końcu tego rozdziału.

Teraz bowiem chciałbym przejść do kwestii, które najczęściej są dyskutowane w ostatnich latach, tj. tzw. męskich form zawodów wykonywanych przez kobiety. Nazwy zawodów (*psycholog, pedagog*), funkcji (*profesor, prezes*), a także nazwiska typu *Szewczyk, Stanek* od dawna wywołują sporo emocji. Początkowo zwracano uwagę na dziwność konstrukcji typu *Szewczyk lubi*

*Stanek*. Od pewnego czasu pojawia się w refleksji językoznawczej i w publicystyce nowa kontrowersja.

Wychodząc z założenia, że seksizm może przejawiać się w systemie językowym m.in. przez asymetrię (tj. stosowanie formy męskiej zarówno do określania mężczyzn, jak i jako formy gatunkowej; por. Goddard, Patterson, 2000), niektórzy autorzy uznali, że skutecznym rozwiązaniem byłoby wprowadzanie do obiegu form typu *psycholożka, prezeska*. U podstaw takiego rozumowania widzieć można dość nieporadny model systemu językowego, w którym wyróżnia się jedną jednostkę leksykalną *psycholog* i przyjmuje jednocześnie, że jeżeli jest mowa o mężczyźnie lub o abstrakcyjnym zawodzie, używa się form fleksyjnych z deklinacji męskiej (*psychologa, psychologiem*), jeśli natomiast mowa jest o kobiecie, używa się jedynie jednej formy mianownikowej, dodając niekiedy przed nią ciąg foniczny *pani*. Lepiej więc będzie, jeśli ożywimy mechanizmy słowotwórcze języka i zasadę relacji słowotwórczej widoczną w parze *aktor : aktorka* upowszechnimy w fabryce językowej, która będzie produkować zarówno prefabrykat *prezes*, jak i *prezeska, psycholog* i *psycholożka*.

Nie jest to sytuacja idealna – Angela Goddard i Lindsey Mean Patterson uważają, że seksizm w systemie językowym przejawia się również w tym, że są terminy nacechowane i nienacechowane, przy czym forma męska jest nienacechowana i stanowi podstawę formy żeńskiej nacechowanej. Taką relację mamy przecież w parze *prezes : prezeska*. Może to zostać jednak uznane za przejaw seksizmu mniejszej wagi niż używanie tej samej jednostki na określenie kobiety i mężczyzny. Dlatego już nawet w potocznej świadomości uważa się językoznawców zajmujących się równością płci za takich badaczy, którzy propagują formy typu *prezeska*.

Przeciwko takiemu pogładowi protestują przede wszystkim językoznawcy konserwatywnie myślący. Posługują się przy tym argumentem, iż wprowadzanie do języka zmian nie powinno mieć miejsca. Język jest bowiem narzędziem samoregulującym się. Jeśli odwołamy się do przedstawionej tu wizji języka jako komunistycznej fabryki, to trzeba powiedzieć, że ta samoregulacja postępuje w języku bardzo opornie.

Formy typu *prezeska* nie podobają się też wielu badaczom popierającym feministyczny punkt widzenia. Jak wynika z badań Marty Dąbrowskiej (2008), kobiety często też tych form nie akceptują. Małgorzata Warchoń-Scolltman (2006), a także Katarzyna Paprzycka (2008) uważają, że nazwy typu *psycholog* czy *prezes* nie odnoszą się bezpośrednio do osób, ale są nazwami zawodów i funkcji. Paprzycka dostrzega tu wszakże brak równowagi. Jeżeli założymy, iż obok nazwy gatunkowej *psycholog* powinna istnieć nazwa osoby płci żeńskiej wykonującej zawód psychologa *psycholożka*, to powinniśmy – jej zdaniem – postulować, by włączyć do naszego słownika także nazwę osoby płci męskiej wykonującej zawód psychologa, tj. *psycholożek*. Choć szans

na utrwalenie się w zwyczaju językowym takich rozróżnień w moim przekonaniu nie ma, trzeba zauważyć, że jest to propozycja, która nie jest wolna od nierównego traktowania płci – Gaddard i Patterson podają w swojej pracy jeszcze trzeci wykładnik językowy seksizmu, tzw. seksizm semantyczny. Mamy z nim do czynienia wtedy, gdy nazwa równoległa wyraża także treści pogardliwe i ośmieszające. Właśnie *psycholożek* czy *lekarek* różnią się od *psycholożki* albo *lekarki* ładunkiem takich pejoratywnych treści.

Wspomniałem wcześniej, że pomysł wprowadzania nazw typu *psycholożka* bazuje na dość nieporadnym modelu systemu językowego, w którym wyróżnia się jedną jednostkę leksykalną *psycholog* i przyjmuje jednocześnie, że jeżeli jest mowa o mężczyźnie lub o abstrakcyjnym zawodzie, używa się form fleksyjnych z deklinacji męskiej (*psychologa*, *psychologiem*), natomiast jeśli mowa o kobiecie, stosuje się jedynie jedną formę mianownikową. Zastanówmy się zatem, czy takiemu modelowi możemy przeciwstawić jakiś inny model, bardziej wyrafinowany.

Wydaje się, że nie musimy wcale daleko szukać. Jeżeli bowiem przyjmujemy założenia słowotwórstwa synchronicznego, wyłożonego m.in. w morfologicznym tomie *Gramatyki współczesnego języka polskiego* (Grzegorzczkowska, Laskowski, Wróbel (red.), 1984), to z łatwością odnajdziemy w nim, że w relacji pomiędzy jednostką *psycholog* i jednostką *psycholożka* podstawą słowotwórczą jest *psycholog*, a derywatem – *psycholożka*, utworzona przy użyciu sufiksalnego formantu *-ka*. Powinniśmy też przyjąć w ramach tego modelu, że *psycholog* odnoszący się do psychologa płci żeńskiej to nie forma, ale osobna jednostka leksykalna. Wydzielamy w ten sposób w języku dwie jednostki leksykalne identycznie brzmiące. Jedna jednostka, nazwijmy ją PSYCHOLOG1, zawiera wśród swoich form m.in. ciąg *psychologa*, *psychologowi*. Druga jednostka, PSYCHOLOG2, też zawiera formy przypadkowe, z tym że wszystkie są identyczne (synkretyczne). Konstatujemy zatem, że pomiędzy jednostkami PSYCHOLOG1 i PSYCHOLOG2 zachodzi relacja słowotwórcza zwana derywacją paradygmatyczną. Obie jednostki różnią się bowiem przynależnością do odmiennych paradygmatów fleksyjnych, czyli wzorców odmiany. Jeżeli zatem za podstawę naszych dalszych dociekań genderowych posłużymy nam taki model języka, wówczas nasze wnioskowanie będzie w znacznym stopniu różniło się od wnioskowania, które wcześniej naszkicowałem.

Możemy wtedy powiedzieć, że w pewnym momencie kierownictwo naszej fabryki językowej zmieniło linię produkcyjną i zaczęło produkować dwa jednobrzmiące, ale różniące się od siebie zawartością form prefabrykaty. Ocenic to trzeba pozytywnie, bo wprawdzie wskazuje się przy derywacji paradygmatycznej na jednostkę motywowaną i motywującą, dla mnie jednak jest to bardziej relikw sówotwórstwa diachronicznego niż odkrywanie rzeczywistych relacji pomiędzy jednostkami leksykalnymi. Jeżeli popatrzymy na parę jednostek



DOBRY i DOBRO, pomiędzy którymi zachodzi właśnie relacja zmiany paradygmatu, to możemy zarówno konkludować, że jednostką motywującą jest DOBRO, jak i że jest nią DOBRY. Najlepiej więc mówić o motywacji wzajemnej. Skoro tak, to możemy powiedzieć, że PSYCHOLOG1 motywuje PSYCHOLOG2, a PSYCHOLOG2 motywuje PSYCHOLOG1. Fabryka językowa postąpiła zatem w dość nowatorski sposób, jeśli popatrzymy na nią z punktu widzenia badaczy równości płci.

Można oczywiście zapytać, dlaczego kierownictwo fabryki nie skorzystało z innej, bardziej świadczącej o trosce o równość płci relacji paradygmatycznej. Mogło przecież obok prefabrykatu PREZES nie produkować drugiego o identycznym brzmieniu, ale o brzmieniu trochę innym, mianowicie PREZESA. Pomędzy jednostkami PREZES i PREZESA też by zachodziła relacja paradygmatyczna, pierwsza należałaby do innego paradygmatu niż druga, przy czym druga należałaby bez żadnych wątpliwości do paradygmatu żeńskiego. Oczywiście jednostka PREZESA dziś wydaje się co najmniej dziwna. Jeżeli jednak wzorzec taki fabryka by wprowadziła, on by się upowszechnił i nikogo dzisiaj nie dziwił. Byłby naturalny i transparentny.

Powróćmy zatem do pytania, które sobie wcześniej zadaliśmy przy okazji jednostki *kto*. Zapytajmy, czy skoro dochodzimy do pewnych wniosków na podstawie modeli języka, możemy występować do kierownictwa fabryki językowej z postulatami przeróbek linii produkcyjnych. Jak już zauważyliśmy, pewne modyfikacje w tej fabryce się jednak dokonują – gdyby ich nie było, produkowałaby ona prefabrykaty stale takie same, a więc język by się nie zmieniał.

Z postulatami zmian w fabryce językowej bym jednak nie występował – i to z co najmniej dwóch powodów. Pierwszy ma charakter ogólnometodologiczny. Otóż powiedzieliśmy wcześniej, że nie jesteśmy w stanie rzeczywistego systemu językowego wytworzyć. Tym, co wytwarzamy, są jego prawdopodobne obrazy. Nie mamy pewności, że z następnego modelu, który się pojawi, będzie można wyciągnąć całkowicie odmienne wnioski od tych dzisiejszych. Zauważyliśmy też, że założenie innego modelu języka zmieniło naszą optykę na sprawę jednostek leksykalnych typu *psycholog*, charakteryzujących się całkowitym synkretyzmem form.

Drugi powód jest innej natury. Wydaje mi się, że oczekiwanie, by język produkował prefabrykaty neutralne z punktu widzenia równości językowej, łączyć trzeba z poglądem, że język należący do świata numer dwa wpływa na postrzeganie przez nas rzeczywistości. Pogląd ten jest mi całkowicie obcy. Jestem przeświadczony, że język jest jedynie narzędziem formułowania myśli. Od przewrotu kopernikańskiego minęło tyle czasu, że dziś już małe dzieci wiedzą, iż to Ziemia krąży wokół Słońca. Język wciąż jednak produkuje prefabrykaty typu *słońce skryło się za las*. Nie znam nikogo, komu ten prefabrykat tak by zawrócił w głowie, żeby poszedł słońca szukać za las. Prefabrykat

ten odbieramy jako zidiomatyżowany ciąg językowy. Wydaje mi się, że tak samo odbieramy zdanie *Psycholog lubi pedagoga* czy zdanie *Kto przyszedł?*. Nie percypujemy jego znaczenia w sposób dosłowny i nie doszukujemy się w nich ukrytych znaczeń czy presupozycji.

Trzeba natomiast wyraźnie powiedzieć, że poglądy nasze są uzależnione od tekstów, z którymi się spotykamy. Dlatego z punktu widzenia badania równości płci o wiele ważniejsze są efekty prac tych językoznawców, którzy zajmują się językiem jako składnikiem świata numer trzy. Znajdujące się w tekstach kolokacje, stereotypy, stereotypowe definicje sytuacji, presupozycje i implikatury bez wątpienia kształtują światopogląd odbiorcy. Dlatego bardzo ważne nie tylko z poznawczego, ale i społecznego punktu widzenia jest metodologicznie poprawne wyszukiwanie i opracowywanie tych wszystkich śladów, które świadczą o tym, że mówiący dyskryminuje innych członków wspólnoty faktycznej. Są to bowiem składniki przekazu „podprogowego”, który, powielany wielokrotnie, wywierać musi przemożny wpływ na nasze postrzeganie świata i naszą hierarchię wartości.

## Rodzaj gramatyczny w języku polskim i jego genderowe implikacje

Na początku tego rozdziału postawiłem tezę, że należy wyraźnie oddzielić badania tekstów od badań systemu. Teksty – oczywiście – wytwarzają i utrwalają w umyśle członka danej wspólnoty faktycznej wizję świata. Z tego też względu poszukiwanie w tekstach przejawów dyskryminacji płci ma doniosłe znaczenie i naukowe, i społeczne. Jeśli jednak idzie o sam system językowy, to problem – jak to wynika z analizy nazw zawodowych kobiet – wydaje się bardziej złożony.

W przywoływanej pracy Goddard i Patterson (2000) pokazują trzy mechanizmy językowe, które rzutują na nierówne traktowanie płci w języku: 1) asymetrię (tj. stosowanie formy męskiej zarówno do określania mężczyźni, jak i jako formy gatunkowej), 2) nacechowanie i nienacechowanie (forma męska jest nienacechowana i stanowi podstawę formy żeńskiej nacechowanej), 3) seksizm semantyczny (nazwa równoległa wyraża także treści pogardliwe i ośmieszające). Zwróćmy jednak uwagę, że rozważając budowę języka, nigdy nie mamy do dyspozycji abstrakcyjnego systemu, ale jakiś jego model, a więc przybliżony obraz wytworzony za pomocą żmudnych procedur językoznawczych. Dodać od razu trzeba, że modeli systemu językowego teoretycznie jest nieskończenie wiele, praktycznie zaś możemy mówić o kilku zajmujących ważne miejsca w obszarach badawczych poszczególnych języków. W zależności



od tego, jaki model języka będzie podstawą naszych rozważań genderowych, możemy formułować odmienne wnioski na temat nierównego traktowania płci.

W poprzednim podrozdziale wykazałem, że pomysł wprowadzania nazw typu *psycholożka* bazuje na dość nieporadnym modelu systemu językowego, w którym wyróżnia się jedną jednostkę leksykalną *psycholog* i przyjmuje jednocześnie, że jeżeli jest mowa o mężczyźnie lub o abstrakcyjnym zawodzie, używa się form fleksyjnych z deklinacji męskiej (*psychologa, psychologiem*), natomiast jeśli mowa jest o kobiecie, używa się tylko jednej formy mianownikowej.

W tym podrozdziale przedmiotem swoich rozważań czynię polski rodzaj gramatyczny, a w zasadzie kilka jego odmiennych koncepcji. Zastanawiam się zatem nad genderowymi implikacjami ujęcia tradycyjnego, które bazuje na następującym zdaniu:

*W języku polskim są trzy rodzaje rzeczownika: męski, żeński i nijaki.*

Następnie rozważam dwie odmienne koncepcje wyodrębniające pięć rodzajów. Pierwszą charakteryzuje najlepiej sąd:

*W języku polskim rodzaj rzeczownika uzależniony jest od jego liczby; w liczbie pojedynczej przybiera on albo rodzaj męski, albo rodzaj żeński, albo rodzaj nijaki; w liczbie mnogiej przybiera on albo rodzaj męskoosobowy, albo rodzaj niemęskoosobowy.*

Druga bazuje na następującym założeniu:

*W języku polskim jest pięć rodzajów rzeczownika: męskoosobowy, męskożywotny, męskonieżywotny, żeński i nijaki.*

Wszystkie dane empiryczne, które spowodowały odejście od koncepcji trójrodzajowej, udało mi się tak ułożyć, iż powstała nowa koncepcja zakładająca istnienie trzech podstawowych rodzajów w opisie gramatycznym języka polskiego. Pisałem o tym szerzej w kilku artykułach (por. Bobrowski, 2006, 2007, 2009).

Z każdej z tych koncepcji da się wyprowadzić zasadniczo odmienne tezy na temat narzucania przez system językowy nierównego traktowania płci. W dalszych partiach tego podrozdziału przedstawiam krótko zarówno te koncepcje rodzajowe, jak i ich implikacje genderowe.

W tzw. tradycyjnym ujęciu kategorii rodzaju przyjmuje się, że w języku polskim są trzy rodzaje: męski, żeński i nijaki. Trudno, by koncepcja ta mogła prowadzić do powstania jakichkolwiek podejrzeń, że rodzaj gramatyczny w języku

polskim sprzyja nierównemu traktowaniu płci. Jedyne, co może budzić niepokój, to kolejność rodzajów w gramatyce. W tym wszakże wypadku nie sam język jako element Popperowskiego świata numer dwa jest narzędziem dyskryminacji, ale gramatyka języka, a więc wytwór ludzkiej myśli (czyli składnik Popperowskiego świata numer trzy).

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat znaleziono wiele danych empirycznych, na podstawie których ujęcie tradycyjne zostało zastąpione dwiema odmiennymi koncepcjami uwzględniającymi pięć rodzajów. Pierwszą koncepcję wykorzystałem w swojej gramatyce języka polskiego (por. Bobrowski, 2005). Opowiada się za nią w najnowszej dyskusji o rodzaju Andrzej Bogusławski (por. Bogusławski, 2009), zwracając uwagę, że pierwszym jej zwolennikiem był Witold Doroszewski. Przy jej tworzeniu wychodzi się od faktu, że przypisywanie rzeczownikowi jednego z trzech rodzajów nie współgra z rodzajem czasownika, a przecież to rzeczownik narzuca sąsiadującym elementom zdania swój rodzaj gramatyczny. Powinny przeto w opisie rzeczownika występować te rodzaje, które użyteczne są w opisie czasownika, bo to właśnie związek rzeczownika z czasownikiem jest w zdaniu związkiem głównym.

Koncepcja ta zakłada, że każdy rzeczownik przyjmowałby jeden z **trzech** rodzajów w liczbie **pojedynczej**, tj. albo rodzaj **męski**, albo **żeński**, albo **nijaki**. W liczbie **mnogiej** natomiast przyjmowałby jeden z **dwóch** rodzajów, tj. albo rodzaj **męskoosobowy**, albo **niemęskoosobowy**. W ten sposób wydzieliłoby się następujące klasy rzeczowników:

- 1) rzeczowniki rodzaju męskiego w liczbie pojedynczej i rodzaju męskoosobowego w liczbie mnogiej (*pan, dyrektor*);
- 2) rzeczowniki rodzaju męskiego w liczbie pojedynczej i rodzaju niemęskoosobowego w liczbie mnogiej (*kot, list*);
- 3) rzeczowniki rodzaju żeńskiego w liczbie pojedynczej i rodzaju niemęskoosobowego w liczbie mnogiej (*pani, mysz, szafa*);
- 4) rzeczowniki rodzaju nijakiego w liczbie pojedynczej i rodzaju niemęskoosobowego w liczbie mnogiej (*dziecko, okno*).

Każdy rzeczownik w liczbie pojedynczej wysyłałby jedno z trzech poleceń:

1. Przyjmij formę rodzaju męskiego.
2. Przyjmij formę rodzaju żeńskiego.
3. Przyjmij formę rodzaju nijakiego.

W liczbie mnogiej zaś jedno z dwóch poleceń:

4. Przyjmij formę rodzaju męskoosobowego.
5. Przyjmij formę rodzaju niemęskoosobowego.

Oczywiste jest też, że czasownik rozumiałby wszystkie te polecenia. Gorzej byłoby w wypadku przymiotnika, który miałby kłopoty z rozbiorem polecenia pierwszego. Nawet gdyby zinterpretował to polecenie jako wymóg dowolnego rodzaju męskiego, nie poradziłby sobie z biernikiem. Tu bowiem ma on dwie formy rodzajowe, tj. *miły* i *milego*, nie wiedziałby zatem, której formy tak naprawdę życzy sobie rzeczownik.

To właśnie relacja rzeczownika z sąsiadującym przymiotnikiem stoi u podstaw koncepcji alternatywnej, którą zaproponował Witold Mańczak (1956). Zaczniemy od biernika liczby mnogiej, rozważając następujące zdania:

*Widzę miłych chłopców.*

ale:

*Widzę mile psy*  
*Widzę mile listy.*

Nie mamy tu wprowadzić jeszcze niczego, czego nie przewidzieliśmy na podstawie poprzednich zestawień z czasownikami. Okazuje się bowiem, że także w bierniku liczby mnogiej rzeczowniki męskie mają inne oczekiwania co do formy przymiotników, gdy odnoszą się do osób, a inne, gdy odnoszą się do nie-osób (np. psów i listów). Zauważmy jednak, że jeżeli te same rzeczowniki użyte zostaną w liczbie pojedynczej, również odkryjemy podział rzeczowników męskich na dwa podzbiory, tyle że linia podziału przebiega w tym wypadku inaczej:

*Widzę milego chłopca.*  
*Widzę milego psa.*

ale:

*Widzę miły list.*

W liczbie pojedynczej rzeczowniki męskie odnoszące się do osób i zwierząt wymagają zatem od przymiotnika innej formy niż rzeczowniki odnoszące się do przedmiotów nieożywionych (konkretnych i abstrakcyjnych). Żeby zatem w gramatyce wszystkie te rozróżnienia uwzględnić, można dotychczasowe rzeczowniki rodzaju męskiego podzielić na trzy klasy. Do pierwszej z nich należałyby rzeczowniki męskie i jednocześnie osobowe, do drugiej – rzeczowniki męskie nieosobowe, ale odnoszące się do zwierząt, do trzeciej zaś należałyby

rzeczowniki męskie nieżywotne. Kontynuując tę myśl, można przyjąć, że rzeczowniki należące do pierwszej klasy są rodzaju **męskoosobowego** (np. *chłopiec, dyrektor*), rzeczowniki należące do drugiej klasy są rodzaju **męskozżywotnego** (np. *pies, kot*), a rzeczowniki należące do trzeciej klasy są rodzaju **męskonieżywotnego** (np. *list, ból*). W efekcie rzeczowniki polskie dzieliłyby się na pięć klas rodzajowych, czwartą klasę stanowiłyby rzeczowniki rodzaju **żeńskigo** (np. *dziewczyna, szafa, miłość*), a piątą rzeczowniki rodzaju **nijkiego** (np. *dziecko, okno, uczucie*).

Obie te koncepcje rodzajowe stwarzają pewne problemy z punktu widzenia równego traktowania płci w języku. Jeśli przyjrzymy się bliżej pierwszemu rozwiązaniu pięciorodzajowemu, to z łatwością dostrzeżemy, że rzeczownikom odnoszącym się do osób płci męskiej przysługuje w liczbie mnogiej osobny rodzaj, a rzeczowniki odnoszące się do osób płci żeńskiej mają w liczbie mnogiej taki sam rodzaj jak rzeczowniki odnoszące się do zwierząt, rzeczy i abstraktów. Można by zatem przyjąć tezę, że mężczyźni są niejako nobilitowani przez język.

Zauważmy jednak, że jeżeli na problem równego traktowania płci spojrzymy z punktu widzenia drugiego rozwiązania pięciorodzajowego, wówczas nie będziemy mogli mówić o aż tak wielkiej dysproporcji. Dostrzeżemy wprawdzie, że rzeczowniki odnoszące się do osób płci męskiej mają osobny rodzaj, ale znajdziemy też kilka miejsc w modelu gramatycznym, które w znacznym stopniu neutralizują ową dysproporcję.

Przewaga rodzaju męskoosobowego najbardziej uwidacznia się w połączeniach rzeczownika liczby mnogiej z czasownikiem. Jeżeli rzeczownik jest w rodzaju męskoosobowym, czasownik w liczbie mnogiej przybiera w czasie przeszłym taką samą formę rodzajową. W wypadku pozostałych rodzajów rzeczowników czasownik charakteryzuje się pełnym synkretyzmem form (*dziewczyny, koty, stoły, myszy, dzieci były...*). Podobnie rzecz się ma w wypadku połączeń rzeczowników rodzaju męskoosobowego z przymiotnikami. Przykładowo: w mianowniku liczby mnogiej mamy *dobrzy panowie*, ale *dobre panie, koty, stoły myszy, dzieci*.

Gdy jednak spojrzymy na problem z punktu widzenia relacji rzeczownika z przymiotnikiem w innych miejscach wzorców odmiany, dostrzeżemy synkretyzmy świadczące zgoła o czymś innym. W dopełniaczu (podobnie w celowniku, narzędniku i miejscowniku) liczby pojedynczej jest połączenie *dobrej pani*, które przeciwstawia się synkretycznej formie przymiotnika dla wszystkich innych rodzajów (*dobrego pana, kota, stołu, dziecka*). Możemy zatem mówić o rodzaju żeńskim, który w tych połączeniach stoi w opozycji do rodzaju nieżeńskigo. Laskowski (por. Grzegorzczkova, Laskowski, Wróbel (red.), 1984, s. 160) wprowadza takie rozróżnienie w tabelach, nie znalazłem go jednak w tekście ciągłym. Nie jest to wprawdzie rodzaj żeńskoosobowy

(rzeczowniki rodzaju żeńskiego nieodnoszące się do osób płci żeńskiej mają identyczne wymagania akomodacyjne), a zatem nie możemy mówić jeszcze o całkowitej neutralizacji modelu gramatycznego z punktu widzenia równego traktowania płci.

Po uważniejszym wszakże prześledzeniu innych miejsc modelu gramatycznego zarysują się nam takie jego fragmenty, które z pewnością są w stanie zmienić nasze dotychczasowe przekonanie o nierównym traktowaniu w systemie językowym osób ze względu na płeć.

W ujęciu Laskowskiego do dyspozycji rzeczownika pozostaje więcej rodzajów niż u Mańczaka (gdzie jest pięć) i mniej niż u Saloniego (gdzie jest dziewięć; por. Saloni, 1976), bo **sześć** rodzajów gramatycznych. Rzeczownik więc może przyjmować (od końca): albo rodzaj **nijaki** (*dziecko, okno*), albo **żeński** (*pani, szafa*), albo **męskonieżywotny** (*stół*), albo **męskożywotny** (*kot*), albo **męskoosobowy** (*pan*), albo wreszcie **pejoratywny męskoosobowy** (*cham*). To właśnie ten ostatni rodzaj jest głównym argumentem przeciwko tezie, że analizowany model gramatyczny daje podstawy do formułowania na temat języka polskiego opinii o nierównym traktowaniu płci. Konteksty, w których pojawia się rzeczownik *cham* w liczbie mnogiej, nie pozwalają założyć, że jest on rodzaju męskoosobowego, bo możliwe jest tylko połączenie *te chamy przyszły*, a niemożliwe *\*ci chami przyszli*. Nie można wszakże uznać, że jest to rzeczownik rodzaju męskożywotnego, bo w bierniku liczby mnogiej nie zachowuje się on jak rzeczownik *kot* (niemożliwe jest połączenie *\*widzę te chamy*), ale dokładnie tak, jak rzeczownik *pan* (*widzę tych chamów*). Fakty te nakazywałyby wydzielić niewielką klasę leksemów (*cham, łobuz, lizus*), którym przysługuje pejoratywny rodzaj męskoosobowy.

To wszakże rozwiązanie zdaje się niewspółmierne z kilkudzianową obserwacją Laskowskiego, zgodnie z którą istnieje wprawdzie niewielki zbiór leksemów mających wyłącznie pejoratywny rodzaj męskoosobowy, ale w zasadzie **wszystkie** leksemy **męskoosobowe** (*pan, dyrektor, inżynier, kucharz*) mogą wystąpić w tych kontekstach, w których występują leksemy typu *cham* (*te dyrektory przyszły*). Fakt ten prowokuje do postawienia tezy, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem fleksyjnym.

Gdybyśmy bowiem uznali, iż we wszystkich tych parach zachodzi proces derywacji paradygmatycznej, musielibyśmy przyjąć do wiadomości istnienie olbrzymiej grupy rzeczownikowych par homonimicznych. W dodatku taka derywacja paradygmatyczna dotyczyłaby wszystkich okazów ściśle określonej klasy leksemów. Rozwiązanie takie, aczkolwiek możliwe, wydaje się zatem trudne do zaakceptowania przez wielu językoznawców – i to nie tylko tych, którzy apriorycznie odrzucają tzw. rozwiązania homonimiczne.

Rozważmy zatem ewentualne fleksyjne rozwiązanie tego problemu. W ujęciu tym należałoby wyjść od paradygmatu rzeczownika w rodzaju męskoosobowym.

Mianownik liczby mnogiej miałby dwie formy rodzajowe, tj. męskoosobowy niepejoratywny (*panowie, dyrektorzy*) i męskoosobowy pejoratywny (*pamy, dyrektory*). Leksemy typu *cham* należałyby do rzeczowników o fleksji defektywnej, miałyby bowiem w mianowniku liczby mnogiej tylko drugą możliwość. Znaczeniowo wyjątki te da się zresztą bardzo łatwo wytłumaczyć. Nie mogą te rzeczowniki przybrać formy rodzaju niepejoratywnego, bo zabarwienie pejoratywne jest cechą wynikającą z ich struktury semowej.

Z punktu widzenia teorii fleksji ujęcie powyższe jest chyba możliwe do zaakceptowania. Ma ono bowiem dużo wspólnego z zaproponowanym przez Laskowskiego rozwiązaniem problemu imiesłowów przymiotnikowych. Imiesłowy przymiotnikowe uznaje on za formy fleksyjne czasowników, mimo że są one w następnym etapie poddawane deklinacji. Forma fleksyjna może zatem być przedmiotem dalszych zabiegów fleksyjnych.

Sądzić jednak można, że obok rozwiązania derywacyjnego i fleksyjnego istnieje jeszcze inne, które można opatrzyć przydawką *operacyjne*. Na jego trop naprowadził mnie artykuł Andrzeja Bogusławskiego (1999) o polskiej substandardowej operacji „*sr*”. Analizując substandardowe wyrażenia w rodzaju *te ich premie-sremie to zawracanie głowy*, autor dochodzi do wniosku, iż mamy tutaj do czynienia z operacyjną jednostką języka, która zmienia ciąg rozpoznawany jako rzeczownik na ciąg składający się z tego rzeczownika i ni-by-rzeczownika z identycznym zakończeniem, ale z początkiem równym *sr*. Wydaje się, że ciągi typu *te inżynierzy przyszli* również są wynikiem podobnej operacyjnej jednostki języka. Nazwijmy ją **pejoratywizacją**. Jej nieformalną eksplikację można sformułować w następujący sposób:

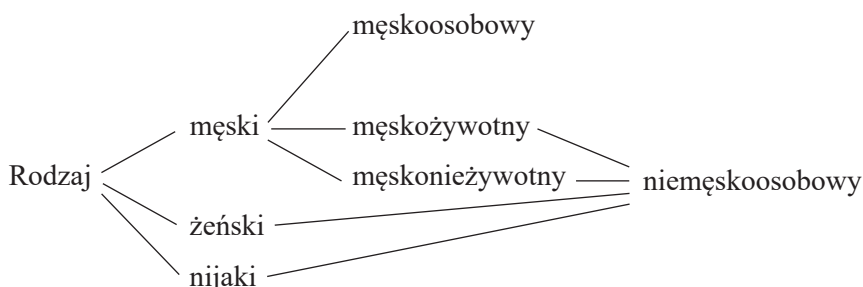
*Zmień formę rzeczownika liczby mnogiej rodzaju męskoosobowego na formę rzeczownika liczby mnogiej dowolnego rodzaju, zmieniając jednocześnie jej rząd rodzajowy.*

Efektem tej operacji jest między innymi zdanie *te nowoczesne inżynierzy przyszli*, nie zachodzi zaś ona w zdaniu *ci nowocześni inżynierowie przyszli*. Pejoratywizacja ma zatem charakter operacji fakultatywnej. Ale nie zawsze. W wypadku leksemów typu: *cham, łobuz* operacja ta ma charakter obowiązkowy. Można zatem założyć, że zarówno rzeczowniki typu *pan, inżynier*, jak i *cham, łobuz* są rzeczownikami rodzaju męskoosobowego, różnią się tylko tym, że w mianowniku liczby mnogiej do pierwszych pejoratywizacja jest stosowana fakultatywnie, do drugich obligatoryjnie. Zauważmy przy tym, że w opisie pejoratywizacji ograniczyliśmy ją do mianownika liczby mnogiej. Biernika liczby mnogiej ona nie obejmuje.

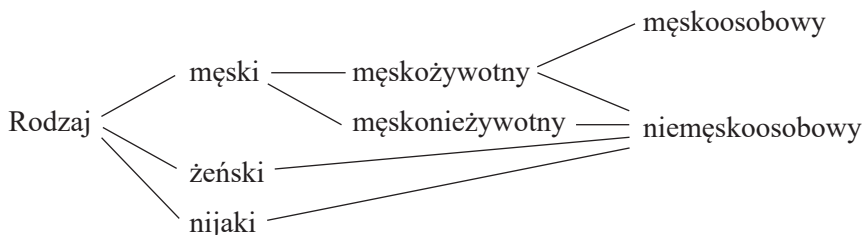
Włączenie pejoratywizacji w tym kształcie (przez Salonię określonej mianem deprecjatywności; por. Saloni, 1988, też Szałkiewicz, 2010) do omawianego modelu gramatycznego ogranicza w bardzo dużym stopniu stawianie

jakichkolwiek tez na temat do nierównego traktowania płci w języku polskim w ramach kategorii rodzaju.

Stosunkowo niedawno zaproponowałem nowe ujęcie rodzaju gramatycznego, które jeszcze bardziej jest z tego punktu widzenia obojętne, albowiem nawiązuje do tradycyjnej trójrodzajowej koncepcji. Zakłada ono, że każdy rzeczownik wybiera w swoim opisie leksykalnym jedną z możliwych dróg wyznaczonych za pomocą następującej matrycy ogólnej:



Matryca ta mogłaby również przyjąć inną formę:



Jak powiedziałem, każdy rzeczownik powinien w swoim opisie leksykalnym wybrać jedną ścieżkę. W wypadku pierwszej matrycy byłyby to następujące ścieżki:

1. Rodzaj → męski → męskoosobowy, np. *pan, dyrektor*.
2. Rodzaj → męski → męskożywotny → niemęskoosobowy, np. *kot, pies*.
3. Rodzaj → męski → męskonieżywotny → niemęskoosobowy, np. *stół, piec*.
4. Rodzaj → żeński → niemęskoosobowy, np. *szafa, pani, mysz*.
5. Rodzaj → nijaki → niemęskoosobowy, np. *dziecko, brzemię*.



W wypadku drugiej matrycy byłyby to następujące ścieżki:

1. Rodzaj → męski → męskożywotny → męskoosobowy, np. *pan, dyrektor*.
2. Rodzaj → męski → męskożywotny → niemęskoosobowy, np. *kot, pies*.
3. Rodzaj → męski → męskonieżywotny → niemęskoosobowy, np. *stół, piec*.
4. Rodzaj → żeński → niemęskoosobowy, np. *szafa, pani, mysz*.
5. Rodzaj → nijaki → niemęskoosobowy, np. *dziecko, brzemię*.

Nie wdając się w szczegóły, tzn. pomijając na razie kwestię, czy rzeczowniki *pan* i *kot* powinny mieć jedną cechę wspólną, czy też dwie cechy wspólne, można powiedzieć, że rozwiązanie to z pewnością ani nie zakłada istnienia pomostów pomiędzy cechami rodzajowymi rzeczownika a cechami rodzajowymi czasownika i przymiotnika, ani nie wymaga odniesienia się w wypadkach wątpliwych do cech subkategoryzacyjnych rzeczownika. Nadto ustala pewną, dość zresztą zrozumiałą hierarchię cech – szczególnie gdy idzie o cechy zawierające element *męsk-*. Intuicyjnie skłonni jesteśmy chyba uznać, że rodzaj męski jest kategorią nadrzędną w stosunku do rodzaju męskoosobowego, męskożywotnego i męskonieżywotnego. Propozycja ta jest przy tym w początkowym swym stadium identyczna z koncepcją rodzaju zawartą w gramatykach tradycyjnych, nie zakłada wszakże istnienia zależności pomiędzy rodzajem rzeczownika a jego liczbą. Sądzę zatem, że w języku polskim są trzy rodzaje rzeczownika, można – po przyjęciu pewnych założeń – uznać za prawdziwy.

Każdy rzeczownik wysyła bowiem do sąsiadujących leksemów polecenie rodzajowe, w którym ukazana jest pełna ścieżka jego „oczekiwań”. Zatem rzeczownik CHŁOPIEC nakaże wybrać rodzaj męski, męskoosobowy (pierwsza matryca) lub rodzaj męski, męskożywotny, męskoosobowy (druga matryca). Wybór cechy rodzajowej będzie zależał od tego, jakim rodzajem dysponuje leksem akomodowany w określonej sytuacji. Jeżeli będzie to polecenie wysłane do czasownika IŚĆ w czasie przeszłym, a poleceniem towarzyszącym będzie nakaz przyjęcia liczby pojedynczej, to czasownik wybierze rodzaj męski (*szedł*), bo tylko ten rodzaj pasuje do jego opisu fleksyjnego. Jeśli natomiast rzeczownik narzuci równocześnie z poleceniem przyjęcia jednego z dwóch lub trzech rodzajów liczbę mnogą, to wówczas czasownik musi przyjąć rodzaj męskoosobowy, bo tylko ten pasuje do jego opisu fleksyjnego.

Z relacji pomiędzy rzeczownikiem i akomodowanym przez niego przymiotnikiem wynika wszakże, że z dwóch zaproponowanych wyżej matryc rodzajowych bardziej sensowna wydaje się matryca druga, w której cecha *męskożywotny* jest nadrzędna w stosunku do cechy męskoosobowy. W wypadku połączenia rzeczownika PAN z przymiotnikiem MIŁY cecha rodzajowa, którą odbiera przymiotnik wraz z poleceniem przyjęcia liczby pojedynczej, to

*męskożywotny*. W opisie fleksyjnym przymiotnika w liczbie pojedynczej nie ma osobnych form rodzaju męskoosobowego, są one natomiast w liczbie mnogiej.

Jeżeli z kolei rzeczownik STÓŁ nakaże przymiotnikowi DUŻY wybrać rodzaj męski, męskonieżywotny, niemęskoosobowy, a jednocześnie narzuci mu liczbę pojedynczą i biernik, to wówczas przymiotnik musi przyjąć formę rodzaju męskonieżywotnego *duży*, bo tylko ten z trzech rodzajów pasuje (powinien pasować) do fleksyjnego opisu przymiotnika w bierniku liczby pojedynczej. W opisie tym jest wprawdzie drugi biernik (*dużego*), ale ma (powinien mieć) on cechę rodzajową *męskożywotny*. Gdy rzeczownik STÓŁ nakaże przymiotnikowi przyjąć inny przypadek w liczbie pojedynczej, wówczas cechą rodzajową zgodną z opisem fleksyjnym przymiotnika będzie cecha *męski*, gdy zaś rzeczownik narzuci przymiotnikowi liczbę mnogą, to w dopełniaczu, celowniku, narzędniku i miejscowniku przymiotnik przyjmie jedyne możliwe formy (*dużych, dużym, dużymi* lub *dużych*), ponieważ w tych przypadkach nie ma w liczbie mnogiej zróżnicowania rodzajowego. Jeśli zaś rzeczownik STÓŁ nakaże przymiotnikowi przyjąć w liczbie mnogiej mianownik lub biernik, wtedy przymiotnik przyjmie cechę rodzajową *niemęskoosobowy*, bo tylko ta cecha z trzech zaproponowanych będzie pasowała do opisu przymiotnika.

Widać bardzo wyraźnie, że ta nowa koncepcja nawiązuje do koncepcji tradycyjnej. Naturalnie synkretyzmy, które omawiałem wyżej, muszą się w niej objawić. Przedstawiony proces neutralizacji też o nierównym traktowaniu płci może zostać zastosowany również i do tego nowego ujęcia. Wydaje się zatem, że nie ma potrzeby ponownego rozpatrywania wcześniej przedstawionych argumentów.

Można przy tym przyjąć tezę, że sam system językowy nie przyczynia się bezpośrednio do używania zdań, w których w sposób wyraźny lub ukryty dokonuje się dyskryminacja osób ze względu na płeć. W systemie językowym nie ma nic takiego, co by nakazywało używać form rodzaju męskiego w sytuacji, gdy opisywana rzeczywistość nie dotyczy wyłącznie mężczyzn. Jeśli redaktor czasopisma używa na swych łamach zwrotu adresatywnego *drogi czytelniku* i mówi do niego *przebyłeś długą drogę*, to trzeba wyraźnie powiedzieć, że to nie reguły języka podsuwają mu wybór z systemu form rodzaju męskiego. To raczej normy kulturowe podpowiadają mu, że jeżeli zwracasz się do kogoś nieokreślonego, możesz użyć formy rodzaju męskiego. A więc to normy kulturowe mają decydujący wpływ na to, że kobiety w olbrzymiej większości polskich tekstów stają się niewidzialne.

# Generatywizm: falsyfikacjonizm czy konstruktywizm?

W poprzednich rozdziałach rozpatrywaliśmy problemy związane z różnym zakreśleniem przez odmienne dzisiejsze kierunki językoznawcze przedmiotu badań lingwistyki. Szukaliśmy przy tym filozoficznego uzasadnienia dokonywanych tam wyborów. W dwóch następnych rozdziałach zastanawiać się będziemy nad słusnością przedstawionych w pierwszej części książki interpretacji dwóch konkurujących paradygmatów lingwistycznych, tj. generatywizmu i kognitywizmu.

Przyglądając się dzisiejszemu generatywizmowi, można odnieść wrażenie, że mój przedstawiony wcześniej pogląd, iż generatywizm jest przejawem falsyfikacjonizmu (tj. ogólniejszego paradygmatu nauki, w którym wychodzi się od hipotez w postaci zdań ogólnych, a następnie szuka się zdań szczegółowych, które by przeczyły tym hipotezom, po znalezieniu zaś takich postuluje się nowe hipotezy wolne od błędów poprzedniczek), wymaga dość daleko idącego doprecyzowania i komentarzy.

W rozdziale tym nie zamierzam zasadniczo zmieniać stanowiska w tej kwestii. Pewne jednak fakty, które zaistniały w ramach generatywizmu, nakazują raz jeszcze przyrzeć się mojej poprzedniej argumentacji i w niektórych punktach pogląd ów zrewidować. Dzisiejszy generatywizm jest bowiem kierunkiem dość niejednorodnym. Wydaje się, że nie wszystkie grupy lingwistów, których określa się słowem *generatywiści*, stosują się do zasad paradygmatu falsyfikacjonistycznego w nauce.

Dodać przy tym trzeba, że zabieg osadzania kierunków lingwistycznych w ogólniejszych paradygmatach nauki jest jedynie wstępną czynnością rozpoznawczą. Zastosowałem go w podręczniku wprowadzającym w podstawowe

zagadnienia językoznawcze, przeznaczonym dla studentów rozpoczynających swą przygodę lingwistyczną. Na kursach wyższych prowadzonych przez siebie posługuję się na początku analogią do wędrówki z różnymi punktami widokowymi. Na początku drogi rozpoczynamy oglądanie krajobrazu lingwistycznego z bardzo wysoko położonego punktu obserwacyjnego, następnie przechodzimy do punktów niżej położonych, zwracając uwagę na szczegóły. W rozdziale tym przyjrzymy się obszarowi, który możemy wstępnie określić mianem generatywizmu. Zastanawiać się będziemy, jak ma się ten obszar do wymogów wynikających z ogólniejszych zasad paradygmatu falsyfikacjonistycznego w nauce.

Zasady tego paradygmatu – jak pamiętamy – wynikają bezpośrednio z filozofii nauki Poppera, wyłożonej w wielu jego pracach, w tym m.in. w książce o polskim tytule *Logika odkrycia naukowego*, por. Popper, 1934). Filozofia nauki w tym ujęciu przeciwstawia się prostemu (by nie rzec: naiwnemu) indukcyjnizmowi, nawiązuje zatem do poglądów wypracowanych w Kole Wiedeńskim, ale też nie jest tylko rozwinięciem idei neopozytywistycznych, wręcz przeciwnie – odrzuca pewność sądów wypracowywanych w obszarze nauki. Sądy naukowe – zdaniem Poppera – są jedynie prawdopodobne. Można je uznawać za prawdziwe, ale tylko dopóty, dopóki nie znajdzie się faktów przeczącym tym sądom. Dlatego warto nie tyle szukać potwierdzeń przyjmowanych z góry hipotez, ile nieustannie dążyć do ich falsyfikowania. Po sfalsyfikowaniu hipotezy powstanie nowa jej wersja, wolna od błędów poprzedniczki, którą znów jednak należy poddać podobnemu procesowi intelektualnemu.

Tak zakreślone przez Poppera podstawy filozofii nauki stały się podstawą paradygmatu falsyfikacjonistycznego. Przez paradygmat rozumiemy tu zespół reguł towarzyszących każdemu naukowcowi w jego pracy intelektualnej. Nie musi przy tym mieć on o tych regułach wiedzy wyraźnej (eksplicytnej), wystarczy, że reguły te przyswoi w sposób intuicyjny na podstawie obserwacji zachowań i tekstów innych badaczy.

Jeżeli przez generatywizm w językoznawstwie będziemy rozumieli taki kierunek, w którym zakłada się, że efektem starań lingwisty powinien być model języka naturalnego, a więc przybliżony obraz abstrakcyjnego systemu, dzięki któremu człowiek może tworzyć nieskończony zbiór zdań, to można bez większego ryzyka przyjąć, że kierunek ten mieści się w obrębie paradygmatu falsyfikacjonistycznego. Budując bowiem model języka naturalnego, musimy przyjąć „na próbę” pewien jego kontur, a następnie sprawdzać, czy przyjęty twór jest w stanie produkować zdania należące do tego języka i czy wśród jego produkcji nie znajdują się ciągi, których mówiący w tym języku nie uznaje za zdania. W czasie budowania modelu nieustannie falsyfikujemy na podstawie danych językowych założone wcześniej konstrukty; jeśli nasz konstrukt w danym momencie nie produkuje zbioru zdań, o który nam chodzi, należy

go rozbudować, jeśli zaś produkuje ciągi, które nie należą do zbioru zdań, należy go ograniczać.

Metodologia generatywna opracowała dość drobiazgowo hierarchie falsyfikacji modeli generatywnych; omawiam je szczegółowo w pierwszej części tej książki. Zdawać by się więc mogło, że relacje zachodzące pomiędzy paradygmatem falsyfikacjonistycznym w nauce a językoznawstwem generatywnym da się ująć w jednym niepodważalnym sądzie: generatywizm jest przejawem falsyfikacjonizmu.

Sprawa nie jest jednak aż tak oczywista, i to z dwóch powodów. Pierwszy wynika z obserwacji działań lingwistów pracujących nad modelami generatywnymi, z której jednoznacznie wynika, że często nowy model teoretyczny zastępuje model dotychczasowy nie dlatego, że ten drugi został sfalsyfikowany, ale przede wszystkim dlatego, że pojawiła się nowa oferta, niekiedy zupełnie odmienna od modelu, który dotąd był przedmiotem dociekań lingwistów. O ile jednak obserwacja ta świadczy tylko o tym, że przyjęty paradygmat nie determinuje ostatecznie postępowania badaczy, o tyle drugi powód wymaga o wiele bardziej wnikliwej analizy.

W pewnym bowiem momencie członkowie jednej z najważniejszych grup generatywistów zakwestionowali cel dotychczasowych poszukiwań lingwistycznych, tj. zbudowanie teorii, która dostarczałaby optymalnych narzędzi do budowy modeli języka naturalnego. Wyznaczyli przy tym cel inny – dotarcie do **uniwersalnej gramatyki umysłu**. Przełom ów nastąpił na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, a jego sprawcą był twórca generatywizmu Chomsky, który właśnie wtedy opublikował dwie bardzo ważne prace, całkowicie przewartościowujące priorytety badań lingwistycznych (Chomsky, 1981, 1982). Naświetlenie tego przełomu z punktu widzenia falsyfikacjonizmu to najważniejsze zadanie, które stawiam sobie w tym rozdziale.

Zanim jednak przejdę do głównego wątku, kilka słów poświęcę na omówienie pierwszego powodu, tj. tendencji do tworzenia nowych koncepcji teoretycznych, mimo że dotychczasowy model nie został jeszcze sfalsyfikowany. Dla wielu obserwatorów językoznawstwa, którzy, ogólnie rzecz biorąc, skłonni są zaakceptować tezę, że generatywizm jest przejawem falsyfikacjonizmu, wyodrębnianie się nowych grup badawczych z własnym modelem języka jest argumentem za tezą, iż generatywizm jest epigońskim kierunkiem w myśleniu językoznawczym. Tak się bowiem zwykle dzieje, iż po okresie rozkwitu i dojrzenia jakiegoś nurtu myślowego u jego schyłku pojawiają się przeróżne odmiany, czasami dość od siebie odległe. Wydaje się jednak, że większość z tych odmian stosuje się do podstawowych zasad paradygmatu falsyfikacjonistycznego.

Można założyć, że proces dochodzenia do opisu języka naturalnego w ramach paradygmatu falsyfikacyjnego powinien przebiegać w kilku etapach.

W pierwszym z nich zaproponowany zostaje na podstawie intuicji badacza, która bazuje – co oczywiste – na swej dotychczasowej wiedzy językoznawczej, teoretyczny system aksjomatyczny. Ów system jawić się powinien jako dobry kandydat na narzędzie, dzięki któremu będziemy w stanie zbudować model tworzenia (generowania) zdań w języku naturalnym. W następnym etapie przystępuje się do falsyfikacji tego narzędzia. Postuluje się mianowicie modele konkretnych języków i szuka się takich akceptowalnych faktów językowych, których modele nie generują, w produkcjach zaś modeli szuka się takich ciągów, które nie są uznawane przez użytkowników za wyrażenia należące do opisywanego języka. Po znalezieniu akceptowalnych zdań, które nie są generowane przez obecny model, należy zaproponować jego rozszerzenie, a po wyszukaniu tzw. ponadgeneracji model należy ograniczyć. Zdarzyć się wszak może, iż próby zarówno rozbudowania, jak i ograniczania modelu nie przyniosą oczekiwanych rezultatów. W takiej sytuacji dochodzi często do rezygnacji z apriorycznie przyjętego systemu aksjomatycznego. Proponuje się wtedy nowy system aksjomatyczny i przeprowadza jego kolejną falsyfikację.

Zwykle jednak po pierwszej próbie falsyfikacji zaproponowany zostaje nie jeden nowy system aksjomatyczny, ale kilka takich systemów. Można zatem przyjąć, że pojawianie się coraz to nowych systemów aksjomatycznych jest konsekwencją paradygmatu falsyfikacyjnego. Szczególnie dzieje się tak w tych naukach, w których wybór systemu aksjomatycznego w olbrzymiej mierze zależy od intuicji badaczy. Jeśli mamy do wyboru jakiś system aksjomatyczny, który ma być modelem języka naturalnego, to mimo prób ustalenia sensownych nawet kryteriów, do których powinien się stosować optymalny system, w ostateczności i tak posłużymy się intuicją. Ostateczne i niepodważalne kryterium wyboru, które mogłoby zostać wypracowane przez metodologię lingwistyki, trudno sobie nawet wyobrazić.

Wydaje się więc, że w ramach tak pojmowanego paradygmatu falsyfikacyjnego mieści się wiele odmian generatywizmu. Chomsky już w *Syntactic Structures* (1957) pokazuje, jak należy falsyfikować systemy aksjomatyczne. Odrzuca model skończenie stanowy, prosty model struktur frazowych i uznaje, że trzeba w dalszym ciągu prac skupić się na modelu generatywno-transformacyjnym. W 1965 roku powstaje wersja standardowa modelu transformacyjnego, a w latach siedemdziesiątych – rozszerzona wersja standardowa. Proces dochodzenia do tych modeli teoretycznych jest zgodny z tymi zasadami, które wynikają z przyjęcia paradygmatu falsyfikacyjnego. Najbardziej ogólnie można powiedzieć, że model z *Syntactic Structures* został zastąpiony modelem standardowym, bo w tym pierwszym modelu nie było miejsca na znaczeniową interpretację generowanych ciągów syntaktycznych, rozszerzona teoria standardowa zastąpiła zaś model z 1965 roku, ponieważ komponent transformacyjny prowadził do wielu ponadgeneracji.



Inne koncepcje generatywne były natomiast próbami odmiennego zorganizowania systemu aksjomatycznego. W modelu semantyków generatywnych system aksjomatyczny miał wychodzić od abstrakcyjnej reprezentacji sensu wyrażen językowych, a dojść miał do ciągów językowych. System Gazdara był powrotem do zaniechanego w *Syntactic Structures* modelu struktur frazowych bez transformacji. Jeśli zaś idzie o koncepcję LFG (*Lexical Functional Grammar*), zaproponowaną przez Joan Bresnan, to można powiedzieć, że sytuuje się ona pomiędzy konstruktem semantyków generatywnych a systemem aksjomatycznym autorstwa Gazdara. Wszystkie te koncepcje mieszczą się z powodzeniem w paradygmacie falsyfikacjonistycznym. Ich szczegółowe omawianie nie jest w tym miejscu najważniejsze. Jak bowiem założyłem na wstępie, zamierzeniem tego rozdziału jest dotarcie do takich faktów, które by kłóciły się z tezą, iż generatywizm jest przejawem falsyfikacjonizmu w językoznawstwie.

Na początku lat osiemdziesiątych poprzedniego stulecia Chomsky radykalnie zmienia swoje dotychczasowe poglądy na sposób uprawiania językoznawstwa. Wychodząc z punktu widzenia teorii poznania, Władysław Zabrocki (2006) w tym nowym podejściu do języka widzi przejście od refleksji przednaukowej do refleksji naukowej. O ile bowiem we wcześniejszych pracach Chomsky uznawał gramatykę uniwersalną za „suplement do gramatyk poszczególnych języków, [...] system warunków nakładających ograniczenia gramatykom wszystkich języków” (Stalmaszczyk, 2006, s. 74), o tyle w latach osiemdziesiątych założył, że gramatyka uniwersalna „jest teorią stanu początkowego zdolności językowej (zapisaną w genach)” (tamże, s. 74–75). Ta radykalna zmiana stanowiska spowodowała, że zaproponował on koncepcje języka, które – w moim mniemaniu – wychodzą poza obszar ograniczony zasadami działania paradygmatu falsyfikacyjnego.

Pierwszą z tych koncepcji była teoria rządu i wiązania (*Government and Binding*), zwana też teorią zasad i parametrów. Ta druga nazwa znacznie lepiej oddaje jej istotę. Według niej zadaniem teorii lingwistycznej jest zbudowanie takiego modelu języka, który składałby się jedynie z ogólnych zasad, wspólnych dla wszystkich języków świata. Poszczególne języki różniłyby się parametrami. Rozwinięciem tej koncepcji jest funkcjonujący od lat dziewięćdziesiątych poprzedniego wieku program minimalistyczny (*Minimalist Program*; por. Chomsky, 1995).

Język rozumiany jako zbiór jednostek wraz z ich wartościami pozwalającymi na łączenie się w syntagmy stanowi w koncepcji programu minimalistycznego jeden z modułów ludzkiego umysłu. Moduł ten wchodzi w relacje z innym modułem, który zawiera zbiór abstrakcyjnych pojęć i myśli. Właśnie w nim powstaje pierwotny zamysł wypowiedzi. Zamysł ten przenika do modułu



językowego, a w zasadzie do procesora językowego, który nadaje mu określoną formę logiczną i abstrakcyjną reprezentację leksykalną wraz ze strukturalizacją, by w końcu przybrać postać ciągu fonicznego.

W module językowym najważniejsza jest zasada łączenia (scalania; ang. *Merge*). Dotychczasowe opisy gramatyczne polegały na tym, iż do struktur powstałych dzięki regułom frazowym dołączano te jednostki leksykalne, których opis w słowniku pozwalał na wystąpienie w konkretnej strukturze. I tak do struktury:

$$\begin{array}{l} [ [ [ N ] [ [ V ] ] ] ] \\ S \quad NP \quad VP \end{array}$$

można było wybrać np. czasownik BIEGAĆ, bo pozwalał na to jego opis słownikowy, nie można natomiast było włączyć czasownika MIESZKAĆ, gdyż jego opis słownikowy informował, iż powinien mu towarzyszyć w zdaniu człon zależny grupy czasownikowej, np. Adv WYGODNIE. Czasownik MIESZKAĆ mógłby zatem zostać dołączony m.in. do następującej struktury:

$$\begin{array}{l} [ [ [ N ] [ [ V ] [ Adv ] ] ] ] \\ S \quad NP \quad VP \quad AdvP \end{array}$$

Badania nad strukturą informacji w słowniku pozwoliły jednak bardzo uprościć ten proces. Można bowiem założyć, że struktura hasła czasownika BIEGAĆ składa się z szeregu hierarchicznie ułożonych cech, które po akcie wyboru tego czasownika ze słownika nakazują przyłączyć do niego rzeczownik, np. CHŁOPIEC. Powstanie w ten sposób ciąg CHŁOPIEC BIEGAĆ, ale też jednocześnie obie te jednostki leksykalne utworzą dzięki informacjom zawartym w ich hasłach leksykalnych syntagmę taką, jak struktura wynikająca z reguł przepisowywania, a więc strukturę:

$$\begin{array}{l} [ [ [ [ CHŁOPIEC ] ] [ [ [ BIEGAĆ ] ] ] ] ] \\ S \quad NP \quad N \quad VP \quad V \end{array}$$

Jeśli natomiast ze słownika wybierzemy czasownik MIESZKAĆ, wówczas jego struktura nakaże przyłączyć rzeczownik CHŁOPIEC, ale też przysłówek WYGODNIE. Dzięki zhierarchizowanym cechom syntaktycznym utworzy się struktura:

$$\begin{array}{l} [ [ [ [ CHŁOPIEC ] ] ] [ [ [ MIESZKAĆ ] ] ] [ [ [ WYGODNIE ] ] ] ] \\ S \quad NP \quad N \quad VP \quad V \quad AdvP \quad Adv \end{array}$$

Gramatyka może zatem zostać przedstawiona w formie zbioru jednostek leksykalnych, które dzięki informacjom zawartym w ich opisach łączą się z innymi jednostkami, tworząc jednocześnie ustrukturyzowane syntagmy. Wprawdzie notacja Chomsky’ego jest odmienna od przedstawionej w tym omówieniu, ale na potrzeby naszej argumentacji ta, którą tu wprowadzam, wydaje się całkowicie wystarczająca. Ponieważ zaś odwołuje się do standardowej notacji generatywnej przedstawionej w pierwszej części tej książki, lepiej obrazuje różnice pomiędzy wersjami standardowymi gramatyki a minimalizmem.

W programie minimalistycznym język jest zatem narzędziem formułowania myśli. Nie każda myśl musi trafić do modułu językowego. Gdy do zmysłów człowieka dociera symptom zagrożenia, jego reakcja nie musi przybrać formy językowej. Może on wykonać jedynie czynność chroniącą go przed nadchodzącym niebezpieczeństwem, nie werbalizując swojej myśli. W wielu wszak wypadkach myśl przechodzi przez moduł językowy i w nim otrzymuje zwerybalizowaną postać. Powstaje zatem pytanie, czy język jest dobrym narzędziem przetwarzania myśli. Chomsky odpowiada, że jest **narzędziem optymalnym**. Przede wszystkim dlatego, że jest dość łatwy do przyswojenia przez dziecko, które na podstawie docierających do niego faktów empirycznych szybko może się zorientować, że podstawową czynnością jest łączenie jednostek w syntagmy. Dzięki tej czynności można przetworzyć myśl dość prostą, ale też dzięki temu, że proces łączenia jednostek charakteryzuje się rekurencją, przetwarzać można również myśli bardzo skomplikowane.

Program minimalistyczny jest bez wątpienia bardzo inspirującą koncepcją lingwistyczną. Rodzi się jednak pytanie, czy teoria ta jest w ogóle falsyfikowana. Odpowiedź przeczącą można wywieść nawet z tego, że minimalizm funkcjonuje już bez mała dwadzieścia lat w językoznawstwie, a modyfikacje, które w tym czasie zostały wprowadzone, nie zmieniły zasadniczo jego systemu aksjomatycznego. Bo też trudno jest sobie nawet wyobrazić, za pomocą jakich faktów językowych można falsyfikować przyjętą w nim wizję gramatyki uniwersalnej czy relacji pomiędzy modułem językowym a innymi modułami ludzkiego umysłu. Czytając rozważania językoznawcze powstałe w duchu minimalizmu, mam nieustanne wrażenie, że ich celem jest wzmocnienie koherencji pomiędzy sądami funkcjonującymi już w ramach założonej koncepcji lingwistycznej. Chodzi w nich więc bardziej o potwierdzanie niż o falsyfikację przyjętego systemu sądów. Owo potwierdzanie jednak odbywa się na wysokim poziomie abstrakcji, dlatego trudno tu też mówić, że program minimalistyczny, a wcześniej teoria zasad i parametrów, przeniosły się do paradygmatu weryfikacjonistycznego, w którym chodzi o empiryczne potwierdzanie założonych hipotez ogólnych.

Powstaje więc pytanie, w jakim paradygmacie umieścić zaproponowane po 1980 roku przez Chomsky’ego teorie lingwistyczne. Odpowiedź, która mi się

nasuwa, można ująć w następującej konstatacji: zarówno teoria zasad i parametrów, jak i program minimalistyczny mieszczą się w ramach paradygmatu, który możemy określić mianem **konstruktywizm**.

W obszarze filozofii jako przejawy konstruktywizmu mogą być w zasadzie traktowane wszelkie systemy filozoficzne. Stąd zapewne pogląd cytowanego wcześniej Władysława Zabrockiego, który mówi o przejściu Chomsky'ego z prenauki do nauki właściwej. Zgodnie z poglądami Nicolaia Hartmanna system filozoficzny jest zawsze dość swobodną konstrukcją, która powstaje na podstawie intuicyjnie przyjętych tez. Z nich wyprowadza się system sądów, które powinny być ze sobą koherentne. W ten sposób powstaje konstrukcja pojęciowa, która funkcjonuje jako system filozoficzny.

W naukach społecznych i humanistycznych (a więc w socjologii, ale też w językoznawstwie) zakładano do pewnego czasu, że wszelkie hipotezy powinny być weryfikowane lub falsyfikowane na podstawie danych empirycznych. Pod koniec ubiegłego stulecia w socjologii zaczął ugruntowywać się pogląd, zgodnie z którym tradycyjna socjologia empiryczna ukazuje rzeczywistość, którą kreuje sam badacz. Dał on impuls do powstania tzw. nieklasycznej socjologii wiedzy, zwanej też konstruktywizmem społecznym. W Polsce pogląd ten reprezentowany jest m.in. przez Andrzeja Zybertowicza (2001).

Konstruktywizm społeczny zakłada, że każdy członek społeczeństwa dysponuje wiedzą potoczną na temat relacji społecznych. Wiedza ta utrwała strukturę społeczną, gdyż członkowie społeczeństwa zachowują się zgodnie z zasadami z niej wynikającymi. W skrajnej postaci konstruktywizm zakłada, że wiedza potoczna na temat rzeczywistości społecznej jest identyczna z rzeczywistością społeczną. W postaci umiarkowanej przyjmuje, że obiektywna wiedza o rzeczywistości społecznej jest niemożliwa do zrekonstruowania, gdyż zawsze odcisnie się na niej indywidualne piętno badacza ją rekonstruującego. Wspomniany wyżej Zybertowicz w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia przyjmował umiarkowaną wersję konstruktywizmu społecznego. Zgodnie ze swoją intuicją stworzył obraz wiedzy potocznej, w której bardzo ważną rolę odgrywał tzw. układ. Z czasem jednak stał się zapewne zwolennikiem skrajnego konstruktywizmu, zaczął bowiem tropić układ w rzeczywistości społecznej i namawiać do tego urzędującego prezydenta oraz premiera. Rzeczywistość okazała się trudniejsza do interpretacji, niż mu się początkowo zdawało – dysponując nieograniczonymi niemal możliwościami śledczymi, udało się do układu zaliczyć jednego neurochirurga, jedną posłankę opozycyjną, jedną byłą żonę znanego aktora, a także wicepremiera (własnego koalicjanta), własnego ministra sportu, własnego ministra spraw wewnętrznych i własnego szefa policji. Poszukiwania cały czas trwają, co by znaczyło, że wyznawcy naszego konstruktywizmu społecznego w dalszym ciągu wierzą w układ, ale nie spodziewali się, że jest on aż tak dobrze zakonspirowany. Swoją drogą, wygląda

to na paradoks, że konstrukcja Zybertowicza, wytworzona w nauce o rodowodzie postmodernistycznym, zyskała takie uznanie w środowisku prawniczym. Postmoderniści są potocznie określani mianem lewicy akademickiej. Eklektyzm naszej „myśli” politycznej jest jednak powszechny – niewielu odczuwa dysonans, gdy np. bardzo znaczący polityk odwołuje się w jednym przemówieniu i do tradycji Piłsudskiego, i do tradycji Dmowskiego.

Obserwując niektóre nauki humanistyczne, zauważam, że konstruktywizm na dobre się w nich zadomowił. Nie jest on – co oczywiste – dokładnym naśladownictwem konstruktywizmu społecznego, ale można już dziś chyba mówić o paradygmacie konstruktywistycznym w nauce, powstałym na gruncie założeń filozoficznych Hartmanna. Mieści się on w bardziej ogólnym sposobie uprawiania wiedzy o rodowodzie postmodernistycznym. Wydaje mi się przy tym, że koncepcje Chomsky’ego powstałe po 1980 roku też są przejawami tego nowego paradygmatu, w którym nie jest potrzebne empiryczne falsyfikowanie hipotez, ale wymagana jedynie koherencja w systemie zaproponowanych sądów.

Być może w każdej nauce empirycznej po okresie falsyfikowania nowej teorii przychodzi czas na myślenie konstruktywistyczne. W czasie zabiegów falsyfikacyjnych do świadomości badaczy docierają przeróżne fakty. Powodują one uczucie niedosytu z dotychczasowych hipotez, ale jednocześnie pozwalają uczonym przenieść się w inne, nierozpoznane dotąd rejony. Tym można by tłumaczyć przeniesienie przez Chomsky’ego pytań o naturę ludzkiego umysłu z pozycji peryferyjnych na pozycje centralne. Całkiem możliwe, że w przyszłości, dzięki eksperymentalnej kognitywistyce i neurolingwistyce, hipotezy dotyczące relacji zachodzących pomiędzy modułami myśli i języka zyskają status falsyfikowanych empirycznie. W tej wszakże chwili takiego statusu nie odważyłbym się im jeszcze przyznać.

## Dwa kognitywizmy

Prawie od początku swojej działalności na polu językoznawstwa Chomsky obserwuje relację pomiędzy językiem a umysłem. Świadczyć o tym może jego wydana w 1968 roku (po raz pierwszy) książka *Language and Mind* (1968). Od tamtej wszak książki wiele poglądów na temat tej relacji uległo olbrzymim przeobrażeniom. Jak pokazaliśmy w rozdziale poprzednim, od 1982 roku, a zatem od momentu powstania teorii rządu i wiązania, podstawowe pytanie, które zadają sobie przedstawiciele tego nurtu w generatywizmie, którego patronem i symbolem jest właśnie Chomsky, brzmi, czy język ludzki jest optymalnym narzędziem formułowania myśli? Pozytywną odpowiedź na to pytanie przynosi – zdaniem tej grupy lingwistów – program minimalistyczny zaproponowany przez Chomsky’ego pod koniec poprzedniego tysiąclecia. Tym samym umieszcza Chomsky językoznawstwo w systemie nauk kognitywnych (nauk o poznaniu), a sam siebie nazywa kognitywistą.

Do chwili ukazania się *Gramatyki kognitywnej* Johna Taylora przedstawiciele językoznawstwa kognitywnego, które wyrosło z opozycji do generatywizmu, nie odnosili się do deklaracji Chomsky’ego, iż jego językoznawstwo jest również kognitywne, traktując ją zapewne jako zupełnie pozbawioną podstaw empirycznych. Można też było ją odbierać jako zabieg służący deprecjacji nowego paradygmatu. Po tym wszakże, jak w sposób wyraźny, choć też z pewną dozą sarkazmu, Taylor zaliczył teorię Chomsky’ego do językoznawstwa kognitywnego (por. Taylor, 2002), kwestia różnic pomiędzy obydwoma podejściami do badań nad językiem wymaga głębszego namysłu.

Taylor rozpoczyna swe dzieło od oddzielenia językoznawstwa kognitywnego od gramatyki kognitywnej – przedstawiając w dalszej części w sposób bardzo szczegółowy to drugie podejście, a koncepcję Chomsky’ego zaliczając do językoznawstwa kognitywnego – dość szerokiego nurtu we współczesnej lingwistyce, który z gramatyką kognitywną łączy wspólne założenia. Z punktu

widzenia gramatyki kognitywnej stawia on przy tym wiele zarzutów generatywizmowi Chomsky'ego. Niektóre z nich (np. zarzut submodularności) odnoszą się do teorii rządu i wiązania, nie dotyczą wszakże programu minimalistycznego, bo w tej koncepcji o żadnych submodułach nie ma mowy.

W rozdziale tym rozważę jednak inny zarzut – ten, który odnosi się z całą pewnością do programu minimalistycznego. Więcej – w programie minimalistycznym ta cecha koncepcji Chomsky'ego nabiera nowego znaczenia, o wiele bardziej dla tego odłamu generatywizmu relewantnego. Chodzi mianowicie o **modularny charakter języka**. Dla Taylora teza o modularności języka jest jedną z podstawowych tez różniących językoznawstwo kognitywne Chomsky'ego od gramatyki kognitywnej, w której język jest traktowany nie jako osobny moduł w umyśle ludzkim, ale integralna część ludzkiego poznania.

Obserwując zarówno program minimalistyczny, jak i wcześniejsze etapy generatywizmu Chomsky'ego oraz gramatykę kognitywną, różnicę przedstawioną przez Taylora także uważam za kluczową. Mógłbym przy tym zadowolić się konstatacją, że nieoddzielenie przez gramatykę kognitywną języka i rozpatrywanie go jako integralnej części ludzkiego umysłu stosuje się do podstawowego wymogu holizmu. Ponieważ holizm uznaje się powszechnie za podstawową cechę paradygmatu postmodernistycznego w nauce, to i gramatykę kognitywną trzeba uznać za przejaw tego paradygmatu. Konstatację tę mógłbym wspomóc innymi jeszcze obserwacjami – uczyniłem tak zresztą w pierwszej części tej książki. Celem tych rozważań jest jednak przedstawienie głębszej różnicy w podstawach filozoficznych, na których obie koncepcje bazują. Różnica ta jest dla mnie na tyle istotna, iż podważa ona sugerowane w książce Taylora poszukiwania wspólnych podstawowych założeń, które nurt kognitywistyczny w językoznawstwie łączą z gramatyką kognitywną. Jedynym wspólnym założeniem byłaby teza, iż istnieje związek pomiędzy językiem i myśleniem. Sąd taki jest wszakże tak oczywisty, iż trudno jest posądzać któregokolwiek badacza języka, że mógłby oznaczyć go jako sąd fałszywy. To z kolei prowadziłoby do wniosku, że wszyscy językoznawcy mieszczą się w nurcie kognitywistycznym. Z całą pewnością Taylorowi nie chodziło o taką konkluzję, bo jeśli się przyjmie, że językoznawstwo mieści się w systemie nauk o poznaniu i komunikacji, a więc w systemie nauk kognitywnych, to wyłączenie poza nurt kognitywistyczny twórców gramatyki kategorialnej czy uogólnionej gramatyki struktur frazowych – jak to czyni Taylor – byłoby niedorzecznością.

Od systemu filozoficznego Arystotelesa wywodzi się rozgraniczenie trzech dziedzin, którymi zajmuje się filozofia, tj. dziedziny bytu, dziedziny myśli i dziedziny języka. W filozofii klasycznej dziedziną bytu zajmowała się metafizyka, dziedziną myśli teoria poznania, a dziedziną języka logika. O wzajemnych relacjach pomiędzy tymi dziedzinami pisze szczegółowo Mieczysław A. Krąpiec (1985), ukazując ich dość skomplikowany charakter. Konkluduje on

jednak, iż „język nasz i nasza myśl są ze sobą tak związane, że wzajemnie na siebie oddziałują i precyzują się” (s. 88). Wniosek ten, który bazuje na założeniach filozofii klasycznej, odgrywa w naszych rozważaniach kluczową rolę. Zgodnie z nią w klasycznych systemach filozoficznych oddziela się dziedzinę myśli od dziedziny języka, aczkolwiek szuka się też od wieków powiązań między myślą i językiem. Ważne jest przy tym, że wielu filozofów współczesnych kultywuje tę tradycję.

Bardzo duża grupa filozofów skłonna jest od tej tradycji odstąpić. Wprawdzie, jak pokazuje Krąpiec, spory dotyczące granic języka i poznania nieustannie towarzyszyły refleksji filozoficznej, dopiero jednak Ludwig Wittgenstein zakwestionował ich istnienie, wypowiadając znane dziś powszechnie zdanie „Die Grenzen meiner Sprache bedeuten die Grenzen meiner Welt”. Teza 5.6. Wittgensteina ma dziś wiele przeróżnych interpretacji i parafraz, w języku polskim funkcjonuje najczęściej w postaci maksymy „Granice mego języka oznaczają granice mego świata”. Zamiast formy czasownikowej *oznaczają* używa się czasownika posiłkowego *być* – wówczas zdanie to przybiera postać „Granice mego języka są granicami mego świata”. Bogusław Wolniewicz (1970) proponuje tu formę czasownikową *wskazują*. Taka wszak maksyma nie pojawia się w znanych mi tekstach komentujących tezy Wittgensteina. Tak czy inaczej, mówi się dziś powszechnie o zwrocie lingwistycznym w filozofii zapoczątkowanym przez autora *Traktatu logiczno-filozoficznego* i *Dociekań filozoficznych*, analizuje się też wpływ tego zwrotu na dzisiejszą filozofię (por. Rorty, 2007).

Zakwestionowanie granic pomiędzy językiem a poznaniem odbiło się najbardziej wyraźnie w filozofii analitycznej. Z jednej strony, niektórzy przedstawiciele (por. Ajdukiewicz, 1985) tego nurtu w filozofii dążą to stworzenia precyzyjnego języka bazującego na języku naturalnym. Z drugiej, inni filozofowie analityczni (np. Paul Grice) proponują koncepcję **języka** jako swoistego **kodu myśli**. Przeciwstawiają się tym samym traktowaniu języka jako narzędzia przekazywania myśli. Problemy te omawia szczegółowo Michael Dummett (1989), opowiadając się jednoznacznie przeciwko nieodgraniczaniu dziedziny myśli od dziedziny języka.

Pojmowanie języka jako kodu myśli powoduje, że w ramach nowej filozofii przyjmuje się istnienie nie trzech, ale dwóch dziedzin – dziedziny bytu i dziedziny myśli, która jest identyczna z dziedziną języka (lub dziedziny języka, która jest identyczna z dziedziną myśli). Koncepcja ta ma wielu zwolenników zarówno w filozofii, jak i w innych naukach humanistycznych i społecznych. Od niej już tylko krok do ujmowania życia społecznego w kategoriach ścierających się dyskursów. Już w latach sześćdziesiątych pojawiają się komunikacyjno-intencyjne koncepcje znaczenia. W bardzo znanym artykule *Znaczenie i prawda* Peter F. Strawson (1971) opowiada się zdecydowanie za takim



pragmatycznym podejściem do języka, powołując się przy tym na klasyczne dziś prace Johna Austina, Paula Grice'a i Johna Searle'a.

Wydaje się, że tzw. kognitywizm Chomsky'ego i gramatykę kognitywną należy rozważać w kontekście dwóch wyżej omówionych filozoficznych ujęć języka w jego relacji do dziedziny myśli. O ile Chomsky bliski jest tej tradycji, która wyraźnie rozgranicza trzy dziedziny, tj. dziedzinę bytu, myśli i języka, o tyle gramatyka kognitywna nawiązuje do filozoficznej koncepcji języka jako swoistego kodu myśli, a więc do systemów filozoficznych, które nie oddzielają dziedziny myśli od dziedziny języka. Różnicy tej przyjrzymy się dokładniej w następnych partiach tego artykułu.

Niemal od początku swojej refleksji nad językiem naturalnym Chomsky konsekwentnie głosi, że język jest narzędziem ujmowania myśli. Podstawowym argumentem za tą tezą jest konstatacja, że język dysponuje skończoną liczbą środków (jednostek i reguł ich łączenia) do oddania nieskończoności myśli. Zresztą zdaniem Chomsky'ego pierwszy dostrzegł ten fenomen Galileusz w *Dialogu* (por. Chomsky, 1999), on zaś sam przedstawił go za pomocą instrumentarium dostępnego we współczesnej lingwistyce.

Krapiec (1985, s. 34–50) w cytowanym już dziele przytacza wiele faktów z historii filozofii, które stały się przyczyną oddzielenia dziedziny myśli od dziedziny języka. Dla Tomasza z Akwinu istotna jest przeszkoda ciała, które uniemożliwia bezpośrednie zapoznanie się z myślą innej osoby. Po to właśnie, by tę przeszkodę pokonać, człowiek tworzy znaki. Dzięki nim może myśl tę przedstawić wprawdzie sobie, a następnie swojemu rozmówcy. By swoje poglądy przybliżyć, św. Tomasz się zastanawia, w jaki sposób komunikują się aniołowie, którzy – będąc czystymi duchami – nie używają słów i innych znaków stanowiących podstawowy arsenał w komunikacji ludzi. Argumenty z zakresu komunikacji w myśleniu Chomsky'ego nie mają charakteru pierwszorzędnych. Nie chodzi bowiem o stawianie pytań o to, czy język jest dobrym narzędziem komunikacji, ale pytań, czy język jest optymalnym narzędziem przydatnym do interakcji z wewnętrznymi systemami umysłu. Ujmowanie języka jako narzędzia komunikacji prowadzi w konsekwencji do koncepcji behawioralnych, z którymi Chomsky polemizuje od początku swojej działalności lingwistycznej. Problemowi temu przyglądamy się dokładniej w ostatnich partiach tej książki.

Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że gdyby nie istniały prace Chomsky'ego opublikowane po 1982 roku, o jego systemie lingwistycznym Taylor zapewne by nie napisał, że mieści się w ramach szeroko pojętego językoznawstwa kognitywnego, ale raczej uplasowałby go w tym samym kręgu, w którym znajdują się gramatyki kategorialne czy uogólniona gramatyka struktur frazowych, a więc w obrębie językoznawstwa nie-kognitywnego. W istocie bowiem opisy faktów językowych w rozszerzonej wersji standardowej gramatyki transformacyjnej (model sprzed 1982 roku) i uogólnionej gramatyki struktur frazowych

Gazdara (z początku lat osiemdziesiątych) różniły się tylko na poziomie notacji (por. Bobrowski, 1988). Poglądy Chomsky'ego na temat relacji języka z innymi wewnętrznymi systemami umysłu nie wynikały bezpośrednio z modelu generatywnego. Innymi słowy: można było mieć wtedy zupełnie inne przekonania co do relacji język–umysł, a mimo to uprawiać językoznawstwo generatywne, bo dostarczało ono skutecznych narzędzi do opisu faktów językowych.

W pracach psychologów czy filozofów, a także w tekstach Chomsky'ego sprzed 1982 roku, znajdziemy bardzo dużo rozważań na temat implikacji teorio-poznawczych gramatyki generatywno-transformacyjnej. Bardzo szczególną rolę odegrał tu metaforyczny termin *struktura głęboka*; struktura ta podlegała formalnym operacjom (transformacjom) zmieniającym ją w strukturę powierzchniową. Gdyby w pierwszych pracach Chomsky'ego pojawił się neutralny termin *struktura wyjściowa*, wtedy być może z większą ostrożnością formułowano by sądy o odkryciu dzięki transformacyjno-generatywnemu modelowi języka racjonalnych układów w podświadomości człowieka (Gawroński, 1984).

Sam Chomsky przyznaje pośrednio, że ówczesne dywagacje na temat relacji język–umysł (por. Chomsky, 1999) nie miały wystarczających podstaw wypracowanych w obrębie językoznawstwa generatywnego. Dużą rolę w wykrystalizowaniu się krytycznego stosunku do kluczowej roli struktury głębokiej odegrało zapewne powstanie koncepcji gramatyki beztransformacyjnej Gazdara, w której zastosowano aparaturę wypracowaną przez gramatyki kategorialne. Uogólniona gramatyka struktur frazowych (GPSG) nie zawierała pojęcia struktury głębokiej i transformacji, a mimo to opisywała w elegancki formalnie sposób wszystkie te fakty językowe, które stanowiły dla transformacjonalistów argument za wyprowadzaniem zdań powierzchniowych ze struktur głębokich. Skoro Gazdar udowodnił, iż transformacje nie są konieczne, trzeba było sceptycznie spojrzeć na ówczesne rozważania na temat relacji język–umysł, bazujące w dużej mierze na koncepcji struktury głębokiej.

Jak pamiętamy, w 1981 roku ukazała się praca Chomsky'ego przedstawiająca założenia nowego ujmowania języka, znanego pod nazwą teorii rządu i wiązania, a w 1982 książka przedstawiająca nowe spojrzenie na relację język–umysł powstałe pod wpływem tej teorii (Chomsky, 1982). Rok 1982 jest dla wielu badaczy rokiem przełomowym. Z punktu widzenia teoretyków poznania można mówić o przejściu od refleksji pre naukowej do formułowania w obrębie generatywizmu sądów naukowych na temat relacji język–umysł. W moim przekonaniu rok 1982 jest też przełomowy, ale oznacza on odejście Chomsky'ego od generatywizmu mieszczącego się w obrębie falsyfikacjonistycznego paradygmatu nauki. Tezę tę rozważaliśmy w poprzednim rozdziale.

Tak czy inaczej, głównej przesłanki, na podstawie której Taylor doszedł do wniosku, iż teorię Chomsky'ego należy włączyć do językoznawstwa kognitywnego, trzeba szukać w koncepcjach powstałych po 1981 roku, tj. w teorii

rządu i wiązania i – przede wszystkim – w programie minimalistycznym. Zastanówmy się zatem raz jeszcze nad najistotniejszymi cechami tego podejścia do języka, a następnie porównajmy je z ogólną charakterystyką gramatyki kognitywnej. Dotychczasowe teorie generatywne (zarówno rozszerzoną teorię standardową, jak i uogólnioną gramatykę struktur frazowych) w 1981 roku Chomsky uznał za pozbawione większego znaczenia teoretycznego, gdyż zamiast uniwersalnych zasad konstruujących uniwersalną gramatykę posługują się one kategoriami „inżynierskimi”, tj. takimi, które można wydobyć z dystrybucyjnej i taksonomicznej analizy faktów językowych. Takie modele spełniać mogą – co najwyżej – kryteria adekwatności opisowej, brak im jednak adekwatności wyjaśniającej.

Adekwatność wyjaśniającą osiąga – zdaniem Chomsky’ego – teoria tak ogólna, że można z niej wyprowadzać opisy poszczególnych języków. Ta ogólna teoria jest jednocześnie uniwersalną gramatyką języka naturalnego traktowanego jako optymalne narzędzie formułowania myśli. Pierwszą taką teorią była koncepcja znana pod nazwą teorii rządu i wiązania, funkcjonująca też pod bardziej adekwatną nazwą teorii zasad i parametrów. Uniwersalną gramatykę należy według tej koncepcji budować z dwóch różnych perspektyw. Pierwszą jest ogólny system gramatyczny, który składa się trzech komponentów: 1) leksykonu (słownika), 2) składni zawierającej komponent bazowy i transformacyjny, 3) komponentu interpretującego. Drugą perspektywą jest system uniwersalnych zasad zawierający m.in. teorię wiązania (*binding theory*), teorię rządu (*government theory*) i teorię ograniczeń (*bounding theory*). Różnice pomiędzy opisami poszczególnych języków sprowadzałyby się do ukazania przez badaczy innych parametrów realizowanych w odmiennych językach. Można np. pokazać, że gdzie indziej przebiega linia ograniczająca w języku polskim i angielskim, najogólniejsze wszakże zasady ograniczeń dla obu języków są takie same.

Jeszcze bardziej ogólną teorią jest program minimalistyczny (por. Chomsky, 1995). Jego podstawowym założeniem jest – jak pamiętamy z poprzedniego rozdziału – to, iż stosunkowo prosty mechanizm łączenia ze sobą jednostek leksykalnych w syntagmy wydaje się cechą charakterystyczną gramatyki każdego języka naturalnego, jest więc mechanizmem uniwersalnym. Nauczyć się języka to tyle, co opanować odpowiedni zbiór jednostek leksykalnych i ich cech, które umożliwiają tworzenie ciągów zbudowanych z tych jednostek. Taką zresztą teorię gramatyki opisał szczegółowo w latach siedemdziesiątych poprzedniego wieku Bogusławski (1978).

Język rozumiany jako zbiór jednostek wraz z wartościami pozwalającymi na łączenie się ich w syntagmy stanowi w koncepcji programu minimalistycznego jeden z modułów ludzkiego umysłu. Moduł ten wchodzi w relacje z innym modułem, który zawiera zbiór abstrakcyjnych pojęć i myśli. Właśnie w nim

powstaje pierwotny zamysł wypowiedzi. Zamysł ten przenika do modułu językowego, a w zasadzie do procesora językowego, który nadaje mu określoną formę logiczną i abstrakcyjną reprezentację leksykalną wraz ze strukturalizacją, by w końcu przybrać postać ciągu fonicznego. W programie minimalistycznym język jest zatem optymalnym narzędziem formułowania myśli.

Powstaje tedy pytanie, jak w gramatyce kognitywnej ujmowany jest język. Z prac gramatyków kognitywnych nie wyłania się jego jednolity obraz. W obszernej książce Taylora (2002) jest bardzo dużo szczegółowych analiz faktów językowych, trudno natomiast znaleźć uogólnienia jednoznacznie determinujące kontury języka. Jest to zresztą zrozumiałe. Skoro odrzuca się tezę o istnieniu modułu językowego, to można jedynie na bardzo wysokim poziomie ogólności powiedzieć, że język i umysł tworzą integralną całość. Każdy element języka ma zatem symboliczny charakter. Podstawową zaś jego funkcją jest komunikowanie znaczenia (por. Lakoff, 1987), a nie – jak u Chomsky’ego – przetwarzanie myśli. Różnice te wynikają – jak starałem się wykazać w tym tekście – z przyjmowanych (nieważne, czy w sposób jawny, czy niejawni) odmiennych założeń filozoficznych. Chomsky jako kognitywista jest skłonny przyjąć klasyczny trójpodział *res–intellectus–vox*, gramatycy kognitywni *vox* i *intellectus* chcą natomiast traktować jako nierozdzielalną całość.

## Prawdziwość zdań językoznawczych

W czasie przygotowywania przywoływanej tu wielokrotnie książki JR wydawało mi się, że koniecznie muszę odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie przebiega granica pomiędzy racjonalnymi sędami o języku a sędami, którym takie określenie nie przysługuje. W tym rozdziale pytanie to stawiam ponownie. Odpowiedź wszakże, którą dziś proponuję, jest zasadniczo odmienna od tej, której udzieliłem sobie wcześniej. Czytelnik tego tekstu może po jego przeczytaniu mieć w pełni uzasadnione wątpliwości, czy językoznawstwo, które wyłania się z tych rozważań, ma jeszcze jakiegokolwiek cechy paradygmatu racjonalnego. Wątpliwości tego rodzaju staram się osłabić w ostatnich partiach przedstawianego rozdziału.

Wydawać by się mogło, że podejmuję się tu rozwiązania problemów nierozwiązywalnych. Przecież pytanie o to, gdzie leży granica pomiędzy sędami racjonalnymi a refleksjami pozaracjonalnymi, jest jednym z najtrudniejszych pytań nie tylko współczesnego językoznawstwa, ale – jak miemam – również dzisiejszej humanistyki. Wiąże się ono z pytaniem jeszcze trudniejszym, które brzmi mniej więcej tak: czy jest sens uprawiania zdyscyplinowanego metodologicznie językoznawstwa, skoro – jak twierdzą bardzo opiniotwórczy przedstawiciele nauk o poznaniu – cała humanistyka jest jedynie zbiorem (meta) opowieści, a opowieściom tym nie przysługują tradycyjne kategorie prawdy lub fałszu? Jedyne społeczeństwo naukowców pewne opowieści jest skłonna uznać za prawdziwe, a inne odrzucić. Selekcji tej nie dokonuje się wszakże na podstawie rozstrzygających dowodów racjonalnych, lecz jest ona wypadkową różnych przekonań badaczy. Te z kolei kształtują się za pomocą intuicji i panującej w danym momencie mody intelektualnej.

Pytania tego typu stawiają sobie bardzo często badacze u progu kariery naukowej, ale też i dojrzały badacze. Często bywa przy tym tak, że odpowiedź,

która im przychodzi na myśl, zmienia ich dotychczasową praktykę. Porzucają refleksję zdyscyplinowaną, by zawierzyć intuicji i tzw. myśleniu zdroworozsądkowemu. Skoro wszystko jest w językoznawstwie jedynie opowieścią, to przecież jasne jest, że opowieści bazujące na dotychczasowych procedurach muszą być bardzo konwencjonalne, a przez to mniej poruszające od opowieści powstałych dzięki intuicji.

Wielu badaczy pozostaje wszak przy swoim dotychczasowym warsztacie. Niektórzy z pewnością nie stawiają sobie z różnych przyczyn powyższego pytania. Ci, którzy jednak je zadają, odrzucają wizję językoznawstwa jako zbioru metaopowieści. Niektórzy nie widzą dla tej koncepcji żadnych podstaw empirycznych – więcej, nawet nie próbują ich szukać. Mówią przy tym, że jest to moda, która wcześniej czy później przeminie. Podejściu takiemu nie można odmówić racji bytu, choć jest przecież oczywiste, że młodszy badacze zarzucą mu dogmatyzm. Na pewno nie sprzyja ono głębszej dyskusji w ramach językoznawstwa.

Ujęcie postmodernistyczne można też odrzucać w taki sposób, jak czynią to inni badacze, którzy widzą wprawdzie w argumentacji postmodernistów wiele trafnych spostrzeżeń dotyczących funkcjonowania nauki, ale nie stają się postmodernistami, gdyż nauka, dlatego że zawiera w sobie wiele procedur, a także jest wypadkową różnych opinii, minimalizuje ryzyko błędu. W tym gronie badaczy chciałby się znaleźć również autor tej książki. Ambicją jego jest jednak też to, by znaleźć zasadę, która pomocna byłaby w oddzieleniu trafnych stwierdzeń postmodernistycznych od takich, którym cecha trafności nie przysługuje. Wydaje się, że podjęte tu rozważania okażą się w tych poszukiwaniach bardzo pomocne.

Na pierwszy rzut oka każdy badacz może ze swojej dziedziny przytoczyć wiele przykładów potwierdzających słuszność argumentacji zwolenników narracyjnego charakteru językoznawstwa i innych nauk humanistycznych. Rozważmy zatem na początek kilka takich argumentów, by następnie przejść do dzisiejszych dylematów związanych z pojęciem prawdy i na tym tle zastanowić się raz jeszcze nad naturą sądów istniejących w dzisiejszej nauce o języku, a w konsekwencji – znaleźć klucz do wyróżnienia kilku kategorii tych sądów.

Na ukształtowanie się poglądu, że opinie powstałe w obszarze językoznawstwa są jedynie składnikami (meta)opowieści, wpłynęły z pewnością zarówno poglądy wpływowych językoznawców, jak i wrażenia wynikające z obserwacji zmian dokonujących się w ciągu ostatnich dziesięcioleci.

Podstawowe rozróżnienie abstrakcyjnego systemu i konkretnego tekstu postulowane już przez prekursorów strukturalizmu jeszcze w XIX wieku prowadzić musiało do konkluzji, iż tak naprawdę przedmiotem językoznawstwa jest system niedostępny bezpośredniej obserwacji. Skoro tak, to językoznawca

buduje jedynie model (przybliżony obraz) tego systemu, przy czym modeli takich może być teoretycznie nieskończenie wiele. Dodać trzeba, że mimo kilku prób opracowania kryteriów wartościowania modeli w świadomości wielu lingwistów długo funkcjonował pogląd, że rozstrzygające jest w zasadzie dość nieuchwytnie kryterium elegancji opisu. Inna natomiast grupa kierowała się w czasie wartościowania modeli także jeszcze bardziej tajemniczym kryterium adekwatności wyjaśniającej.

Ten brak rozstrzygających kryteriów spowodował, iż powstawały coraz to nowe koncepcje opisu języka, a lingwiści dzielili się na małe grupki. Podział ten był potęgowany przez rozpowszechniony pogląd, który głosił, iż owocna dyskusja może być prowadzona tylko w obrębie jednego paradygmatu. Jak pamiętamy z pierwszego rozdziału tej części książki, opinię tę Popper nazwał mitem schematu pojęciowego i usiłował z nim walczyć na obszarze filozofii nauki (por. Popper, 1994). Pogląd ten jednak spowodował, że w samym tylko generatywizmie powstało wiele niewspółmiernych koncepcji z sobie tylko znaną notacją i terminologią. W tym stanie rzeczy trudno się dziwić, iż w obrębie językoznawstwa ugruntował się relatywizm.

Nawet w językoznawstwie polonistycznym, w którym generatywizm nie odegrał zbyt wielkiej roli, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych pojawiło się kilka odmiennych koncepcji opisu gramatycznego z odmiennie zdefiniowanymi kategoriami leksykalnymi. Powstało też kilka konkurencyjnych koncepcji rodzaju gramatycznego, o których w tej książce już wspomnieliśmy. Poświęcimy im nieco uwagi także w tym rozdziale.

## Trzy ujęcia prawdziwości sądów

Naszkiecowana powyżej argumentacja zwolenników narracyjnego charakteru sądów językoznawczych poparta jest też bardziej ogólną argumentacją filozoficzną powstałą w wyniku zakwestionowania tradycyjnego ujęcia prawdy. Aczkolwiek dawniejsi językoznawcy – jak zauważa Jerzy Pelc (2003) – skłonni byli uważać, że w lingwistyce prawda nie odgrywa wielkiej roli, bo język służy zarówno do mówienia prawdy, jak i do mówienia nieprawdy, sceptycyzm pojawiający się w obszarze przecież nie tak odległym nie mógł wśród lingwistów pozostać niezauważony.

W każdym niemal podręczniku metodologii nauk dzisiejszemu rozumieniu pojęcia *prawda* poświęca się sporo miejsca (por. np. Grobler, 2006). Syntetycznie i bardzo trafnie trzy kręgi myślicieli opowiadających się za odmiennymi jej ujęciami przedstawia Leszek Kołakowski w eseju *Jest-że dla prawdy przyszłość jaka?* (2008).

Pierwszy krąg stanowią uczeni, którzy opowiadają się za wywodzącym się od Arystotelesa klasycznym ujmowaniem prawdy jako zgodności myśli



z rzeczywistością (*veritas est adequatio rei et intellectus*). Ujęcie to w poprzednim wieku uległo pod wpływem Tarskiego (1944) przeobrażeniom i funkcjonuje dziś w postaci formuły: sąd A jest prawdziwy, a więc sąd A stwierdza, że jest tak, i rzeczywiście jest tak. Ta formuła rozpowszechniła się pod wpływem interpretacji poglądów Tarskiego przez Kazimierza Ajdukiewicza (1949, s. 11 i nast.), choć z punktu widzenia semantyki języka naturalnego można mieć słuszne zastrzeżenia do użycia partykuły *rzeczywiście*. Jak pisze w recenzji wydawniczej Maciej Grochowski, „partykuła ta nie tylko nie wzmacnia prawdziwości sądu stwierdzającego zgodność z faktami, ale wręcz tę prawdziwość osłabia. Taki jest status wielu partykuł epistemicznych jako operatorów metatekstowych (niepodlegających negacji!), których eksplikacja wymaga odniesienia do nadawcy”.

Taka wszak formuła jest akceptowana przez dzisiejszych zwolenników klasycznego ujmowania prawdy. I tak przykładowo sąd *Zimą dni są u nas krótsze niż latem* jest sądem prawdziwym – stwierdza, że zimą dni są u nas krótsze niż latem, i rzeczywiście ZIMĄ DNI SĄ U NAS KRÓTSZE NIŻ LATEM. Podobnie jak inni filozofowie, Kołakowski określa takie pojmowanie prawdy przydawką *korespondencyjne*, bierze ją jednak w cudzysłów. Tak jak i on, nie będę tu rozważał problemów rozwiązywanych przez myślicieli akceptujących to ujęcie. Zakładam bowiem, że czytelnik takie klasyczne podejście do zagadnienia prawdy ma dość dobrze ugruntowane.

Do drugiego kręgu Kołakowski zalicza tych myślicieli, którzy optują za **koherencyjnym** ujmowaniem prawdy. W ramach tej koncepcji przyjmuje się, że każde zdanie funkcjonuje w całym spójnym systemie zdań. Konkretnie zdanie jest prawdziwe, jeżeli jest spójne z innymi zdaniami tego systemu. Oczywiście jest przy tym, że ocenie podlegają też całe systemy, których może być wiele. Powstaje wtedy problem kryteriów oceny systemu, w którym analizowane zdanie powstało.

Dość spora grupa filozofów reprezentuje pogląd nazywany niekiedy mianem **arcyracjonalizmu**. Stoją oni na stanowisku, że wybór systemu dokonuje się za pomocą ostatecznych i nieodwoalnych kryteriów. Ich stanowisko nazywa Grobler absolutyzmem (2006, s. 280), określając jednocześnie tę grupę myślicieli mianem prawicy intelektualnej (w opozycji do postmodernistów, określanych jako lewica intelektualna). Arcyracjoniści są w istocie zwolennikami korespondencyjnej koncepcji prawdziwości, widzą wprawdzie, że niektóre sądy należy z punktu widzenia ich prawdziwości rozpatrywać nie tylko w odniesieniu do rzeczywistości, ale też w kontekście innych sądów należących do tego samego systemu. Są oni wszak przekonani, że istnieją ostateczne i nieodwołalne kryteria wyboru jednego jedyne systemu sądów. W ramach tego właśnie systemu zdań można tylko mówić o prawdziwości sądów jako zgodności z rzeczywistością.

Z pierwszej części tej książki wynika, że autor jest zwolennikiem tzw. **umiarkowanego** racjonalizmu, który mówi o względnych, choć racjonalnie uzasadnionych kryteriach wyboru. Posiłkując się koncepcją Dąbskiej (1937), pokazuję, że w językoznawstwie znajdujemy wiele opinii pozaracjonalnych, lecz zadaniem metalingwistyki jest albo opinie takie włączać do koherentnego systemu sądów, albo wskazywać na ich nierozstrzygalny charakter, postulując jednocześnie wyeliminowanie ich z językoznawczego myślenia. Z rozważań zawartych w tym rozdziale wynika wszakże, że relacje pomiędzy zdaniem uzasadnianym racjonalnie i tymi, dla których takiego uzasadnienia trudno się doszukać, czynią wrażenie dużo bardziej skomplikowane. Do problemu tego powracam w końcowej części tego rozdziału.

Coraz liczniejszy dzisiaj jest trzeci krąg myślicieli, do których bardzo dobrze pasuje przydawka *pragmatyczny*. Jest on dość zróżnicowany wewnętrznie. Niektórzy przedstawiciele pragmatyzmu bliscy są koherencyjnemu rozumieniu prawdy, ale w rozważaniach o kryteriach wyboru systemu kierują się jego użytecznością. Inni natomiast skłonni są uważać, że prawda jest kategorią socjologiczną – to jest prawdziwe, co społeczność uczonych w danym momencie uznaje za prawdziwe. Społeczność uczonych może w swoim osądzie zdań się mylić. Tu zatem należy szukać przyczyny przywołanych na początku tego artykułu poglądów postmodernistycznych, zgodnie z którymi zdania wytworzone w obrębie nauki (szczególnie w obrębie humanistyki) to jedynie swoiste (meta)opowieści. W dalszej części tego tekstu, pisząc o pragmatycznej koncepcji prawdy, będę miał na uwadze to socjologiczne i komunikacyjne jej rozumienie.

Dodać trzeba, że dyskusja, której dziś jesteśmy świadkami, często ma charakter sporu raczej ideologicznego niż teoriopoznawczego. Najlepiej ilustruje to artykuł Richarda Dawkinsa (2003). Osobom, które wątpią w powszechne prawo ciężenia, bo przecież ono też jest tylko opowieścią, autor sugeruje, by w czasie podróży samolotem na konferencję naukową spróbowali wyskoczyć bez spadochronu z wysokości kilkunastu kilometrów. Takie wszak przedstawienie problemu prawdziwości nosi wszelkie znamiona dogmatyzmu, o którym już wspominałem na początku tych rozważań. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że ci myśliciele, którzy kwestionują korespondencyjne i koherencyjne ujmowanie prawdy, nie negują prawdziwości zdań o powszechnym prawie ciężenia, ale jedynie dotychczasowe kryteria uznawania tych zdań za prawdziwe.

O wiele bardziej konstruktywne jest stanowisko reprezentowane przez Groblera (1999). Ten racjonalistyczny metodolog i filozof w kontestacji tradycyjnego ujęcia prawdy nauki dostrzega bardzo istotny czynnik rozwoju refleksji naukowej. Stanowisko takie jest też bardzo bliskie autorowi tej książki.

## Współistnienie odmiennych sądów w językoznawstwie

### Założenia analizy

Po tym ogólnym dość wprowadzeniu przejdźmy do kwestii szczegółowych. Zastanówmy się mianowicie nad istotą zdań, które funkcjonują w dziedzinie wiedzy, którą określimy umownie językoznawstwem. Rozważać przy tym będziemy takie zdania, które są bardzo głęboko utrwalone w świadomości językoznawców polskich, należą bowiem do zdań bardzo często przewijających się w czasie edukacji każdego polskiego lingwisty. Jak się jednak okazuje, zdania te mają bardzo różnorodną naturę. I nie chodzi tu tylko o to, że niektóre z nich dotyczą kwestii gramatycznych z zakresu języka polskiego, a inne zawierają obserwacje na temat poglądów językoznawców. Analizować zatem będziemy te zdania, które są składnikiem czegoś, co nowocześnie określić by można mianem polskiego dyskursu lingwistycznego.

Nie opowiadając się za żadną filozoficzną koncepcją prawdziwości sądów, spośród znanych sobie zdań z językoznawstwa wybieram te, które mogą być uznane za prawdziwe przez zwolenników korespondencyjnego ujęcia prawdy, zauważając jednocześnie te, które w ramach tego ujęcia się nie mieszczą. W następnym etapie rozpatruję niemieszczące się tam zdania i analizuję je z punktu widzenia koherencyjnej koncepcji prawdy. Niektóre z tych zdań spełniają wymogi stawiane przez zwolenników koherencyjnego ujęcia prawdy. Znajduję jednak też takie, które wymogów tych nie spełniają, choć dla wielu językoznawców są zdaniami prawdziwymi. Spełniają więc one tylko socjologiczne warunki prawdziwości, są jedynie składnikami językoznawczej opowieści. Wydaje się przy tym, że trudno sobie wyobrazić językoznawstwo bez **współistnienia** zdań z trzech różnych zbiorów wyodrębnionych w powyższy sposób. Do problemu tego wracam przy końcu tego rozdziału.

### Zdania z językoznawstwa, które mogą być uznane za prawdziwe przez zwolenników korespondencyjnego ujmowania prawdy

Po głębszym namyśle zwolennik korespondencyjnego pojmowania prawdy może mieć trudności z podjęciem decyzji o uznaniu za prawdziwe wielu zdań, które na pierwszy rzut oka są kandydatami spełniającymi jego oczekiwania. Najmniej kłopotów będzie miał w wypadku zdań dotyczących faktów językowych. Z całą jednak pewnością uzna on za prawdziwy sąd:

Ciąg dźwiękowy *Pies gryzie kość* należy do języka polskiego.

W każdym razie napotka on mniej przeszkód w swoim rozumowaniu, niż gdyby miał za zadanie ocenę sądu:

Wyrażenie *Pies gryzie kość* jest zdaniem języka polskiego.

Słowo (termin) *wyrażenie* jest bardziej kłopotliwe od terminu *ciąg dźwiękowy*. O wiele bardziej kłopotliwym terminem okaże się dla niego *zdanie*. Termin *zdanie* musi być zdefiniowany za pomocą odniesienia do innych terminów językoznawczych, te zaś dotyczą zawsze pewnego abstrakcyjnego modelu języka. Zresztą *język* też jest bytem abstrakcyjnym, który nie podlega bezpośredniej obserwacji.

Wychodząc z tego założenia, w książce JR wszystkie zdania należące do językoznawstwa skłonny byłem uznawać za prawdziwe jedynie w ramach koherencyjnej koncepcji prawdy, bo wszystkie zdania powstają w ramach jakiegoś modelu abstrakcyjnego systemu językowego. Modeli takich może być przy tym nieskończenie wiele. Uznanie zatem pewnych zdań powstałych w ramach modelu za prawdziwe zgodnie z korespondencyjną koncepcją prawdy wymagałoby przyjęcia założenia, że istnieją ostateczne i nieodwołalne kryteria uznania tego modelu za najlepszy z możliwych. Jak już wspomniałem, znalezienie takich kryteriów przekracza ramy przyjmowanej przeze mnie metodologii lingwistyki.

Moje stanowisko w tej kwestii uległo pewnemu przeobrażeniu. Wydaje się bowiem, że istnieją takie sądy lingwistyczne, które mogą zostać włączone do wszystkich wyobraźalnych modeli języka. Sąd:

Mianownik liczby mnogiej rzeczownika DOM przybiera formę *domy*.

aczkolwiek zawiera konstrukty modelowe typu mianownik, liczba mnoga, może być uznany za prawdziwy w ramach korespondencyjnej koncepcji prawdy, żaden bowiem wyobraźalny model języka polskiego nie może nie zawierać takich konstruktów lub konstruktów inaczej nazwanych, ale mających identyczne znaczenie. Na mocy podobnych argumentów można w ramach korespondencyjnej koncepcji prawdy za prawdziwe uznać zdanie:

Czasownik GARDZIĆ wymaga od zależnego od siebie rzeczownika, by przybrał on formę narzędnika.

lub zdanie:

Czasowniki w języku polskim odmieniają się przez osoby.

W wypadku niektórych zdań ich pozorna przeciwstawność może zostać wyeliminowana za pomocą odwołania się do odmiennych znaczeń użytych w nich terminów. W parze zdań:

Wszystkie polskie rzeczowniki odmieniają się przez przypadki.

Nie wszystkie rzeczowniki w języku polskim odmieniają się przez przypadki.

użyto formy *odmieniają się* w dwóch odmiennych znaczeniach. Pierwsze zdanie jest prawdziwe w ramach korespondencyjnej koncepcji prawdy, gdy przyjmiemy, że *odmieniają się* to tyle, co ‘przyjmują składniowe wartości przypadku’, drugie zaś zdanie uznać można za prawdziwe w ramach korespondencyjnej koncepcji prawdy, jeżeli się przyjmie, że *odmieniają się* to tyle, co ‘zawierają w swoim wzorcu odmiany przynajmniej dwie różne formy’. W języku polskim istnieje np. rzeczownik DRZWI, który ma wszystkie formy synkretyczne, a zatem nie odmienia się w drugim rozumieniu tego słowa. Posiadanie jednej tylko postaci nie przeszkadza jednak temu rzeczownikowi przyjmować różne wartości przypadku, np. mianownika (*drzwi się zamknęły*) czy biernika (*chłopic zamknął drzwi*).

### **Zdania z językoznawstwa, które mogą być uznane za prawdziwe jedynie przez zwolenników koherencyjnego ujmowania prawdy**

Znajdziemy jednak w językoznawstwie wiele zdań, których prawdziwość może zostać orzeczona jedynie po zaakceptowaniu koherencyjnej koncepcji prawdy. Istnieją bowiem takie zdania powstałe w ramach pewnego systemu zdań, którym przeciwstawiają się zdania powstałe w ramach odmiennego systemu, różnice zaś wynikają z głębszych przyczyn niż kwestie terminologiczne.

Rozważmy choćby kilka zdań dotyczących rodzaju gramatycznego w języku polskim.

W języku polskim są trzy rodzaje rzeczownika: męski, żeński i nijaki.

W języku polskim jest pięć rodzajów rzeczownika: męskoosobowy, męskożywy, męskonieżywy, żeński i nijaki.

W języku polskim rodzaj rzeczownika uzależniony jest od jego liczby, w liczbie pojedynczej przybiera on albo rodzaj męski, albo rodzaj żeński, albo rodzaj nijaki; w liczbie mnogiej przybiera on albo rodzaj męskoosobowy, albo rodzaj niemęskoosobowy.

Wszystkie trzy zdania są prawdziwe w ramach pewnych modeli gramatycznych języka polskiego. Zdanie pierwsze jest prawdziwe w systemie zdań wyznaczających tzw. model tradycyjny. Drugie jest natomiast prawdziwe w systemie

zdań, który nazwiemy modelem Witolda Mańczaka (por. Mańczak, 1956), zdanie trzecie jest prawdziwe w modelu gramatycznym postulowanym wcześniej m.in. przeze mnie (por. Bobrowski, 2005), a ostatnio przez Bogusławskiego (2009). Pierwsze zdanie jest też prawdziwe w mojej najnowszej koncepcji rodzaju polskiego (por. Bobrowski, 2006a, 2010).

Mamy zatem cztery modele lingwistyczne, czyli systemy zdań, w ramach których trzeba rozważać prawdziwość powyższych trzech zdań. Zdanie pierwsze jest prawdziwe w dwóch modelach, zdanie drugie w jednym modelu, zdanie trzecie również w jednym modelu. W następnym etapie badania prawdziwości trzech powyższych zdań należy zatem poddać ocenie cztery modele lingwistyczne.

W metodologii lingwistyki zastanawiano się nad kilkoma hierarchiami kryteriów oceny modeli lingwistycznych. Pierwszy szczebel tych wszystkich hierarchii jest bezsporny. Jeśli modele lingwistyczne nie są sprzeczne wewnętrznie, należy zastanowić się nad ich zupełnością, czyli ocenić ich adekwatność opisową.

Spośród czterech modeli tylko model tradycyjny okazuje się niezupełny, bo nie opisuje akomodacji w połączeniach *widzę dobrego pana*, *widzę dobrego kota*, *widzę dobrego stół*, *widzę dobrych panów*, *widzę dobre koty*, *widzę dobre stoły*. Reguły składni zgody nakazują, by przymiotnik przyjął od rzeczownika jego przypadek, liczbę i rodzaj. W pierwszych trzech połączeniach mamy trzy różne rzeczowniki, ale w ramach modelu tradycyjnego posiadałyby one identyczne parametry, tj. biernik, liczbę pojedynczą i rodzaj męski. Przymiotnik powinien zatem przyjąć w trzech pierwszych połączeniach identyczną formę, tymczasem występują tam dwie formy przymiotnika (dwa razy *dobrego* i raz *dobry*). W trzech następnych połączeniach trzy różne rzeczowniki także posiadałyby identyczne parametry: biernik, liczbę pojedynczą i rodzaj męski. Przymiotnik też więc powinien przyjąć jedną formę, gdy tymczasem przyjmuje dwie (raz *dobrych*, dwa razy *dobre*). Zauważmy, że w wypadku pierwszych trzech zdań rzeczownik osobowy w liczbie pojedynczej *pan* i żywotny *kot* nakazują przymiotnikowi wybrać inną formę, niż czyni to rzeczownik nieżywotny, w wypadku natomiast trzech następnych rzeczownik osobowy w liczbie mnogiej *pan* każe wybierać przymiotnikowi inną formę niż ta, którą narzuca rzeczownik żywotny *kot* i rzeczownik nieżywotny *stół*.

Z tego punktu widzenia model Mańczaka, który postuluje wyróżnienie rodzaju męskiego osobowego, rodzaju męskiego żywotnego i męskiego nieżywotnego, jest w stanie opisać akomodacje morfologiczne w powyższych ciągach. Mówimy więc, że poziom metalingwistyczny nakazuje uznać zdanie *W języku polskim są trzy rodzaje gramatyczne* za fałszywe. Jego falsyfikacja następuje właśnie na poziomie nauki o nauce o języku polskim.

Zwrócić trzeba jednak uwagę, że nie tylko model Mańczaka poprawnie opisuje relacje akomodacyjne w powyższych sześciu zdaniach. Jest także w stanie

opisać je ten model, który zakłada istnienie trzech rodzajów rzeczownika w liczbie pojedynczej i dwóch w liczbie mnogiej oraz postulowany przeze mnie model, który zakłada istnienie tylko trzech rodzajów rzeczownika, ale pozwala jednocześnie, by rodzaj mógł składać się z podrodzajów. Możemy zatem powiedzieć, że na poziomie oceny zupełności modeli odrzuciliśmy jako niezupełne jedno z czterech ujęć rodzaju gramatycznego rzeczowników w języku polskim, nadal jednak nie możemy uznać za nieprawdziwy żadnego z trzech sądów, od których rozpoczęliśmy rozważania o rodzaju.

Musimy zatem wejść na następny szczebel hierarchii oceny modeli gramatycznych i tam szukać ewentualnego rozwiązania problemu. Sprawa okazuje się jednak dość skomplikowana, ponieważ na wyższym poziomie hierarchii znajduje się albo mało dla nas przydatne kryterium prostoty zaproponowane przez Hjelmsleva (1953), które zostało następnie zmienione na równie enigmatyczne kryterium elegancji opisu, albo jeszcze mniej przydatne kryterium adekwatności wyjaśniającej zaproponowane przez Chomsky'ego (1964, 1965). W poprzedniej części tej książki zaproponowałem w tym miejscu kryterium, zgodnie z którym o wyższości modeli gramatycznych zupełnych rozstrzyga ich stopień eksplicytności. Wydaje się wszakże, że rozważanie tych kryteriów nie ma większego sensu, ponieważ w każdym z wymienionych trzech modeli gramatycznych znajdują się argumenty przemawiające za ich wyższością, ale też z łatwością można wyliczyć wady każdego z nich.

Należy zatem przyjąć, że istnieje pokaźny zbiór sądów językoznawczych, o których możemy się wypowiadać jedynie z punktu widzenia koherencyjnej koncepcji prawdy. Tylko niektóre z nich jesteśmy w stanie uznać ostatecznie za fałszywe na podstawie kryteriów metalingwistycznych. Wiele z nich takiej ocenie się nie poddaje. Mówimy zatem, że są one prawdziwe w ramach ściśle określonego modelu lingwistycznego, przeniesione zaś do innego modelu stają się sądami fałszywymi.

### **Składniki językoznawczej opowieści**

Wśród zdań, które istnieją w obiegu naukowym, znajdują się również takie, których prawdziwości nie jesteśmy w stanie wykazać ani w ramach korelacyjnej koncepcji prawdy, ani w ramach koherencyjnej koncepcji prawdy. Uznaje się je w danym środowisku badaczy za prawdziwe – każdy niemal uczony pracujący nad danym zagadnieniem potrafi je bezbłędnie przytoczyć. Są one bowiem nieodzownymi składnikami komunikacji pomiędzy uczonymi. Prawdziwość tych zdań wynika właśnie z **pragmatycznej koncepcji prawdy** w jej skrajnym socjologicznym ujęciu.



### **Zerwanie z Arystotelesowską koncepcją kategoryzacji**

W pewnym momencie za pragmatycznie prawdziwą uznano opinię o zerwaniu z tradycją wywodzącą się od Arystotelesa w procesie kategoryzacji językowej. W różnych książkach (por. m.in. Tabakowska, 1995, ale też nawet Stefański, 2001, s. 20) powtarzano tezę, że kognitywizm zrywa z tradycyjną kategoryzacją wywodzącą się od Arystotelesa, która zakłada istnienie ostrych granic pomiędzy kategoriami, wprowadza zaś kategoryzację opartą na prototypie. Opinia ta nie może być uznana za prawdziwą w ramach koherencyjnej koncepcji prawdy, gdyż pominięto w niej teorię analogii zapoczątkowaną właśnie przez Arystotelesa, a w późniejszych wiekach twórczo rozwijaną przez jego komentatorów i naśladowców (por. Krąpiec, 1985). Arystoteles zauważał, że pewne okazy mogą do danej kategorii zostać zaliczone za pomocą analogii do innych okazów mieszczących się w tej kategorii. Skoro tak, to dopuszczał, że struktura kategorii jest niejednolita, pewne okazy należą do niej „bezpośrednio”, a inne na mocy analogii. Trzeba przy tym dodać, że teoria analogii była bardzo rozbudowana. Znalezione może nawet kilkaset różnych analogii, które otrzymały własne nazwy.

### **Koncepcja fonemu Jana Baudouina de Courtenay**

W osobnym szkicu analizuję opinię na temat pojęcia fonemu autorstwa Jana Baudouina de Courtenay, sformułowaną przez Romana Jakobsona i powszechnie uznawaną za prawdziwą (por. Bobrowski, 2009). Zdaniem wielu badaczy poglądy na temat fonemu Jana Baudouina de Courtenay z łatwością da się rozdzielić na te, które są prekursorskie w stosunku do współczesnej fonologii, jak i na takie, które są raczej uwsteczniające. Chodzi mianowicie o poglądy na temat fonemu jako wyobrażenia psychicznego dźwięku. Najdobitniej myśl ta wyrażona została przez Milkę Ivić (1965) w dwóch następujących fragmentach jej bardzo znanej książki *Kierunki w lingwistyce*:

Nawet pierwsza nowoczesna koncepcja fonemu narodziła się w okresie kazańskim; później jednak Baudouin de Courtenay wyrzekł się jej (Ivić, 1965, cytata za wyd. polskim, s. 97).

Baudouin de Courtenay już w latach siedemdziesiątych [XIX wieku] głosił wyraźnie, że wartości głosek bywają wykorzystywane do rozróżniania znaczeń. Kruszewski (około lat osiemdziesiątych), rozwijając jego myśl, podkreślał, że fonemy są to jednostki fonetyczne o szczególnej funkcji w porozumiewaniu się ludzi. Jednakże już w r. 1894 Courtenay odstąpił od swojej dotychczasowej fonetycznej zasady w określaniu pojęcia fonemu. Pod wpływem psychologizmu swoich czasów stopniowo przechodzi ku psychologicznej definicji fonemu i do końca mocno jej broni. W ostatecznym kształcie koncepcji Baudouinowskiej fonem jest to psychiczne wyobrażenie dźwięku, które, jako kategoria inwariantna, przeciwstawia się zmiennej – konkretnej, fizjofonicznej realizacji wyobrażenia

psychicznego, tj. konkretnemu dźwiękowi [w związku z tym Baudouin dzieli fonetykę na *fizjofonetykę* – naukę zajmującą się badaniem konkretnych dźwięków i *psychofonetykę*, której przedmiot stanowi psychiczny obraz dźwięku]. Pogląd ten jest zgodny z tym, co w nauce niemieckiej wieku XIX określano jako stosunek Sprachgebilde/Sprachakt. **Nie odpowiada on w najmniejszej mierze współczesnej koncepcji fonemu** (s. 133–134; podkreślenie I.B.).

Źródłem tej opowieści jest znany (bo też przetłumaczony na angielski) artykuł Romana Jakobsona *Kazańska szkoła polskiej lingwistyki i jej miejsce w światowym rozwoju fonologii*, opublikowany po raz pierwszy w „Biuletynie Polskiego Towarzystwa Językoznawczego” w 1960 roku (por. Jakobson, 1960). W artykule tym autor pokazuje, że już w 1868 roku Baudouin dowodził, iż różnice fonetyczne pomiędzy spółgłoskami bywają wykorzystywane do dyferencjowania znaczeń. Stąd już niedaleko do problemu niepodzielnych części fonetycznych i do poszukiwań atomów fonetycznych. Te zagadnienia opracowywał już wspólnie z Mikołajem Kruszewskim. W końcu przeszli razem do kwestii badania alternacji głosek różnych fonetycznie, ale etymologicznie pokrewnych. Fonem był zatem dla Baudouina i Kruszewskiego – zauważa Jakobson – pojęciem o szerokim zakresie – kontynuacja tego sposobu myślenia, który rozpoczęli obaj Polacy, należy dziś (tj. w latach sześćdziesiątych) do fonologii i do morfonologii.

Pod koniec wieku jednak nastąpiła, zdaniem Jakobsona, zasadnicza zmiana w poglądach Baudouina. Píše on o niej m.in. w następujący sposób:

Oto jeden z licznych i uderzających paradoksów fin de siècle'u: Baudouin de Courtenay, odkrywca jednego z centralnych pojęć nowoczesnej lingwistyki, był przekonany, że dostarczył zadowalającej teoretycznej definicji fonemu, charakteryzując go jako „ekwiwalent, czyli równoważnik psychiczny głoski” (Jakobson, 1960).

Tym samym problemy lingwistyczne zostały – zdaniem Jakobsona – przeniesione „w mglistą dziedzinę introspekcji”.

Można wszakże spróbować skonstruować inną nieco opowieść na temat fonologicznych poglądów Baudouina de Courtenay, która by była bardziej „przyjazna” – by użyć modnego dziś określenia – dla tego polskiego uczonego. Wynika ona z lektury fragmentów różnych pism uczonego, ale przede wszystkim z dzieła zatytułowanego skromnie *Próba teorii alternacyj fonetycznych* (1894).

Zacząć trzeba by było od tego, iż u Baudouina w okresie kazańskim można mówić o wykluwaniu się pojęcia fonemu jako pewnej abstrakcji, zespołu cech dystynktywnych dźwięku. Skoro jednak nie wy dobył on cech fonologicznie istotnych, nie mógł zbudować ich wiązek, a więc nie był w stanie przedstawić żadnego modelu systemu fonologicznego języka naturalnego. Pozostała z tego

okresu jedynie ogólna wizja i sąd, iż istnieją takie cechy fonetyczne, które są w stanie różnicować znaczenie wyrazów.

W późniejszym wszak okresie pod terminem *fonem* kryje się u niego pojęcie, które dziś określilibyśmy słowem *morfonem*. Gdybyśmy dziś zapytali, gdzie w modelu opisu języka umieścić to pojęcie, mielibyśmy poważne problemy. Pojęcie to należy do morfonologii, ale jest jednostką wyabstrahowaną z licznych wariantów alternacyjnych morfemu. Z zestawienia tych wariantów wychodzi nam szereg alternacyjny, a dopiero na wyższym poziomie abstrakcji postulujemy byt, który jest reprezentantem całego szeregu – a w zasadzie tylko jego etykietą. Nawet Nikołaj Trubecki charakteryzował to pojęcie jako złożone **wyobrażenie** wszystkich członów alternacji morfonologicznej (por. Trubetskoy, 1931, też Kowalik, 1997). Czy i jego można traktować jako epigona dziewiętnastowiecznego psychologizmu?

Pojęcie morfonemu można przybliżyć za pomocą jego odniesienia do innych kwestii gramatycznych. Posługując się koncepcją morfonemu autorstwa Romana Laskowskiego, którą wyabstrahowałem na swój użytek z morfologicznej części *Gramatyki współczesnego języka polskiego* (Grzegorzczkowska, Laskowski, Wróbel (red.), 1984), próbowałem (por. Bobrowski, 1999) wykazać zasadność argumentacji Mariana Kucały (1999) w jego krytyce poglądów Mirosława Skarżyńskiego (1999). Ten ostatni pokazuje, iż argumenty poprawnościowe, na podstawie których do substandardu zaliczana jest forma *wyłanczam*, nie mają prawa bytu w racjonalnej lingwistyce. Argumenty te – przypomnę – brzmią mniej więcej tak. Forma *wyłanczam* nie ma uzasadnienia lingwistycznego, ponieważ nieznana jest w polszczyźnie wymiana *o* na *q*. Ale przecież – argumentuje Skarżyński – nie mamy tu wymiany *o* na *q*, ale wymianę samogłoski *o* na *a* w grupie *on* (*wyłanczam*) na *an* (*wyłanczam*). Tak więc argumentacja poprawnościowców upada.

Kucała pokazuje wszakże, że wymiana *on* na *an* jest w zasadzie w jednej tylko parze (*wy*)*łanczam* : (*wy*)*łanczam*, a nie ma jej w innych parach, np. *wyszczać* : \**wysanczać*. Idąc tropem tego rozumowania, pokazuję, że blokadą niepozwalającą na pojawienie się wymian w parach typu *wyszczać* : \**wysanczać* jest morfonem A, który symbolizuje łańcuch alternacji, do którego m.in. należą ciągi foniczne *on*, *en*, a nie należy ciąg *an*.

Nieodparcie jednak nasuwa się po tym przedstawieniu pytanie o istotę morfonemu. Przecież jest on tylko etykietą łańcucha alternacyjnego. Baudouin odpowiada sobie, że jest to psychiczne wyobrażenie czy raczej psychiczny „równoważnik” – podobnie później czyni Trubecki. Czy zatem uprawniona jest teza, że ta jego odpowiedź jest powrotem do dziewiętnastowiecznego psychologizmu?

Można przytoczyć jako kontekst odpowiedzi Baudouina dzisiejszą fonologię naturalną – tak zresztą czyni Laskowski w *Encyklopedii językoznawstwa*

*ogólnego* (hasło *Fonologia naturalna* Laskowski, 1999) – która głosi, że za procesami fonologicznymi stoi fonetyczna i psychologiczna rzeczywistość, bo gdy ta niesprawiedliwa – w moim przekonaniu – opowieść Jakobsona powstawała, fonologii naturalnej jeszcze nie było. Powstałaby więc nie opowieść alternatywna do tej, którą rozpoczął Jakobson, ale raczej kolejna narracja o tym, jak pewne poglądy uchodzące w jakimś okresie za przestarzałe są nobilitowane w przyszłości.

W czasie, kiedy Roman Jakobson rozpoczynał swoje studia nad szkołą kazańską lingwistyki polskiej, była natomiast znana koncepcja znaku Hjelmsleva, były też powszechnie znane zasady analizy fenomenologicznej. Myślę, że odpowiedź Baudouina z powodzeniem można umieścić jako prekursorską w stosunku do tych dwóch idei.

Jakobson twierdzi, że „co prawda, przestarzały psychologizm Baudouina był w gruncie tylko kamuflażem dla uzasadnienia jego odkryć w oczach współczesności – i jego własnych, bo i on był dzieckiem swego wieku” (Jakobson, 1960, s. 26). Z punktu widzenia dzisiejszych nauk o poznaniu (kognitywistyki) psychologizm wcale nie jest przestarzały. Dla Jakobsona w środku wieku XX poglądy Wilhelma Wundta były z pewnością reliktem intuicjonizmu. Przydawką *przestarzały* nie mógł on jednak opatrzeć poglądów fenomenologicznych głoszonych przez Husserla. W książce *Współczesne metody myślenia* Józef M. Bocheński (1992) bardzo wysoko ceni metodę fenomenologiczną, uważając ją za jedną z najważniejszych z dzisiejszego punktu widzenia. Te z kolei poglądy wywodzić można od Franza Brentano, którego naśladowcą był Kazimierz Twardowski. Wiadomo przy tym, że jednym z głównych propagatorów idei intencjonalności stał się w drugiej połowie poprzedniego wieku John Searle (1983).

Poglądu Baudouina de Courtenay, że (mor)fonem jest psychicznym obrazem dźwięku, nie umieściłbym za Jakobsonem w kontekście psychologizmu dziewiętnastowiecznego, ale w tym nurcie myślenia, który wywodzi się właśnie od Brentano, a do którego kluczem jest termin *intencjonalność* w odniesieniu do bytu. Twardowski – twórca szkoły lwowsko-warszawskiej – wprowadził pod koniec XIX wieku do obiegu filozoficznego rozróżnienie pomiędzy treścią i przedmiotem wyobrażenia (por. Twardowski, 1992). W rozprawie *O treści i przedmiocie przedstawień*, o której się mówi, że wywarła ona wpływ na system filozoficzny Husserla, Twardowski zwraca uwagę na to, że przedmiot istnieje niezależnie od aktów psychicznych. Mówiąc natomiast o *treści*, orzeka się o tym, czego istnienie jest zależne od zaistnienia aktu psychicznego (por. też Cavallin, 1997).

Można zatem pokusić się o następującą konkluzję wynikającą z tamtego wywodu. **Przedmiotem** wyobrażenia (mor)fonemu są opisane przez Baudouina de Courtenay alternacje, **treścią** zaś (mor)fonemu jest przedstawienie, czyli „równoważnik” psychiczny szeregu alternujących głosek.

Warto przy tym zwrócić uwagę na bliskość rozróżnienia dokonanego przez Twardowskiego z koncepcją znaku językowego Hjelmsleva (1953), który swoje prace ogłaszał mniej więcej w tym samym czasie, w którym powstawał artykuł Jakobsona o szkole kazańskiej.

Jak wiadomo, Hjelmslev, „poprawiając” koncepcję znaku de Saussure’a, postulował, by odróżnić, z jednej strony, płaszczyznę treści od płaszczyzny wyrażania, a z drugiej strony płaszczyznę formy od płaszczyzny substancji. Znak należy zatem – zdaniem Hjelmsleva – rozpatrywać nie na dwóch (jak Saussure), ale na czterech płaszczyznach. Substancją znaku na płaszczyźnie treści byłby konkretny element rzeczywistości, a formą na płaszczyźnie treści – jego psychiczny obraz. Substancją na płaszczyźnie wyrażania jest z kolei konkretny ciąg dźwiękowy, a formą na płaszczyźnie wyrażania psychiczny obraz tego ciągu. Na marginesie warto zwrócić uwagę, że bardzo podobną interpretację koncepcji Hjelmsleva znajdziemy u Ivić (1965, s. 191). Nie pisze ona jednak wcale, że takie widzenie dźwiękowej strony języka jest cofnięciem się do dziewiętnastowiecznego psychologizmu. Teza taka byłaby przecież bardzo trudna do uzasadnienia.

Skoro zatem opowieści Jakobsona możemy przeciwstawić inną, równie prawdopodobną, trzeba uznać, że żadna z nich nie spełnia warunków nakładanych na zdania prawdziwe w koherencyjnej koncepcji prawdy. Obie opowieści poszukują przecież swoich racji logicznych w powszechnie znanych nurtach myślowych, ale inaczej interpretują ich wpływ na sposób myślenia Baudouina de Courtenay. Różnica pomiędzy tymi opowieściami sprowadza się w zasadzie do tego, że opowieść Jakobsona jest przez wielu językoznawców traktowana jako sąd prawdziwy, moja natomiast jest nawet przeze mnie uznawana właśnie jedynie za opowieść. Pierwsza opinia jest więc prawdziwa z punktu widzenia socjologicznej koncepcji prawdy, druga jest tylko hipotezą, która prawdopodobnie nigdy nie uzyska statusu pierwszej.

### **Asynchroniczna wymowa polskich samogłosek nosowych**

Na podstawie dotychczasowych rozważań można odnieść wrażenie, że wśród sądów, którym prawdziwość można przypisać w ramach korespondencyjnej i koherencyjnej koncepcji prawdy, znajdują się jedynie te, które traktują o języku, a wśród sądów, którym prawdziwość można przypisać w ramach pragmatyczno-socjologicznej koncepcji prawdy, znajdują się wszystkie te, które należą do metalingwistyki. Generalizacji takiej przeczy m.in. funkcjonowanie w tzw. obiegu lingwistycznym następującego sądu dotyczącego historii języka polskiego:

W języku polskim asynchroniczna wymowa samogłosek nosowych przed spółgłoskami zwartymi rozpoczęła się XIX wieku.

któremu nie można – w moim przekonaniu – przypisać prawdziwości ani w korespondencyjnej, ani w koherencyjnej koncepcji prawdy, mimo że przez wielu językoznawców sąd ten uznawany jest za prawdziwy.

W osobnym artykule (Bobrowski, 2000) przedstawiam pełniejszą argumentację na rzecz tezy, że początku asynchronicznej wymowy samogłosek nosowych można równie dobrze dopatrywać się w staropolszczyźnie. Skoro dziś badania laboratoryjne nie pozostawiają wątpliwości co do tego, że Polacy słowo *dęby* wymawiają jako /demby/, to nic nie stoi na przeszkodzie, by początków takiej artykulacji szukać nie w czasach nowożytnych, ale w bardzo odległej przeszłości. Ani jednak zdanie, od którego rozpoczęliśmy te uwagi, ani też zdanie, że proces ten rozpoczął się w wiekach średnich, nie mogą zostać ostatecznie zanegowane. W prawdziwość pierwszego zdania historycy języka wierzą, w prawdziwość drugiego powątpiewają. Pierwsze jest zatem składnikiem językoznawczej opowieści, drugie w opowieści językoznawczej się nie mieści.

## Podsumowanie

Różnice pomiędzy moimi poglądami zawartymi w JR a poglądami dzisiejszymi polegają przede wszystkim na tym, iż wcześniej zdania poddające się osądowi jedynie z punktu widzenia pragmatyczno-socjologicznej koncepcji prawdziwości (określałem je jako pozaracjonalne) traktowałem za Izydorą Dąbmską jako **przypadkowe**, „zaplątane w nauce” – w „idealnym” językoznawstwie konieczne do wyeliminowania. Obecnie zaś uważam, że bez nich uprawianie językoznawstwa jest niemożliwe. Są one bowiem koniecznym składnikiem dyskursu lingwistycznego. Bez nich edukacja lingwistyczna byłaby zupełnie nieefektywna, a prace lingwistyczne niezawierające odwołań do tych zdań byłyby całkowicie nieczytelne. Potrzebna jest wszakże nieustanna refleksja nad charakterem zdań składających się na dyskurs lingwistyczny, a więc refleksja z zakresu filozofii językoznawstwa.

W JR zakładałem też, że prawdziwość wszystkich zdań z zakresu językoznawstwa można oceniać tylko z punktu widzenia koherencyjnej koncepcji prawdy. Obecnie dostrzegam też istnienie sporego zbioru zdań, które za prawdziwe mogą uznać też zwolennicy korespondencyjnej koncepcji prawdy. Wcześniej skłonny byłem zakładać, że istnieją racjonalne i na tyle skuteczne kryteria oceny modeli lingwistycznych, że na ich podstawie można dokonać wyboru modelu najlepszego z istniejących. Takie zatem kryteria oceny należały bez wątpienia do metodologii językoznawstwa. Obecnie uważam, że kryteria te są raczej składnikami filozofii językoznawstwa. Choć nie rozstrzygają one wielu spornych kwestii, to jednak powinny towarzyszyć każdemu językoznawcy w czasie konstruowania przez niego sądów dotyczących budowy języka.



Powstaje tedy pytanie, czy takie językoznawstwo, które teraz proponuję, może być jeszcze określane przydawką *racjonalne*. Odpowiedź pozytywna wynika przede wszystkim z mojego założenia, że na poziomie filozoficznej refleksji lingwistycznej badacz powinien być w stanie określić trzy kręgi zdań należących do jego dyscypliny, a także umieć każdorazowo określić status sądów tworzonych przez siebie lub odbieranych z przekazów innych badaczy. Dysponuje on bowiem aparatem poznawczym, na podstawie którego pewne sądy uzna za należące do centrum językoznawstwa, inne zaliczy do drugiego kręgu, tj. do grupy sądów uznawanych za prawdziwe w ramach wyznaczonego modelu lingwistycznego, inne jeszcze uzna za nieodzwonne składniki swojego dyskursu, choć nie będzie miał wystarczających podstaw racjonalnych, by twierdzić, że mieszczą się one wśród zdań spełniających warunki nakładane przez zwolenników koherencyjnej koncepcji prawdy.

Wydaje się, że z rozważań tych wynika także wniosek natury jeszcze bardziej ogólnej. Teza o narracyjnym charakterze humanistyki zrodziła się w dziedzinie, która znajduje się na pograniczu filozofii i historii idei. Sama zatem natura opinii formułowanych w obrębie tych dziedzin, a szczególnie w tej ostatniej, jest bardzo podobna do opinii głoszonych w metalingwistyce. Ci zatem uczeni, którzy nieustannie mają do czynienia z sądami niepoddającymi się osądowi nawet w ramach koherencyjnej koncepcji prawdy, bardzo łatwo mogą przejść do skrajnego sceptycyzmu i niezwykle krytycznego stosunku do humanistyki jako takiej. Grobler (1999) w książkach postmodernistów widzi wyrafinowaną parodię dzieł naukowych. Czytając teksty Richarda Rorty'ego (np. 2007), odnoszę bardzo podobne wrażenie.

Racjoniści z tej parodii powinni wyciągnąć taki wniosek, iż należy bardzo wnikliwie przyrzeć się podstawowym sądom należącym do centrum uprawianej przez siebie nauki. Ważne jest przy tym poszukiwanie wyraźnych granic pomiędzy sądami poddającymi się asercji i zdaniem, które na obecnym etapie refleksji naukowej są jedynie elementami (meta)opowieści.



## Zakończenie

Na zakończenie tych rozważań powróćmy do najistotniejszej kwestii, która wielokrotnie pojawiała się w różnych miejscach tej książki. Jej omawianie można rozpocząć od dość banalnego na pierwszy rzut oka pytania. Czemu mianowicie ma służyć język? Pytanie takie postawione na doktoranckim seminarium językoznawczym wywołuje konsternację. Na początku wydaje się jego uczestnikom kpiną. Są oni zapewne przekonani, że takich pytań się nie powinno na tym poziomie zadawać, bo odpowiedź na nie jest oczywista. Jeśli jednak prowadzący nie przestraszy się równie kpiących, jak samo pytanie, spojrzeń uczestników i będzie nalegał, by ktoś wreszcie wydobył z siebie głos, zapewne usłyszy rzucone od niechcienia słowo *komunikacji*. Wszyscy uczestnicy odetchną wtedy z ulgą, że już się ten koszmar skończył. Bo słowo *komunikacji* przyszło od razu do głowy każdemu z nich. To przecież takie oczywiste.

Opisany w powyższym akapicie scenariusz mógłby się nie sprawdzić w rzeczywistości uniwersyteckiej w jednym tylko – jak się zdaje – wypadku, tj. wtedy, gdy wśród doktorantów znajdzie się osoba deklarująca się jako wyznawca programu minimalistycznego głoszonego od lat dziewięćdziesiątych poprzedniego wieku przez Chomsky’ego. Na pytanie, czemu służy język, Chomsky (por. np. 1986) odpowiada sobie, że jest narzędziem formułowania myśli. Podstawowym zaś zadaniem językoznawstwa jest udowodnienie przyjętej za pewnik tezy, że narzędzie to można określić przydawką *optymalne*.

Wybór odpowiedzi na tak postawione pytanie w zasadniczy sposób wpływa na sposób uprawiania językoznawstwa. Ogromna większość językoznawców akceptuje wypracowany w ramach semiotyki podział na syntaktykę, semantykę i pragmatykę. W rozdziale dotyczącym przedmiotu językoznawstwa genderowego oszacowaliśmy, że w dzisiejszych czasach badacze syntaktyki i semantyki języka są wśród lingwistów w zdecydowanej mniejszości. Najwięcej jest badaczy pragmatyki języka. Jeszcze w latach osiemdziesiątych poprzedniego

stulecia proporcje te były odwrotne. Odpowiedź Chomsky’ego można więc nawet uznać za pewien rodzaj kontestacji dzisiejszego biegu spraw w językoznawstwie.

Niektórzy językoznawcy znajdują prostą receptę, rozwiązującą ich zdaniem ów dylemat. Zamiast podstawowej konstrukcji generatywistycznej, tj. kompetencji językowej, wprowadzają oni konstrukt określany jako kompetencja komunikacyjna. Pisze o tym szczegółowo Stanisław Grabias (1997, s. 33–9). Ogólnie jest to pojęcie szersze, kompetencja językowa jest w tej koncepcji fragmentem kompetencji komunikacyjnej. W skład tej kompetencji komunikacyjnej wchodziłaby też jasna wiedza na temat relacji społecznych i uwarunkowanych nimi konwencji dyskursywnych. Tego typu rozwiązanie przyjąłem zresztą w pierwszym rozdziale drugiej części tej książki.

Wydaje się wszakże, że takie postawienie sprawy nie rozwiązuje dylematu Chomsky’ego. Ani Chomsky, ani nikt inny nie zaprzecza prawdziwości zdania, że język naturalny wykorzystywany jest w komunikacji społecznej. To jest przecież oczywiste. Rozwiązanie polegające na zastąpieniu konstruktu pod nazwą *kompetencja językowa* konstruktem nazwanym *kompetencją komunikacyjną* nie daje odpowiedzi na podstawowe pytanie Chomsky’ego – to mianowicie, czy język jest narzędziem formułowania myśli.

Inne narzucające się rozwiązanie, które sprowadzić można do zbudowania zdania złożonego połączonego spójnikiem koniunkcji, mianowicie: *Język naturalny jest narzędziem formułowania myśli i środkiem komunikacji interpersonalnej* jest też rozwiązaniem pozornym. Zakłada ono, że stanowisku Chomsky’ego zarzucić trzeba spojrzenie zbyt wąskie, podczas gdy język i jego rolę trzeba analizować w szerszej perspektywie. W istocie Chomsky uprzedza ów zarzut, ponieważ wprowadza bardzo istotne rozróżnienie na język wewnętrzny – *internalised language (I-Language)*, który jest właśnie narzędziem formułowania myśli, i język zewnętrzny – *externalised language (E-Language)*, który jest narzędziem komunikacji.

Odpowiedź za pomocą powyższej koniunkcji zakłada też, że sąd Chomsky’ego o języku jako narzędziu formułowania myśli, należy do zdań prawdziwych. A właśnie prawdziwość tego zdania jest kwestionowana przez bardzo wielu współczesnych filozofów języka, których poglądy stanowią bazę dla współczesnej pragmatyki lingwistycznej.

Wydaje się zatem, że tzw. zdroworoządkowe odpowiedzi i rozwiązania koncyliacyjne nie są w stanie zlikwidować barier pomiędzy poszczególnymi paradygmatami językoznawczymi. Jedynie odnalezienie założeń filozoficznych, na których zbudowane są współczesne systemy lingwistyczne, może prowadzić do zaistnienia rzeczywistej debaty pomiędzy poszczególnymi grupami językoznawców, a w konsekwencji – do obalenia mitu schematu

pojęciowego lub przynajmniej ograniczenia jego oddziaływania na współczesne językoznawstwo.

W książce tej podjąłem próbę takich poszukiwań. W jej pierwszej części przedstawiłem założenia filozoficzne przyjęte w moich wcześniejszych pracach. Ta wcześniejsza przyjęta przeze mnie teoria lingwistyczna bazowała na czterech filarach. Pierwszy to umiarkowany racjonalizm wypracowany w lwowsko-warszawskiej szkole filozoficznej, przede wszystkim przez Dąbalską. Umiarkowany racjonalizm zakłada, że – po pierwsze – pewne założenia dotyczące przedmiotu badań naukowych przyjmuje się na mocy intuicji, po drugie – zadaniem naukowca jest także tropienie w swojej dziedzinie wiedzy sądów, które nie mają uzasadnienia racjonalnego, tj. sądów pozaracjonalnych.

Drugim filarem tej konstrukcji językoznawczej jest redukcja teoriopoznawcza wywodząca się z fenomenologii Husserla. Na jej podstawie wprowadzam konstrukt o nazwie *zdanie językoznawcze*, a zbiór zdań językoznawczych określam mianem *języka językoznawczego*. Oba te konstrukty potrzebne są do tego, by odróżnić język, który należy do sfery ludzkiego umysłu, od zbioru empirycznych wyrażań, które są przejawem działania ludzkiego języka.

Falsyfikacyjna koncepcja nauki zaproponowana przez Poppera stanowi trzeci filar filozoficzny mojej dawniejszej teorii lingwistycznej. Dzięki niej można falsyfikować kolejne etapy budowy modelu języka naturalnego, konfrontując generowane przez niego ciągi ze zbiorem zdań językoznawczych. Do procesu falsyfikacji należy też dołączyć kryteria oceny empirycznie dostępnych modeli języka.

Ostatecznym kryterium oceny modeli nie może być jednak ich naturalność, czyli zgodność z oryginałem, lub tzw. moc eksplanacyjna modelu. O żadnym z modeli języka generujących zbiór zdań językoznawczych nie można powiedzieć, że jest on najlepszy z możliwych. Przeciw takiej tezie świadczyłaby koncepcja nauki Poppera, w której nauka jest zawsze zbiorem hipotez obowiązujących dopóty, dopóki nie ulegną falsyfikacji. W swojej koncepcji lingwistycznej zakładałam także, że o żadnym realnie istniejącym modelu języka nie można powiedzieć, że jest zgodny z oryginałem, ponieważ przyjmuję, że wyjaśnianie w lingwistyce nie ma charakteru nomotetycznego. Właśnie filozoficzna teza Bogusławskiego o braku w lingwistyce wyjaśniania nomotetycznego jest czwartym filarem poprzedniej mojej teorii lingwistycznej.

Ważną rolę w mojej wcześniejszej refleksji metajęzykoznawczej odgrywało też krytyczne spojrzenie na kierunki językoznawcze, które dziś ze sobą konkurują. Podstawowe cechy charakterystyczne współczesnych kierunków lingwistycznych wynikają z ich umocowania w filozofii nauki, a ściślej – w paradygmatach nauki utworzonych dzięki pracom powstałym w ramach filozofii nauki. Temu zagadnieniu przyglądam się szczegółowo w końcowych partiach

pierwszej części książki. Jak już kilkakrotnie się zastrzeżałem, encyklopedyczny niekiedy zarys poszczególnych paradygmatów jest tu zabiegiem celowym – służyć ma przede wszystkim uzasadnieniu głównej tezy. Tej mianowicie, że językoznawstwo historyczno-porównawcze jest przejawem paradygmatu indukcyjnego, który wywodzi się z filozofii pozytywistycznej, strukturalizm jest przejawem paradygmatu weryfikacjonistycznego, którego podstawy znajdziemy w neopozytywizmie Koła Wiedeńskiego, generatywizm jest przejawem falsyfikacyjnej koncepcji nauki, której założenia filozoficzne wypracował Popper, językoznawstwo kognitywne zaś mieści się w niejednorodnym nurcie wiedzy powstałej w ramach postmodernizmu.

Tak uformowana teoria lingwistyczna i koncepcja lingwistyki w następnej części książki poddana została szczegółowej analizie. W jej wyniku okazało się przede wszystkim, iż we wcześniejszej koncepcji **przedmiot** lingwistyki został wyodrębniony zbyt rygorystycznie. Na początku drugiej części poręcznym kluczem porządkującym współczesne językoznawstwo okazała się koncepcja Poppera, który w swojej filozofii wyróżnia trzy światy, tj.: świat numer jeden, czyli świat zewnętrzny, świat numer dwa, czyli świat ludzkich myśli, i świat numer trzy, który składa się z wytworów ludzkich myśli. Przedmiot językoznawstwa, który został nakreślony w pierwszej części książki, według koncepcji filozoficznej Poppera należy do świata numer dwa. Dla niektórych odłamów językoznawstwa przedmiotem badania nie jest jednak język należący do świata numer dwa, ale język ujmowany jak zbiór tekstów, które należą do świata numer trzy. W taki sposób postrzegają przedmiot językoznawstwa badacze wielkich korpusów tekstowych, którzy skłonni są zakładać, że językoznawstwo nie jest odległe od nauk przyrodniczych.

Podobnie język traktują polscy badacze, którzy rekonstruują tzw. językowy obraz świata i docierają do stereotypów językowych. Wprawdzie w ich pracach teoretycznych przyjmuje się, że język należący do świata numer dwa narzuca sposób widzenia świata, ale konkretne badania każą wątpić w to, że docierają oni do ewentualnych mechanizmów, które by ukazywały, jak ów proces narzucania wizji świata przez język się odbywa. Badają oni bowiem kolokacje jednostek leksykalnych w zgromadzonych tekstach, ich prace empiryczne są więc bardzo bliskie tym, które powstają w ramach językoznawstwa korpusowego.

Nieco inaczej przedmiot badań postrzegany jest przez zwolenników językoznawstwa genderowego. Tu również przedmiotem refleksji jest język należący do świata numer trzy, ale nie jest to zbiór tekstów wytworzonych za pomocą języka ze świata numer dwa, lecz wypracowane przez językoznawców modele języka. Okazuje się jednak, że wnioski dotyczące dyskryminacji płci przyjęte na podstawie obserwacji jakiegoś modelu języka niekoniecznie są zgodne z tymi wnioskami, które dałoby się wyprowadzić podczas obserwacji innego modelu tego samego języka naturalnego. Temu zagadnieniu

przyglądam się z punktu widzenia nazw zawodowych kobiet i rodzaju gramatycznego w języku polskim.

Również sama koncepcja nauki jako zbioru zdań racjonalnych, wśród których odnaleźć też można „zaplątane” zdania pozaracjonalne, jest zbyt wąska. Jeśli bowiem przyjrzymy się współczesnemu językoznawstwu, z łatwością zauważymy w nim zarówno sądy, które może uznać za prawdziwe zwolennik korespondencyjnej i koherencyjnej koncepcji prawdy, ale także sądy, które funkcjonują w nauce jako prawdziwe, choć można znaleźć dla każdego z nich sądy przeciwstawne, które są równie prawdopodobne. Tej grupie zdań status prawdziwych może zostać przypisany wyłącznie na podstawie pragmatycznej koncepcji prawdy. Problemowi temu poświęcony jest rozdział zatytułowany *Prawdziwość zdań językoznawczych*. W jego konkluzji zawarty został pogląd, że językoznawstwo racjonalne nie tyle powinno starać się wyłączyć z nauki zaplątane w niej zdania pozaracjonalne, ile zająć się refleksją metodologiczną, która pozwoliłaby każdorazowo rozstrzygnąć, jaka jest natura analizowanego sądu z punktu widzenia filozoficznych koncepcji prawdziwości.

Także omówione w pierwszej części książki przypisanie kierunku językoznawczego do określonego paradygmatu nauki może się wydawać zbyt schematyzujące. Ukazuję to na przykładzie generatywizmu, który nie w pełni mieści się w obrębie paradygmatu falsyfikacyjnego. Od czasu zaproponowania przez Chomsky’ego teorii zasad i parametrów temu odłamowi generatywistów, którym patronuje twórca gramatyki transformacyjnej, przyświeca bowiem cel zbudowania gramatyki uniwersalnej. Wydaje się, że przyjęcie takiego celu uniemożliwia kierowanie się w czasie budowania modelu języka zasadami wypracowanymi w ramach falsyfikacjonizmu. Ten odłam generatywistów połączyć trzeba z rodzajem się obecnie konstruktywizmem. Zagadnienie to omawiam szerzej w przedostatnim rozdziale.

Druga część książki rozpoczyna się od rozważań na temat tego, że językoznawcy dzisiejsi często są wyznawcami poglądu, zgodnie z którym konstruktywna dyskusja pomiędzy naukowcami jest możliwa jedynie wówczas, gdy uczestnicy dyskusji przekonani są do pewnych wspólnych założeń. Przekonanie to Popper nazywa mitem schematu pojęciowego, ukazując jego szkodliwe działanie na dzisiejszą naukę, która zamyka się małych kręgach wyznawców. W pierwszym rozdziale drugiej części książki staram się znaleźć receptę na przezwycięzenie mitu schematu pojęciowego, która ma raczej charakter socjologiczny i pragmatyczny niż metalingwistyczny. Żeby wszakże wyzbyć się mitu schematu pojęciowego, potrzebne jest nie tylko poznanie prac powstałych w konkurencyjnych paradygmatach, ale też zrozumienie niejawnych często założeń filozoficznych przyjętych przez ich twórców. Ukazuję to na przykładzie dwóch kognitywnych koncepcji językoznawczych – gramatyki kognitywnej i kognitywizmu Noama Chomsky’ego. W moim przekonaniu ta

druga koncepcja nawiązuje do systemów filozoficznych, w których wydzielane są trzy dziedziny: bytu, myśli i języka, podczas gdy gramatyka kognitywna bazuje na powstałych po przełomie Wittgensteina, w których nie oddziela się dziedziny myśli od dziedziny języka. Wydaje się, że rozważanie tego rodzaju problemów jest w bardzo podzielonym środowisku językoznawczym bardzo ważnym czynnikiem, dzięki któremu rozbieżności pomiędzy poszczególnymi paradygmatami mogą zostać jeśli nie zminimalizowane, to przynajmniej wielostronnie naświetlone.

## Literatura cytowana

- Ajdkiewicz, K. (1949). *Zagadnienia i kierunki filozofii (teoria poznania, metafizyka)*. Warszawa: Czytelnik.
- Ajdkiewicz, K. (1985). *Język i poznanie*. Warszawa: PWN.
- Anusiewicz, J. (1994). *Lingwistyka kulturowa. Zarys problematyki*. Wrocław: UWr.
- Anusiewicz, J., Bartmiński, J. (red.), (1998). *Stereotyp jako przedmiot lingwistyki. Teoria, metodologia, analizy empiryczne*. „Język a Kultura”, 12. Wrocław: Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej.
- Anusiewicz, J., Handke, K. (red.), (1994). *Płeć w języku i kulturze*. „Język a Kultura”, 9. Wrocław: Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej.
- Bartmiński, J. (1998). *Czy językowy jest tylko stereotyp „formalny”?* (W odpowiedzi Profesorowi Swietłanowi Tolstajowej). W: Anusiewicz, J., Bartmiński, J. (red.), 1998, s. 105–108.
- Bartmiński, J. (1999). *Punkt widzenia, perspektywa, językowy obraz świata*. W: Bartmiński, J. (red.), 1999, s. 103–120.
- Bartmiński, J. (red.), (1999). *Językowy obraz świata*. Lublin: UMCS.
- Baudouin de Courtenay, J.N. (1894). *Próba teorii alternacyj fonetycznych*. „Rozprawy Wydziału Filologicznego PAU”, 20, s. 219–364.
- Bocheński, J.M. (1992). *Współczesne metody myślenia*. Poznań: W Drodze.
- Bobrowska, E. (2007). *Obrazowanie społeczeństwa w mediach. Analiza radiomaryjnego dyskursu*. Kraków: Wyd. UJ.
- Bobrowski, I. (1985). [rec.] Topolińska (red.), 1984. „Język Polski”, LXV, s. 52–59.
- Bobrowski, I. (1987). *Duplika*, „Język Polski”, LXVII, s. 122–23.
- Bobrowski, I. (1988). *Gramatyka generatywno-transformacyjna (TG) a uogólniona gramatyka struktur frazowych (GPSG). Próba porównania i oceny obu teorii z punktu widzenia ich przydatności do opisu wybranych faktów składniowych polszczyzny*. Wrocław: Ossolineum.
- Bobrowski, I. (1993). *Językoznawstwo racjonalne. Zagadnień teorii językoznawczej i metodologii opisów gramatycznych*. Kraków: IJP PAN.
- Bobrowski, I. (1995). *Czy kognitywizm jest naukowy? O lingwistyce kognitywnej z punktu widzenia dwudziestowiecznych koncepcji nauki*. „Biuletyn PTJ”, LI, s. 19–24.
- Bobrowski, I. (1997). [rec.] Tabakowska, 1995. „Polonica”, XVIII, s. 225–229.
- Bobrowski, I. (1998). *Zaproszenie do językoznawstwa*. Kraków: IJP PAN.



- Bobrowski, I. (1999). *O kulturowej wartości gramatyki tradycyjnej i poradnictwa językowego (na marginesie artykułów P. Żmigrodzkiego i M. Skarżyńskiego)*. „Język Polski”, LXXIX, s. 399–402.
- Bobrowski, I. (2000). *Wiedza historycznojęzykowa a opisy polszczyzny współczesnej*. „Studia Historycznojęzykowe”, III, s. 21–28.
- Bobrowski, I. (2001). *O potrzebie pojęcia podmiot (i pojęć pokrewnych)*. „Roczniki Humanistyczne”, 49–50, s. 75–82.
- Bobrowski, I. (2004). *Dyskursy medialne a wspólnota fatyczna*. „Zeszyty Prasoznawcze”, 1–2 (177–178), s. 7–17.
- Bobrowski, I. (2005). *Składniowy model polszczyzny*. Kraków: Lexis.
- Bobrowski, I. (2006a). *Jeszcze o rodzaju gramatycznym rzeczownika*. „Polonica”, XXVI–XXVII, s. 231–243.
- Bobrowski, I. (2006b). *Pejoratywizacja*. W: I. Bobrowski, K. Kowalik (red.), *Od fonemu do tekstu*. Kraków: Lexis, s. 89–93.
- Bobrowski, I. (2009). *Some Remarks on an Unfair Narrative about Certain Linguistic Ideas of Jan Baudouin de Courtenay*. „Studies in Polish Linguistics”, 5, s. 77–82.
- Bobrowski, I. (2010). *Koncepcja opisu rodzaju gramatycznego w języku polskim*. W: P. Zbróg (red.), *Współczesna polszczyzna w badaniach językoznawczych. Od gramatyki do języka w komunikacji*. Kielce: UJK, s. 7–14.
- Bobrowski, I., Górski, R.L. (1996). *Interpretacja łacińskiego, prasłowiańskiego i staropolskiego supinum w ramach teorii drzewek poziomych*. „Studia Historycznojęzykowe”, II, s. 299–306.
- Bogusławski, A. (1978). *Towards an Operational Grammar*. „Studia Semiotyczne”, VIII, s. 29–90.
- Bogusławski, A. (1986). *O pojęciu wyjaśniania i wyjaśnianiu w lingwistyce*. „Biuletyn PTJ”, XL, s. 45–51.
- Bogusławski, A. (1999). *Spostponować prefigując. O polskiej substandardowej operacji „sr”*. „Semiosis Lexicographica”, 1, s. 7–12.
- Bogusławski, A. (2007). *A Study in the Linguistics-Philosophy Interface*. Warszawa: UW.
- Bogusławski, A. (2009). *On Case, Gender and Related Phenomena in Polish (for the Umpteenth Time)*. „Linguistica Copernicana”, 1, s. 13–75.
- Bugajski, M. (1999). *Pół wieku kultury języka w Polsce (1945–1995)*. Warszawa: PWN.
- Cavallin, J. (1997). *Content and Object: Husserl, Twardowski and Psychologism*. Dordrecht: Kluwer.
- Chlebda, W. (1998). *Stereotyp jako jedność języka, myślenia i działania*. W: Anusiewicz, Bartmiński (red.), 1998, s. 31–41.
- Chomsky, N. (1957). *Syntactic Structures*. The Hague: Mouton.
- Chomsky, N. (1964). *Current Issues in Linguistic Theory*. The Hague: Mouton.
- Chomsky, N. (1965). *Aspects of the Theory of Syntax*. Cambridge, Mass.: MIT Press. [Wyd. pol.: *Zagadnienia teorii składni*, przeł. I. Jakubczak, Wrocław: Ossolineum 1982].
- Chomsky, N. (1968). *Language and Mind*. New York: Harcourt.
- Chomsky, N. (1981). *Lectures on Government and Binding*. Dordrecht: Kluwer.
- Chomsky, N. (1982). *Some Concepts and Consequences of the Theory of Government and Binding*. Cambridge: Cambridge University Press.
- Chomsky, N. (1986). *Knowledge of Language*. New York: Praeger.
- Chomsky, N. (1995). *The Minimalist Programm*. Cambridge: Cambridge University Press.

- Chomsky, N. (1999). *On Nature and Language*. Cambridge: Cambridge University Press. [Wyd. pol.: *O naturze i języku*, przeł. J. Lang, Warszawa: Axis, 2005].
- Danielewiczowa, M. (2016). *Dosięgnąć przedmiotu. Rzecz o Ferdynandzie de Saussurze*. Warszawa: Wyd. UW.
- Dąbrowska, M. (2008). *Rodzaj gramatyczny a seksizm*. „*Studia Linguistica Universitatis Iagellonicae Cracoviensis*”, 125, s. 67–78.
- Dąbwska, I. (1937). *Irracjonalizm a poznanie naukowe*. „*Kwartalnik Filozoficzny*”, 14 (2), s. 83–118.
- Dawkins, R. (2003). *A Devil's Chaplain: Reflections on Hope, Lies, Science, and Love*. Boston: Houghton Mifflin.
- Dummett, M. (1989). *Language and Communication*. W: A. George (red.), *Reflections on Chomsky*. Oxford University Press, s. 166–187. [Polski przekład w: B. Stanosz (red.), *Filozofia języka*, Warszawa: PWN, 1993, s. 54–76].
- Fleischer, M. (2000). *Obraz świata. Ujęcie z punktu widzenia teorii systemów i konstruktywizmu*. „*Język a Kultura*”, 13, s. 60–72.
- Fleischer, M. (2008). *Konstrukcja rzeczywistości*, 2. Wrocław: Atut.
- Gajda, S. (1998). *Językoznawstwo na rozdrożu*. W: Jędrzejko (red.), 1998, s. 11–19.
- Gajda, S. (red), (2003). *Językoznawstwo w Polsce. Stan i perspektywy*. Opole: UOp.
- Gawroński, A. (1984). *Dlaczego Platon wykluczył poetów z Państwa? U źródeł współczesnych badań nad językiem*. Warszawa–Kraków: Biblioteka „Więzi” – Znak.
- Goddard, A., Patterson, L.M. (2000). *Language and Gender*. London: Routledge.
- Górski, R.L. (2008). *Diateza nacechowana w polszczyźnie. Studium korpusowe*. Kraków: Lexis.
- Grabias, S. (1997). *Język w zachowaniach społecznych*. Lublin: UMCS.
- Grice, H.P. (1975). *Logic and Conversation*. „*Syntax and Semantics*”, 3, s. 41–58. [Polski przekład w: B. Stanosz (red.), *Język w świetle nauki*, Warszawa: Czytelnik, 1980, s. 91–114].
- Grobler, A. (1999). *Granice irracjonalności*. W: M. Heller, J. Mączka, J. Urbaniec (red.), *Granice nauki*. Kraków: OBI, s. 172–179.
- Grobler, A. (2006). *Metodologia nauk*. Kraków: Znak.
- Grochowski, M. (2000). *On the Word Order of Polish Syntagmatic Lexemes*. „*Slovo a Slovesnost*”, 61, s. 138–144.
- Grochowski, M. (2008). *Rola dewiacji w uzasadnianiu hipotez semantycznych. Wprowadzenie do problematyki*. „*Biuletyn PTJ*”, LXIV, s. 26–34.
- Grochowski, M. (2017). *Leksykalne wykładniki pojęcia odpowiedniości w języku polskim*. „*Slavia*”, 86, zes. 2–3, s. 265–278.
- Grzegorzczkowska, R. (1999). *Pojęcie językowego obrazu świata*. W: Bartmiński (red.), 1999, s. 39–46.
- Grzegorzczkowska, R., Laskowski, R., Wróbel, H. (red.), (1984). *Gramatyka współczesnego języka polskiego*. [T. 1:] *Morfologia*. Warszawa: PWN.
- Heller, M. (2009). *Filozofia nauki*. Kraków: Ignatianum.
- Hjelmslev, L. (1953). *Prolegomena to a Theory of Language*. Baltimore: Indiana University Press.
- Husserl, E. (1958). *Die Idee der Phänomenologie. Fünf Vorlesungen*. Den Haag: Martinus Nijhoff. [Wyd. pol.: *Idea fenomenologii. Pięć wykładów*, przeł. J. Sidorek, Warszawa: PWN, 1990].

- Ivić, M. (1965). *Trends in Linguistics*. The Hague: Mouton. [Wyd. pol.: *Kierunki w lingwistyce*, przeł. A. Wierzbicka, K. Feleszko, wyd. 2 rozszerz., Wrocław: Ossolineum, 1975].
- Jakobson, R. (1960). *Kazańska szkoła polskiej lingwistyki i jej miejsce w światowym rozwoju fonologii*. „Biuletyn PTJ”, XIX, s. 5–34.
- Jędrzejko, E. (red), (1998). *Nowe czasy, nowe języki, nowe (i stare) problemy*. Katowice: Wyd. UŚ.
- Kardela, H. (1998). *Profilowanie a kategorie podmiotu i dopełnienia w gramatyce R. Langacker*. W: J. Bartmiński, R. Tokarski (red.), *Profilowanie w języku i w tekście*. Lublin: UMCS, s. 79–90.
- Karolak, S. (1984). *Składnia wyrażenń predykatywnych*. W: Topolińska (red.), 1984, s.
- Karolak, S. (1987). *Uwagi do recenzji Ireneusza Bobrowskiego [Remarks to Ireneusz Bobrowski's Review]*. „Język Polski”, LXVII, s. 118–122.
- Karwatowska, M., Spyra-Kozłowska, J. (2005). *Lingwistyka płci – ona i on w języku polskim*, Lublin: UMCS.
- Kołąkowski, L. (2008). *Jest-że dla prawdy przyszłość jaka?*. „Znak”, 11, s. 73–79.
- Kowalik, K. (1997). *Struktura morfonologiczna współczesnej polszczyzny*. Kraków: IJPPAN.
- Krąpiec, M.A. (1985). *Język a świat realny*. Lublin: Wyd. KUL.
- Krąpiec, M.A. (1990). *Czy językoznawstwo warunkuje filozofowanie?*. „Znak – Idee”, 2, s. 19–29.
- Krzyszowski, T.P. (1997). *Czy językoznawstwo jest naukowe?*. „Biuletyn PTJ”, LIII, s. 164–176.
- Kucała, M. (1999). [Dopisek: Skarżyński, 1999]. „Język Polski”, LXXIX, s. 120–121.
- Kuhn, Th. (1962). *The Structure of Scientific Revolutions*. Chicago: University of Chicago Press. [Wyd. pol.: *Struktura rewolucji naukowych*, przeł. H. Ostromecka, Warszawa: PWN, 2001].
- Kuhn, Th. (1977). *The Essential Tension. Selected Studies in Scientific Tradition and Change*. Chicago: University of Chicago Press. [Wyd. pol.: *Dwa bieguny. Tradycja i nowatorstwo w badaniach naukowych*, przeł. S. Amsterdamski. Warszawa: PIW, 1985].
- Lakoff, G. (1971). *On Generative Semantics*. W: D.D. Steinberg, L.A. Jakobovits (ed.), *Semantics: An Interdisciplinary Reader in Philosophy, Linguistics and Psychology*. Cambridge: Cambridge University Press, s. 232–296.
- Lakoff, G. (1987). *Women, Fire, and Dangerous Things: What Categories Reveal about the Mind*. Chicago–London: Chicago University Press.
- Laskowski, R. (1999). *Fonologia naturalna*. W: K. Polański (red.), *Encyklopedia językoznawstwa ogólnego*. Wrocław: Ossolineum, s. 167–168.
- Lewicki, A.M. (1976). *Wprowadzenie do frazeologii syntaktycznej. Teoria zwrotu frazeologicznego*. Katowice: UŚ.
- Lewicki, A.M. (1993). *Językoznawstwo polskie w XX wieku*. W: J. Bartmiński (red.), *Współczesny język polski*. Wrocław: Ossolineum, s. 75–83.
- Lippmann, W. (1922). *Public Opinion*. New York: Brace and Co.
- Lyons, J. (1968). *Introduction to Theoretical Linguistics*. London: Cambridge University Press.
- Łaziński, M. (2006). *O panach i paniach. Polskie rzeczowniki tytułowe i ich asymetria rodzajowo-płciowa*. Warszawa: Wyd. UW.
- Maćkiewicz, J. (1999). *Kategoryzacja a językowy obraz świata*. W: Bartmiński (red.), 1999, s. 47–55.
- Mańczak, W. (1956). *Ile jest rodzajów w języku polskim?*. „Język Polski”, XXXVI, s. 116–121.

- Mel'čuk, I.A. (1974). *Opyt teorii lingvističeskikh modelej*. „Smysl↔Tekst”. Moskva: Academia.
- Paprzycka, K. (2008). *Feministyczny głos przeciw feminizacji form męskich. O dylematach na temat psychologów, psycholożek i psycholożków*. „Nauka”, 4, s. 121–131.
- Pelc, J. (2003). *Czy językoznawców nie obchodzi prawda?*. W: I. Bobrowski (red.), *Anabasis. Prace ofiarowane Profesor Krystynie Pisarkowej*. Kraków: Lexis, s. 195–199.
- Popper, K.R. (1934). *Logik der Forschung. Zur Erkenntnistheorie der modernen Naturwissenschaft*. Wien: Verlag von Julius Springer. [Wyd. pol.: *Logika odkrycia naukowego*, przeł. U. Niklas, Warszawa: PWN, 1977].
- Popper, K. (1963). *Conjectures and Refutations: The Growth of Scientific Knowledge*. London: Routledge. [Wyd. pol.: *Droga do wiedzy. Domysły i refutacje*, przeł. S. Amsterdamski, Warszawa: PWN, 1999].
- Popper, K.R. (1972). *Objective Knowledge: An Evolutionary Approach*. Oxford: Clarendon Press. [Wyd. pol.: *Wiedza obiektywna. Ewolucyjna teoria epistemologiczna*, przeł. A. Chmielewski, wyd. 2, dodr. 1, Warszawa: PWN, 2012].
- Popper, K.R. (1994). *The Myth of the Framework: In Defence of Science and Rationality*. London: Routledge. [Wyd. pol.: *Mit schematu pojęciowego. W obronie nauki i racjonalności*, przeł. B. Chwedeńczuk, Warszawa: Książka i Wiedza, 1997].
- Rorty, R. (2007). *Wittgenstein and the Linguistic Turn*. W: tenże, *Philosophy as Cultural Politics*. „Philosophical Papers”, 4 [Pol. przekład: „Homo Communicativus”, 1, 2007, s. 13–28].
- Saloni, Z. (1976). *Kategoria rodzaju we współczesnym języku polskim*. W: R. Laskowski (red.), *Kategorie gramatyczne grup imiennych w języku polskim*. Wrocław: Ossolineum, s. 43–78, 96–106.
- Saloni, Z. (1988). *O tzw. formach nieosobowych rzeczowników osobowych w języku polskim*. „Biuletyn PTJ”, XLI, s. 155–166.
- Searle, J. (1983). *Intentionality: An Essay in the Philosophy of Mind*. Cambridge: Cambridge University Press.
- Skarżyński, M. (1999). *Między tradycją a zdrowym rozsądkiem. Uwagi o naszym piśmiennictwie poprawnościowym*. „Język Polski”, LXXIX, s. 112–120.
- Stalmaszczyk, P. (2006). *Koncepcje „języka” i „gramatyki” w gramatyce generatywnej i w semantyce pojęciowej*. W: Stalmaszczyk (red.), 2006, s. 74–90.
- Stalmaszczyk, P. (ed.), (2010). *Philosophy of Language and Linguistics*. Frankfurt a. Main: Ontos Verlag.
- Stalmaszczyk, P. (ed.), (2011a). *Philosophical and Formal Approaches to Linguistic Analysis*. Frankfurt a. Main: Ontos Verlag.
- Stalmaszczyk, P. (ed.), (2011b). *Turning Points in the Philosophy of Language and Linguistics*. Frankfurt a. Main: Peter Lang.
- Stalmaszczyk, P. (red.), (2006). *Metodologie językoznawstwa. Podstawy teoretyczne*. Łódź: Wyd. UŁ.
- Stalmaszczyk, P. (ed.), (2014). *Philosophy of Language and Linguistics: The Legacy of Frege, Russell, and Wittgenstein*. Berlin–Boston: de Gruyter.
- Stefański, W. (2001). *Wprowadzenie do językoznawstwa historyczno-porównawczego*. Toruń: Wyd. UMK.
- Strawson, P.F. (1971). *Meaning and Truth, in His Logico-Linguistic Papers*. London: Methuen.

- Szałkiewicz, Ł. (2010). *Chamy – posły i zuchy – doktory. Głos w sprawie deprecjatywności*. „LingVaria”, V, nr 1, s. 219–231.
- Szumski, D. (2007). *Dekada dekadencji? Frustracje lingwisty(ki) XXI wieku*. „Polonica”, XXVIII, s. 5–12.
- Tabakowska, E. (1995). *Gramatyka i obrazowanie. Wprowadzenie do językoznawstwa kognitywnego*. „Nauka dla Wszystkich”, 274. Kraków: Wydawnictwo Oddziału PAN.
- Tarski, A. (1944). *The Semantic Conception of Truth and the Foundations of Semantics*. „Philosophy and Phenomenological Research”, 4, s. 341–376. [Wyd. pol.: *Semantyczna koncepcja prawdy i podstawy semantyki*. W: Tarski, A. (1995). *Pisma logiczno-filozoficzne*, t. 1: *Prawda*, Warszawa: PWN, 1995, s. 228–282].
- Taylor, J.R. (2002). *Cognitive Grammar. Oxford Textbooks in Linguistics*. Oxford: Oxford University Press. [Wyd. pol.: *Gramatyka kognitywna*, przeł. M. Buchta, Ł. Wiraszka, red. E. Tabakowska, Kraków: Universitas, 2007].
- Tołstaja, S.M. (1998). *Stereotyp w „języku kultury”*. W: Anusiewicz, Bartmiński (1998), s. 99–104.
- Topolińska, Z. (red.), (1984). *Gramatyka współczesnego języka polskiego*. T. 2: *Składnia*. Warszawa: PWN.
- Trubetskoy, N. (1931). *Gedanken über Morphology*. „Travaux de Cercle Linguistique du Prague”, 4, s. 53–61.
- Twardowski, K. (1992). *O treści i przedmiocie przedstawięń*. W: tenże, *Wybór pism psychologicznych i pedagogicznych*. Warszawa: PWN, s. 83–130.
- Walczak, B. (1999). [Głos w dyskusji]. W: M. Wojtyła-Świerżowska, red. (1999), *Synchronia – diachronia. Materiały z konferencji „Problematyka historycznojęzykowa we współczesnym językoznawstwie i jej miejsce w dydaktyce”*. Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Jana Kochanowskiego, Kielce 17–18 listopada 1997. Kielce: WSP, s. 206–208.
- Walczak, B. (2003). *Język polski jako nośnik kultury europejskiej*. „Polonistyka”, 6, s. 324–328.
- Warchoń-Scholtzmann, M. (2006). *Dlaczego pani psycholog Nowak nie chce być psychologką Nowak?*. „Alma Mater”, 82, s. 42–45.
- Willim, E. (2010). *O sporach wokół formy i funkcji we współczesnym językoznawstwie. Formalizm kontra funkcjonalizm?*. „Linguistica Copernicana”, 1 (3), s. 81–127.
- Wolniewicz, B. (1970). *Wstęp*. W: L. Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*. Warszawa: PWN.
- Zabrocki, W. (2006). *Psychologizm i socjologizm w dziejach transformacyjno-generatywnej refleksji nad językiem naturalnym*. Stuttgart–Poznań: Ernst Klett Sprachen.
- Zybertowicz, A. (2001). *Konstruktywizm jako orientacja metodologiczna w badaniach społecznych*. „Kultura i Historia”, 1, s. 7–28.
- Żmigrodzki, P. (1998). *O potrzebie badań metalingwistycznych*. W: Jędrzejko (red.), 1998, s. 63–70.
- Żmigrodzki, P. (2006). *Metalingwistyka*. W: Stalmaszczyk (red.), 2006, s. 57–73.



Czytając z wielkim zainteresowaniem i przyjemnością tę świetnie napisaną, choć dotyczącą wyjątkowo złożonych problemów metajęzykoznawstwa, książkę, zastanawiałem się wielokrotnie nad jej statusem ontologicznym. Podsumuję ten proces myślenia krótko w taki sposób: jest to autobiografia metodologiczna Ireneusza Bobrowskiego jako naocznego świadka przemian w językoznawstwie ostatniego ćwierćwiecza XX wieku i pierwszych dwóch dekad XXI wieku. Przemiany te dotyczą odpowiedzi na absolutnie najważniejsze pytania dyscypliny, mianowicie do czego służy język, czym zajmuje się lingwistyka i jakie są konsekwencje metodologiczne ewolucji obiektów badawczych dyscypliny. Historia językoznawstwa jest obserwowana i prezentowana na tle ewolucji paradygmatów metodologicznych nauki i filozofii nauki. Kluczową rolę w tej prezentacji gra filozofia Karla R. Poppera, jednego z najwybitniejszych metodologów nauki XX wieku, z autorską referencją z jednej strony do mitu schematu pojęciowego, a z drugiej do teorii trzech światów, przedstawionej w *Wiedzy obiektywnej* (1972/1992).

**Z recenzji Profesora Macieja Grochowskiego**

ISBN 978-83-64007-68-2



9 788364 007682